

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



1-2

(98-99) 2020

Homilia ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego
◆ Akcja Burza dzień po dniu ◆ Wiersze Adama Zagajewskiego
◆ Proza o. Piotra Lamprechta
◆ Ulica Kurkowa Karoliny Grodziskiej ◆ Antoni Wilgusiewicz o Edwardzie Chwalewiku

Lockdown...

Stanęliśmy twarzą w twarz z nieznanym. Niewidocznym wrogiem. Nazywamy go Covid 19 albo koronawirus. Świat przez chwilę zamarł w bezdechu, udawał, że go nie ma. Zamknięto nas w mieszkaniach. Ograniczono możliwość poruszania się po świecie, Polsce, okolicy zamieszkania. Ale tak przecież długo trwać nie można było, bo czas – mimo śmiertelnego dla ludzkości zagrożenia – płynie, jakby nic się nie stało... Pandemia obnażyła słabość człowieka pod każdym względem. Zmusiła nas do zastanowienia się nad *be or not to be* ludzkości na planecie Ziemia. Kiedy my oddawaliśmy się refleksji nad tym, jak być lepszymi i rozumniejszymi, inni pracowali nad tym, jak na pandemii zarobić, jak wykorzystać moment przesilenia – słabości planety, by łatwo zbić kapitał – tak finansowy, jak i polityczny. Patrząc ze swego krakowskiego obserwatorium na to, co się wokół na świecie działo, trawestując słowa polskiego poety doby Odrodzenia – Jana Kochanowskiego – rzec można śmiało: Nową przypowieść *Człowiek* sobie kupił / Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.

Pandemia negatywnie wpłynęła też na społeczność Kresowian. Ostatni raz spotkaliśmy się w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” w marcu. Czy spotkamy się po wakacjach? Czytelnikom kwartalnika „Cracovia-Leopolis” oddajemy podwójny numer ze względów nie tylko finansowych, ale przede wszystkim logistycznych. Pakowanie, adresowanie, w końcu wysyłka w czasie zagrożenia epidemiologicznego była niemożliwa, a nawet ryzykowna. Co czeka nas w drugim półroczu? Trudno przewidzieć... Mam nadzieję, że przynajmniej lektura pisma sprawi Państwu przyjemność.

Chylimy głowę w podzięcie osobom, dzięki którym ofiarności Krakowski Oddział TMLiKPW podnosi z ruiny zabytkowe nagrobki na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Fotografie niektórych mogił – przed i po odnowieniu – zobaczycie w kwartalniku. Nazwiska darczyńców zamieszczamy poniżej.

Janusz M. Paluch

Podziękowania

Dziękujemy za pomoc finansową otrzymaną w 2019 roku na odnowę i remonty polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Ratując polskość tej nekropolii utwierdzamy tym samym polskość Lwowa.

WPLAT DOKONALI:

Zarząd Główny TMLiKP-W – 10 000 zł
Klub Tarnopolan Kraków – 10 000 zł
Towarzystwo Wydawnictw Książek
w Warszawie – 1000 zł

KWESTY NA POGRZEBACH

– ZAMIAST KWIATÓW:

śp. Teresy Kondolewicz-Wilk – 1270 zł
śp. Andrzeja Chlipalskiego – 2000 zł
śp. Adama Guyrkowicha – 2094 zł

DAROWIZNY INDYWIDUALNE:

Maria Konopka – 11 100 zł
Marek Pełechacz – 1600 zł
Teresa Wojciechowska – 700 zł
Rafał Skąpski – 160 zł
Jadwiga Martyka – 1500 zł
Wojciech Habela – 150 zł
Wanda Krotos – 100 zł
Jerzy Lohman – 100 zł

KWESTA NA CMENARZACH KRAKOWSKICH – 51 600 zł

RAZEM – 93 374 zł

Anna Madej

101. rocznica obrony Lwowa

1–22 listopada 1918

Tradycja mszy św. za Orleńca Lwowskie w Krakowie sięga połowy lat siedemdziesiątych XX w. Jak wspominał w nr. 24 czasopisma „Niepodległość i Pamięć” z 2006 r. Andrzej Chlipalski: *W roku 1976 ukazało się po raz pierwszy w „Tygodniku Powszechnym” zawiadomienie o mszy św. za duszę śp. Jurka Bitschana, na którą zapraszali rodzina i przyjaciele (Któż z ówczesnych partyjnych cenzorów to kojarzył? A może kojarzył, ale liczył, że partyjni przełożeni nie mają o niczym pojęcia? A może nie przykładano do tego większej wagi?). Organizatorką tych spotkań w kościele – na początku św. Marka – była nasza nestorka, dr Janina Winowska (zmarła w 2009 r.).*

Od 1978 r. lwowianie i kresowianie rokrocznie gromadzą się 22 listopada w Bazylice Mariackiej, aby oddać hołd i modlić się za Obrońców Lwowa. Autentycznych Lwowian i Kresowian ubywa i coraz mniejsze jest grono uczestników tej mszy, ale staramy się rozpowszechniać pamięć o Obrońcach Lwowa wśród młodzieży, szczególnie tej, która pomaga nam w listopadowej kweście na rzecz ratowania Cmentarza Łyczakowskiego, a jest jej sporo. 22 listopada pojawiają się na mszy św. wraz z pocztami sztandarowymi swych szkół i drużyn harcerskich. Są z nami uczniowie I LO im. B. Nowo-

dworskiego, II LO im. Jana III Sobieskiego, XLIV LO im. S. Konarskiego, Krakowska Drużyna Orłąt im. Antosia Petrykiewicza.

Przez wiele lat, grając na organach, ubogacał oprawę muzyczną tych mszy prof. Bogusław Grzybek, śpiewał wpiery Chór Cecyliński, a potem Chór Nowodworski pracujący pod dyrekcją Ryszarda Żróbka przy I LO im. Bartłomieja Nowodworskiego. W 2019 r. byli to młodzi muzycy z zespołu „Promyki Krakowa”, uczniowie zaprzyjaźnionej z nami Romy Krzemień prowadzącej zespół od 1986 r. Niezwykle wzruszają nas też pieśni śpiewane zawsze podczas tych mszy, przez naszą długoletnią przyjaciółkę Jagę Wrońską: napisana przez Jerzego Michotka Łyczakowska *Madonna* i czcząca Lwowską *Madonnę Śliczną Gwiazda Miasta Lwowa*.

Homilie wygłaszane podczas tych mszy są zawsze zamieszczane w pierwszym numerze z danego roku naszego kwartalnika „Cracovia-Leopolis”. W niniejszym numerze publikujemy homilię wygłoszoną 22 listopada 2019 r. przez ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego. Należy nadmienić, że proboszczowie kościoła Mariackiego w Krakowie zawsze bardzo serdecznie nas w jego murach przyjmowali, często brali udział w koncelebrze, tak jak i obecny ks. proboszcz archidiecezji Dariusz Raś, który dwa lata temu również wygłosił homilię. Od kilku lat w koncelebrze bierze też udział nasz serdeczny przyjaciel o. Dominik Orczykowski (kapucyn) – Drohobyczanin, który jest kapelanem harcerzy, lotników, a teraz też naszym. Należy nadmienić, że zaprzyjaźnieni jesteśmy z krakowskim Oddziałem Światowego Związku Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego i na mszę również oni przybyli ze swoim pocztem sztandarowym.



HOMILIA

KS. TADEUSZA ISAKOWICZA-ZALESKIEGO

WYGŁOSZONA W BAZYLICE MARIACKIEJ

22 LISTOPADA 2019 R.

Czcigodny Księżę Archiprezbiterze, czcigodny Ojciec Kapelanie, szanowne Poczty Sztandarowe, szanowni Przedstawiciele organizacji kresowych, patriotycznych, młodzieżowych, szczególnie wy, drodzy Kresowianie, potomkowie Kresowian, drodzy Swojacy.

*Szczęście i spokój daj tej ziemi, Pani,
Co krwią spłynęła wśród wojen, pożog,
Do Cię swe modły zanosim, ufani,
Odwróć, ach odwróć, o odwróć los srogi.
I by radosną była jako uśmiech dziecka,
Spraw to, Najświętsza Panno Jazłowiecka.*

Jest to fragment pieśni 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich, który przez cały okres międzywojenny stacjonował we Lwowie, na Łyczakowie. Specjalnie zacytowałem ten fragment, albowiem dzisiaj w 101. rocznicę wyzwolenia Lwowa, zawieszenia polskiej flagi na ratuszu lwowskim, pragniemy wspólnie modlić się za tych naszych pradziadów, praojców, którzy sto lat temu doprowadzili do odzyskania niepodległości.

W roku 1918, gdy jeszcze trwała I wojna światowa, tutaj w Krakowie, zaledwie parę kroków od Bazyliki, na dawnym odwachu, czyli posterunku policji austriackiej, przy wieży ratuszowej polscy patrioci zawiesili biało-czerwony sztandar. W podobny sposób przejęto władzę w Tarnowie i Cieszynie. Również następnego dnia miało się to odbyć we Lwowie, który był stolicą dawnego zaboru austriackiego. Niestety w noc z 31 października na 1 listopada 1918 roku oddziały ukraińskie zajęły miasto, najważniejsze punkty – dworzec, koszary, ratusz i wiele innych obiektów. I kiedy 1 listopada w dzień Wszystkich Świętych mieszkańcy Lwowa szli zgodnie z tradycją na cmentarze, zobaczyli, że w mieście wiszą obce flagi. I spontanicznie wybuchło powstanie, nazywane zrywem Orlą Lwowskich. Przeciwno przeważającym siłom wroga wystąpiły dwa

zaledwie oddziały, które się zabarykadowały w szkole im. Sienkiewicza i w Domu Techników. Jednak chęć odbicia miasta była tak silna, że z godziny na godzinę, z dnia na dzień przybywało obrońców. Powstawały samorzutnie oddziały. Trwała jeszcze wojna, więc wielu mężczyzn było jeszcze na froncie na Bałkanach czy w wysokich Alpach, w wojsku austriackim oczywiście. Dlatego do oddziałów powstańczych zgłosili się przede wszystkim młodzi ludzie – harcerze, rzemieślnicy, uczniowie szkół średnich, studenci, ale także uczniowie szkół podstawowych. I właśnie od ich młodego wieku ci, którzy walczyli o wolność Lwowa, otrzymali to piękne miano „Orlą Lwowskie”.

Jak wiemy walki były zacięte, przede wszystkim brakowało broni, ale zapał polskiej młodzieży był tak silny, że stopniowo odbijano poszczególne ulice, budynki, budowano barykady, a nawet przechodzono kanałami z jednej części miasta do drugiej, tak jak się to 25 lat później powtórzyło w Warszawie. Od samego początku była organizowana odsiecz dla Lwowa. To właśnie tutaj w Krakowie, też niedaleko stąd, w Bibliotece Wojewódzkiej obecnie, która dawniej była koszarami przy ulicy Rajskiej obok kościoła Karmelitów, tam sformowały się pierwsze oddziały polskie i drogą kolejową przez Tarnów i Przemyśl wyruszyły na odsiecz Lwowowi. Również w Przemyślu toczyły się zawzięte walki między Polakami a Ukraińcami. Jednak strona ukraińska zaniedbała połączenie kolejowe, nie wysadziła mostów ani w Przemyślu, ani w innej części ówczesnego zaboru austriackiego. I dlatego drogą kolejową sformowane oddziały odsieczy mogły wkroczyć do miasta. Było to ogromne zaskoczenie i dlatego przeciwnik w nocy z 21 na 22 listopada wycofał się bojąc się okrążenia. I nad ranem żołnierze z oddziału późniejszego generała Romana Abrahama zawiesili biało-czerwoną flagę na Ratuszu. Ale walki trwały przez następne miesiące.

Dopiero przybycie słynnej Błękitnej Armii generała Józefa Hallera przypieczętowało polskie zwycięstwo. Przeciwnik musiał się wycofać aż za Zbrucz. Wspomniany przeze mnie pułk ułanów nosił nazwę Jazłowieckich, albowiem pod Jazłowcem dokonał bohaterskiej szarży ratując miasto, w tym także klasztor sióstr Niepokalanek i tamtejszą szkołę żeńską. Wdzięczne siostry wyhaftowały dwadzieścia lat później sztandar tego pułku z Matką Bożą. Nawiasem mówiąc, w lipcu 1939 roku na miesiąc przed wybuchem wojny figura cudowna w Jazłowcu została koronowana. Znajduje się obecnie pod Warszawą w Szymanowie.

Walki o Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie, o Stanisławów i Tarnopol oraz dziesiątki innych miast i miejscowości trwały także w roku 1920. Nawała bolszewicka, słynna bitwa pod Zadwórzem, gdzie Orłeta Lwowskie – 318 ochotników, tak jak pod Termopilami 300 Spartan, stanęły do nierównej walki, zagradzając drogę słynnej konnej armii Budionnego. Prawie wszyscy ochotnicy ze Lwowa zginęli. Uratowało się tylko kilkunastu, ale Budionny nie zdobył Lwowa, co więcej spóźnił się na bitwę pod Warszawą, dzięki czemu (stulecie tego wydarzenia będziemy wspominać za rok), polskie oddziały odniosły zwycięstwo. Była to bitwa pod Zadwórzem nazywana słusznie polskimi Termopilami.

I kiedy w roku 1925 zapadła decyzja o budowie grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie – w arkadach chyba nieistniejącego obecnie pałacu Saskiego – to w wyniku wspólnej decyzji wielu dowódców wytypowano 18 miejsc-pobojowisk, z których zostanie podniesione ciało owego nieznanego żołnierza. W wyniku losowania wybrano Zadwórze i wykopano kilka trumien, które leżały pod krzyżem NN – nieznanymi. Następnie matka jednego z żołnierzy, który tam zginął i którego ciała nigdy nie odnaleziono, pani Jadwiga Zarugiewiczowa, Ormianka z Kut nad Czeremoszem, wytypowała – tak jak to wskazywało to jej serce – jedną z tych trumien. Kiedy trumnę otwarto, znaleziono ciało nieznanego żołnierza ze Lwowa w wieku około 20 lat, szeregowca, miał tylko czapkę maciejówkę, co oznaczało, że był ochotnikiem. I to ciało przywieziono w uroczysty sposób na plac obecnie Piłsudskiego i złożono w grobie Nieznanego Żołnierza.

I myślę, że wielu przywódców państw, którzy składają tam wieńce – królowie, prezydenci i inni nie zdają sobie sprawy, że właśnie w tym grobie, przy którym jest wieczna warta i pali się znicz, leży ciało nieznanego Orłęcia Lwowskiego. Wieniec złożył tutaj, jak pamiętamy, czterdzieści lat temu także Ojciec Święty Jan Paweł II. On jednak na pewno to wiedział, bo był Polakiem. Dzisiaj modlimy się za nich wszystkich, bo to jest nasza powinność, powinność chrześcijan. Czwarte przykazanie „Czcij ojca i matkę swoją” mówi nie tylko o miłości do naszych najbliższych, ale o tej wielkiej miłości do Ojczyzny, która jest także naszą wspólną rodziną.

100 lat temu wielu młodych ludzi, chłopcy i dziewczęta, oddali swoje życie tylko dlatego, że chcieli być Polakami i żyć w wolnym kraju. Dlatego ta piękna tradycja, by w Bazylice Mariackiej, która jest symbolem Krakowa, odprawiać mszę św. zawsze 22 listopada. Ta tradycja daje nam poczucie łączności z dziejami, z tymi, którzy odeszli, ale którzy są dla nas wzorem do naśladowania. Nie byłoby wolnej Polski, nie byłoby polskiego języka w szkołach, nie byłoby polskiej armii, nie byłoby niepodległości, gdyby nie tysiące młodych ludzi walczących na różnych frontach, w różnych formacjach, często przeciwko przeważającym siłom, słabo uzbrojeni, ale bohaterscy. Oni właśnie doprowadzili do niepodległości. I za to wszystko jesteśmy im bardzo wdzięczni.

Pozwolę sobie wspomnieć jeszcze jedną postać, która jest symbolem Orłąt Lwowskich. To Antoś Petrykiewicz, młody ochotnik, niespełna czternaście lat, gimnazjalista. Walcząc na Górze Straceń, tak się nazywała ta część Lwowa, został ciężko ranny, a wykazał się niesamowitym bohaterstwem. Kiedy leżał w szpitalu już po wyzwoleniu Lwowa, odwiedziło go dwóch ludzi. Pierwszym był ówczesny arcybiskup Lwowa, święty Kościoła katolickiego, Józef Bilczewski, pochodzący zresztą z diecezji krakowskiej, były rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, który został później arcybiskupem Lwowa. Wręczył mu mały obrazek Matki Najświętszej, pocieszając go, bo zdawał sobie sprawę, że ten chłopiec ma niewielkie szanse na przeżycie. A później odwiedził go Józef Piłsudski, który wręczył mu order Virtuti Militari. Chłopiec zmarł z ran w kilka dni po ceremonii. Do dziś ▶

DBAMY O PAMIĘĆ

W południowej części Cmentarza Łyczakowskiego znajduje się odnowiona przez Krakowski Oddział TMLiKPW symboliczna mogiła Jurka Bitschana. Zginął w tym miejscu 22 listopada 1918 roku. 14-letni bohater, Obrońca Lwowa, syn lekarza z Kulparkowa. Ostrzeliwał się z nagrobków. Pochowany jest na pobliskim Cmentarzu Obrońców Lwowa.



Przed remontem



Po remoncie

- ▶ jest najmłodszym w historii Polski kawalerem Orderu Virtuti Militari. Niespełna 14 lat.

Wielu takich nieznanymi nam z imienia i nazwiska chłopców i dziewcząt również zginęło. Oni są dla nas nie tylko bohaterami, ale również pokazują nam w tym dzisiejszym świecie, bardzo zmaterializowanym, gdzie liczy się przede wszystkim kariera, wartości materialne, że w tym świecie są także inne wartości – wartości duchowe. Miłość do Pana Boga, miłość do Ojczyzny, odwaga, poświęcenie. I tego się właśnie będziemy od nich przez następne lata uczyć. Pozwolę sobie zakończyć kolejnymi dwoma zwrotkami pieśni, hymnu Ułanów Jazłowieckich. To jest modlitwa do Matki Najświętszej:

*Spraw, by zasiadła sławna i potężna,
Między narody królując wspaniale,*

*By się rozeszła sława jej oręża,
Spraw to, o Pani, spraw to ku Swej chwale.
By zło jak nawała rozprysła się turecka
Spraw to, Najświętsza Panno Jazłowiecka.*

*By pod jej rządów wspaniałym ramieniem,
Zakwitły miłość i spokój jak w niebie.
Daj, by ułana ostatnim westchnieniem,
Było móc polec, polec w Jej potrzebie!
Aby jej strzała nie tknęła zdradziecka,
Spraw to, Najświętsza Panno Jazłowiecka!*

Najświętsza Mario Panno, królująca we Lwowie, w Ostrej Bramie, w Stanisławowie i tutaj w Krakowie, miej nas wszystkich w opiece swojej, a dusze poległych, zmarłych i pomordowanych przyjmij do królestwa w niebie. Amen

AKCJA BURZA WE LWOWIE

DZIEŃ PO DNIU OD 21-31 LIPCA 1944

Opracował
Kasper Bednarek

21 VII 1944

Płk. Władysław Filipowski ps. Cis wydał rozkaz dla Podokręgu Lwów ps. Komedia AK natychmiastowego wykonania akcji zastrzeżonej „D” (dywersja) i akcji przeciw ewakuacyjnej „Południe”. W tym samym czasie (lub 20 lipca) do Biłki Szlacheckiej przybył ppłk. Franciszek Rekucki ps. Bak, by objąć dowództwo nad Zgrupowaniem „Wschód”. Przeprowadzili go tam żołnierze oddziału leśnego AK 2 szwadronu 14 Pułku Ułanów z Druhej Wólki, bez sztabu i radiostacji, którą miano mu przydzielić. Miał w Biłce do dyspozycji dwa organizowane szwadrony oddziałów leśnych 14 Pułku Ułanów zamiast przewidzianych ośmiu kompanii i szwadronów, mających liczyć 910 ludzi. Pod Lwowem rano na Kopiatynie w lasach koło Winnik niemiecka artyleria ostrzelała pozycje 1 szwadronu 14 Pułku Ułanów, zginęła 1 osoba, a 4 zostały ranne. W tym czasie sowieci zajęli Dawidów.

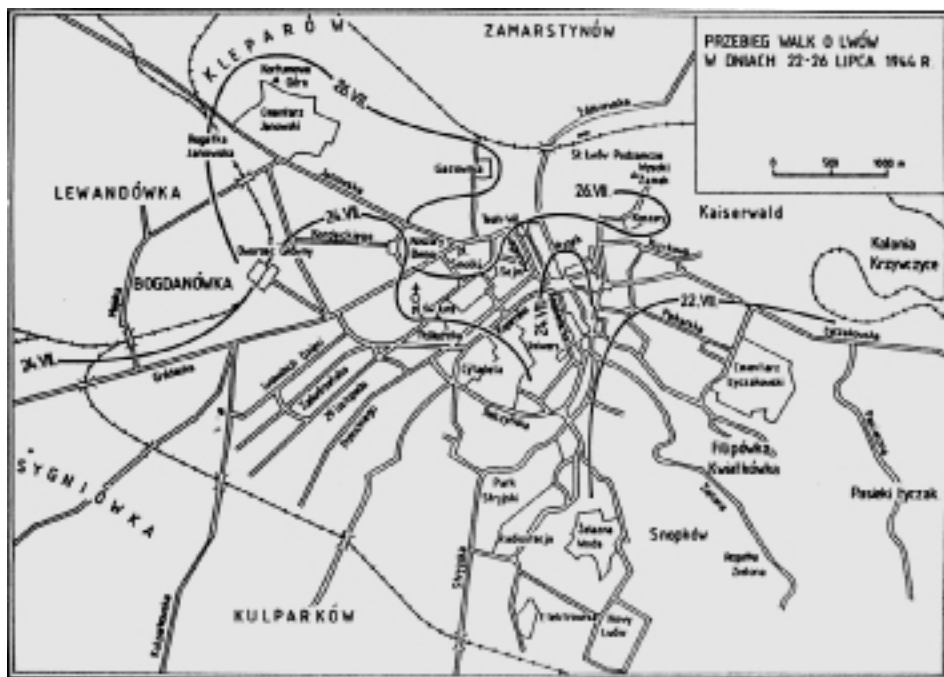
22 VII 1944

Tego dnia sowieckie oddziały rozgromiły armię ukraińsko-niemiecką w bitwie pod Brodami (w tym „słynną” dywizję SS Galizien). Niemcy stracili 30 tys. ludzi, a 17 tys. dostało się do niewoli. Sowietci zdobyli 1400 dział i 1500 samochodów. SS Galizien straciło 7 tys. żołnierzy, niedobitki przebiły się do Złoczowa, a reszta uciekła do UPA. Dzięki temu oddziały sowieckie miały otwartą drogę na Lwów. W tym czasie około godziny 4 lub 5 rozpoczęły się walki w rejonie rogiatki Zielonej. Od 7–8 Niemcy uciekli do miasta. O 8 rano sowieckie dywizje zdobyły ulice we Lwowie od św. Piotra do Łyczakowskiej. O 9 nasilają się walki w mieście, niemieckie oddziały rozpoczęły odwrót w stronę centrum Lwowa. O 10 rano nasila się ostrzał niemiecki na ul. Zielonej. Wyszadzone w powietrze maszty radiostacji na placu powystawowym i urządzenia na dworcu głównym (według relacji śp. Stanisława Kota, akowcom udało się rozminować radiostację koło Targów Wschodnich i uchronić przed zniszczeniem). 11:00 oddziały sowieckie osią-

gnęły ulicę Piłsudskiego. Na południu podpalono koszary 40 Pułku Piechoty. W śródmieściu, okolicach Skniłowa, dworca głównego i na Zamarstynowie podpalono rafinerie. Godzina 16: cofający się Niemcy zorganizowali obronę na ul. Piekarskiej. W tym czasie działa niemieckie ostrzelały okolice dworca, parku Stryjskiego i Żelaznej Wody. Czołgi sowieckie dotarły do ul. Halickiej. Jednak przeciwnarciarce niemieckie odrzuciło oddziały sowieckie. Niemcy utworzyli nową linię obrony wzdłuż ulic Podwale, Romanowicza, pl. Bernardyńskiego, Cytadeli, Pełczyńskiej i Listopadowej. Sowietci założyli centrum dowodzenia w willi przy ul. Zielonej. W nocy z 21 na 22 lipca Niemcy spróbowali wysadzić w powietrze elektrownię na Persenkówce, częściowo temu zapobiegli żołnierze AK. Zostały wysadzone tylko stare kotły i hala turbin, natomiast przewody do pomp w nowej kotłowni i rozdzielni przeciął kierownik zmiany Jan Cisow, dzięki temu elektrownia po zakończeniu walk wznowiła szybko działalność. Niemcy próbowali przebić się przez drogę na Górnym Łyczakowie. Jednak napotkali na zorganizowany opór 3 szwadronu AK z oddziału leśnego 14 Pułku Ułanów, który otrzymał wsparcie sowieków. W trakcie walk szwadron ppor. Romana Madurowicza ps. Osa stracił 4 żołnierzy, a 11 zostało śmiertelnie rannych, kilku odniosło lekkie rany, w tym ranny został kpt. Draża. Niemcy stacjonujący w Winniczkach napotkali patrol 1 szwadronu, pojmali 5 żoł-



Gmach Politechniki we Lwowie zdobyty przez kompanię Kedywu AK dowodzoną przez kpt. Piotra Szewczyka – cichociemnego. Zdjęcie wykonane ok. 25 lipca 1944 r. Źródło: <https://historiamniejznanaizapomniana.wordpress.com/2015/07/22/walki-we-lwowie-22-27-07-1944>



nierzy. Zostali oni osądzeni przez „niezawisły sąd” składający się z oficerów SS Galizien, wszystkich zamordowano w sposób bestialski. W tym czasie w Siemianówce oddział leśny 1 kompanii 26 Pułku Piechoty ppor. Józefa Bissa ps. Wacław rozpoczął dywersję na drogach. Na drodze Szczercz–Lwów zniszczył niemiecki samochód osobowy, wszyscy pasażerowie zginęli. W Pustomytach Niemcy ujęli dwóch żołnierzy AK z 26 Pułku Piechoty, rozstrzelano ich na miejscu.

23 VII 1944

Pod Lwowem dowódca niemieckiej Grupy Armii „Północna Ukraina” gen. płk Joseph Harpe nakazał odwrót wojsk niemieckich, którym groziło okrążenie do Sambora. W nocy z 22 na 23 lipca do sztabu sowieckiego dotarł kpt. Draża. Spotkał się z ppłk. Jefimowem. Na spotkaniu uzgodniono, że oddziały 14 Pułku Ułanów AK otrzymały zadanie osłaniania prawego skrzydła wojsk sowieckich nacierających na Lwów. Akowcy zajęli pozycję na skrajach rowów strzeleckich koło lasów nad Winniczkami i Winnikami. Od rana rozpoczęły się na nowo walki o Lwów. 63 brygada przebiła się do centrum przez ul. Kochanowskiego, a potem ogrody Akademii Medycyny Weterynaryjnej.

O godz. 11:20 Niemcy zaczęli odwrót do centrum miasta wzdłuż ul. Łyczakowskiej. Sztab AK (5 Dywizji Piechoty AK) założył punkt dowodzenia przy ul. Kochanowskiego 27. W południe Niemcy zorganizowali nową linię obrony na placu Halickim. Założyli, że akowcy i sowieci przeprowadzą natarcie wzdłuż ulic Akademickiej, Batorego, Sobieskiego i placu Bernardyńskiego. W południe żołnierze AK zajęli ratusz, w tym czasie Ryszard Orzechowski ps. Jan, Franciszek Orzechowski ps. Oksza, Grzesio, Franciszek Mauer ps. Zyndram wywiesili polską, amerykańską, brytyjską i sowiecką flagę (którą otrzymali od sowieckiego czołgisty). Na południu oddziały sowieckie przełamały pozycje niemieckie na ul. Czarnieckiej, Zielonej i placu Bernardyńskiego. Oddziały Wehrmachtu wycofały się wzdłuż Wałów Hetmańskich. Wieczorem zostaje opanowana cała ul. Łyczakowska. Od teraz południowe oddziały niemieckie bronią się w odseparowanych punktach obronnych. Główne siły niemieckie wycofały się wzdłuż ul. Gródeckiej, a niektóre oddziały utrzymywały punkty na Politechnice, w gmachu posejmowym, okolicy ul. Legionów i na Wysokim Zamku oraz pod Teatrem Wielkim. Od tego dnia oddziały AK występowały jawnie. Po południu niemiecka artyleria ostrzelała rogatkę

Zieloną i Cmentarz Łyczakowski, a sowieci ostrzelali dworzec główny i Skniłów. Dodatkowo oddziały sowieckie wdarły się do Lwowa od Sokolnik i rozpoczęły natarcie wzdłuż ul. Stryjskiej. Natomiast w rejonie Nawarii, Dawidowa i Krotoszyna żołnierze AK zaatakowali wycofujących się Niemców, tracąc 11 ludzi. Wieczorem sowieci rozpoczęli szturm na dworzec główny. O zmroku dalej trwały walki na placu Mariackim. Dodatkowo pojawiły się sowieckie afisze na murach miasta z odezwą trójjęzyczną obwieszczającą, że „Armia Stalina wyzwala Lwów”.

Rano część oddziałów niemieckich wycofała się do Biłki Szlacheckiej. Tam stworzyli linię obrony wzdłuż rzeki Biłki. Widząc to dowódca miejscowego oddziału AK, por. Marian Bolesław Czajkowski ps. Tomasz, rozpoczął atak na pozycje obronne wroga. Niestety nie udało się ich przełamać. Straty AK wyniosły: 2 ludzi zabitych i 7 rannych. O 9 rano przybyły oddziały sowieckie. Do wieczora w Biłce Szlacheckiej będzie przebywać około 40–50 żołnierzy sowieckich.

W tym czasie oddziały AK z Siemianówki udały się do Starego Sioła w celu wsparcia tamtejszej placówki AK. Maszerując przez wsie ukraińskie zostały zaatakowane przez oddziały UPA; w wyniku walk zginął dowódca UPA na koniu. Upowcy wycofali się.

24 VII 1944

Tego dnia sowieci rozpoczęli koncentrację swoich sił i przygotowali się do ponownego natarcia na Lwów. Wobec tego niemieckie dowództwo nakazało odwrót wojsk pozostałych w mieście. Rano główne siły niemieckie opuściły Lwów i wycofały się do Przemyśla. Tymczasem we Lwowie dowództwo AK rozlepiło afisze, w których nawoływało mieszkańców, aby wydali ukrywających się Niemców, oraz dodatkowo zakazano samosądów. Od rana artyleria sowiecka ostrzeliwuje miasto. Sowietnicy zdobyli Cytadelę, Politechnikę, część Gródeckiej. Przełamano obronę niemiecką na Rynku i Podwalu. Teraz Niemcy utworzyli nową linię obrony wokół Teatru Wielkiego, Wysokiego Zamku i w cerkwi św. Jura. Oddziałom AK i sowieckim udało się oczyścić całkowicie z Niemców ulice Piekarską, Zieloną, Stryjską, Pełczyńską. Wcześniej na gmachu Politechniki Lwowskiej wywieszono 4 flagi, potem zastąpiono je dwoma: polską i sowiecką. Wie-

czorem sowieci zdjęli wszystkie flagi z ratusza oprócz sowieckiej. Po południu opanowano śródmieście, a wieczorem dworzec główny i stację kolejową. Tego dnia w Dzielnicy Zachodniej oddziały AK rozpoczęły walkę z oddziałami niemieckimi. Jednak atak na górę Kortumową został odparty.

Dowództwo Dzielnicy Południowej założyło swój sztab w domu „Pod Książką” przy ul. Kadeckiej 36. Koło starych budynków Uniwersytetu rozpoczęły swą zbiórkę oddziały wywiadu i kontrwywiadu AK. Tego dnia wysłano depezę do Warszawy: „Oddziały własne w mieście wzięły udział w walkach, wszędzie spotkały się z uznaniem dowódców sowieckich. Dzisiaj o godzinie 11 komendant Gratu [kryptonim Podokręgu Lwów AK] zgłosił mnie [gen. Filipowskiego] u sowieckiego dowódcy dywizji zdobywającej Lwów. Dowódca dywizji stwierdził, że wie już o walkach oddziałów polskich i docenia ich pomoc, następnie zadał szereg pytań dotyczących naszego stosunku do Berlinga”. Pod Starym Siołem AK zniszczyło patrol niemiecki i jeden motocykl. Tymczasem w Biłce Szlacheckiej, oddziały sowieckie zluźnowały akowców i nakazały im oddać broń.

25 VII 1944

W nocy z 24 na 25 lipca 1944 trwały zażarte walki o śródmieście lwowskie. Niemcy przeprowadzili skuteczny kontratak i odbili plac Mariacki, w południe plac Halicki, Bernardyński oraz ulice Akademicką i Kopernika. Jednak kiedy sowieckie dywizje pancerne dostały wsparcie piechoty, odrzuciły Niemców z centrum Lwowa.

W tym czasie gen. Filipowski ps. Cis rozpoczął rozmowy z gen. Iwanowem. Rozmowa była utrzymana w tonie przyjemnym. Gen. Filipowski ps. Cis zapewnił gen. Iwanowa, że jeśli dostarczy sprzęt wojskowy, uda mu



gen. Władysław Filipowski



się sformować dywizję piechoty w ciągu tygodnia. Gen. Iwanowski zaproponował, aby przedstawiono mu tylko listę wszystkich oficerów AK, którzy mieliby dowodzić oddziałami w dywizji. Godzinę później dowództwo AK spotkało się z naczelnikiem NKGB gen. lejtn. Gruszką (potrafił rozmawiać w języku polskim). Rozmowa przebiegła w uprzejmym tonie. Gen. lejtn. Gruszko podziękował akowcom za uratowanie wodociągów i elektrowni przed wysadzeniem. Jednak w trakcie rozmowy stwierdził, że jak wjeżdżał do Lwowa, zobaczył dużo flag polskich, co uznał za prowokację polską.

Na to gen. Filipowski odpowiedział: Lwów to polskie miasto.

Gruszko: Co ważniejsze – wyspa czy ocean?

Filipowski: Ocean.

Gruszko: No widzi Pan, Lwów to polska wyspa na ukraińskim oceanie.

Tego dnia sowieci zastrzelili Jana Ciska, człowieka, który uratował elektrownię lwowską przed wysadzeniem. Dodatkowo władze sowieckie zakazały drukowania jakichkolwiek druków bez autoryzacji NKWD.

Tymczasem na Sygniówce Oddziały AK Zachodniej Dzielnicy zaczęły ustępować Niemcom. Sytuację opanował kpt. Jan Osowski oficer KON. Wieczorem w mieście, wybuchła panika. Pojawiła się plotka, że w okolicy Lwowa, stacjonuje oddział SS Galizien i Ukraińcy rozpoczęli mordy na Polakach. Polacy zaczęli uciekać. AK próbowało powstrzymać ucieczkę. W tym czasie płonęła kopuła kościoła Dominikanów, dzięki akcji ratunkowej, udało się powstrzymać pożar.

Tego dnia o godzinie 13 Niemcy (od strony Dawidowa), rozpoczęli odwrót i zagrozili Staremu Siołu. Jednak natrafili tam na silne umocnione pozycje akowców. Po zniszczeniu jednego patrolu, odpuścili.

26 VII 1944

We Lwowie walki przeniosły się w rejon północno-zachodni. Dzięki współpracy oddziałów AK i sowieckich udało się całkowicie opanować dworzec główny, cerkiew św. Jura, park Kościuszki. Unieściwiono punkty oporu niemieckiego w klasztorze oo. Bernardynów i na Wysokim Zamku. Teraz Niemcy bronili się tylko: w koszarach Bema, getcie i od ul. Janowskiej do Gródeckiej aż po róg Bema, Lewandówkę. Sowietci opanowali górną część ul. Janowskiej, cmentarz i wzgórze Janowskie. Równocześnie rozpoczęto likwidację zgrupowań niemiecko-ukraińskich w rejonie Winnik i Podborzec. W dodatku przelamano obronę niemiecką wzdłuż rzeki Biłki.

Żołnierze AK zabezpieczyli archiwum przy ulicy Jabłonowskich. Wieczorem gen. Iwanow przybył do sztabu AK przy ul. Kochanowskiego 27, gdzie spotkał się ze 150 oficerami AK. Tam wyraził zgodę na sformowanie 5 Lwowskiej Dywizji Piechoty. Tego dnia ujawnił się Okręgowy Delegat Rządu na Kraj mgr Adam Ostrowski. Narada odbyła się w gmachu Delegatury przy ul. Kochanowskiego 25. Na murach Lwowa rozlepiono odezwę Komendanta Sił Zbrojnych na Obszar Południowo-Wschodni, skierowaną do żołnierzy AK, za zgodą sowieckich cenzorów. Zaczęto zdejmować flagi polskie i alianckie. Rano niemieckie samoloty strzelały do tłumu uciekinierów na rogatkach ul. Zielonej. Dodatkowo rankiem w południowej części Siemianówki zatrzymały się 3 samochody pełne żołnierzy SS Galizien, zamordowali 10 Polaków. W tej sytuacji Oddziały AK stworzyły linię obrony w północnej części wsi. Widząc to Niemcy rozpoczęli atak tyralierą. Wtedy Polacy rozpoczęli odwrót. Jednak do kontrnatarcia poderwał ich kpt. Feja ps. Lech. Niemcy zaczęli uciekać i porzucać broń. W tej sytuacji Niemcy rozpoczęli ostrzał artyleryjski



północnej części wsi. AK i mieszkańcy Siemianówki wycofali się do lasu.

27 VII 1944

W mieście zakończyły się walki. Do Lwowa wkroczyła spora ilość wojsk sowieckich. Do Warszawy wysłano dwie depesze. Pierwsza informowała o zakończeniu walk w mieście. Kolejna informowała dowództwo AK w Warszawie odnośnie do prowadzenia rozmów przez gen. Filipowskiego z dowództwem sowieckim. Tego dnia do sztabu sowieckiego zostali wezwani gen. Filipowski i ppłk. Podhowski. Gen. Iwanow nakazał natychmiastowe złożenie broni przez oddziały AK. Potem zostali zaproszeni do gen. Gruszko, który oznajmił im: *Tu sowiecka ziemia i sowiecki naród, nie macie co tu szukać – jest jednak Polska Armia, którą dowodzi gen. Michał Żymierski, czemu do niego nie pojechać i nie porozmawiać. Damy wam samolot do Żytomierza.*

W tej sytuacji Okręgowy Delegat Rządu na Kraj mgr Ostrowski zwołał Radę Polską Ziemi Południowo-Wschodnich RP. Pierwszy zabrał głos gen. Filipowski i zrelacjonował przebieg walk o Lwów. Kolejną osobą, która zabrała głos, był mgr Ostrowski. Skrytykował „nieudolną” politykę rządu londyńskiego, którą prowadził wobec rządu sowieckiego. Dlatego stwierdził, że uda się do Chełma i tam będzie próbował rozwiązać spór. Wobec takiego stanowiska zaprotestowali przedstawiciele SN, zażądali jego dymisji. Zostali poparci przez delegatów Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Demokratycznego. Plany Delegata poparła tylko Wolność (Związek Socjalistów Ludowych). Natomiast przedstawiciel SL i WRN (Wolność, Równość, Niepodległość – socjaliści) wstrzymali się od głosu. Rankiem Rada wyraziła zgodę na podjęcie rozmów przez gen. Filipowskiego z gen. Rola-Żymierskim.

28 VII 1944

W nocy na ul. Jabłonowskiej, gdzie znajdowało się archiwum, sowieccy żołnierze dokonali rabunku (zostawili tam swoje podpisy). Wieczorem Delegacja AK, w której uczestniczyli: gen. Filipowski, jego adiutant ppor. Zygmunt Łanowski, zastępca Komendanta Okręgu AK Lwów płk. Franciszek Studziński, szef sztabu ppłk. Podhowski i Komendant Podokręgu



Lwów ppłk. dypl. Stefan Czerwiński, udała się do gen. Roli-Żymierskiego.

29 VII 1944

Sowieci rozbili oddział leśny ppor. Wacława w Hodowicy.

30 VII 1944

Gen. Filipowski wysłał depezę do dowództwa AK w Warszawie, w której informował, że oddziały AK Lwów zostały rozbrojone przez Sowietów. Natomiast Naczelne Dowództwo AK Lwów udało się do Żytomierza w celu przeprowadzenia rozmów z gen. Rola-Żymierskim na temat stworzenia dywizji lwowskiej z żołnierzy AK Lwów.

31 VII 1944

Z samego rana ppłk. Grosz przyjechał samochodem do Lwowa, aby przetransportować dowództwo AK Lwów na rozmowy do Żytomierza. Tego dnia NKWD rozpoczęło aresztowania wśród żołnierzy AK. Aresztowano: szefa wywiadu Komendy Lwów ppor. Mieczysława Borodeja ps. Lis, szefa kontrwywiadu okręgu ppor. Jerzego Polaczka ps. Dwera. Wieczorem na żądanie sowieckiego dowództwa zwołano zebranie wyższych oficerów AK, w celu „uzgodnienia spraw dotyczących przyszłej kadry dowódczej w dywizji lwowskiej”. Aresztowano 20 oficerów AK (w tym jedną kobietę) oraz wszystkich, którzy przebywali w budynku Sztabu AK Lwów przy ul. Kochanowskiego 27.

Opracowano na podstawie książki Jerzego Węsierskiego, Grzegorza Mazura i Jerzego Skwary *Kronika 2350 dni wojny i okupacji Lwowa* oraz relacji Ryszarda Orzechowskiego i Stanisława Kota, Katowice 2007.

Janusz M. Paluch

Tajemnicza sympatia

dr Jadwiga Makowska



WKrakowie 12 marca 2020 r. zmarła dr Jadwiga Makowska. Przyjaciele i znajomi pamiętają jej pogodny charakter i życzliwość. Urodziła się we Lwowie 12 lutego 1926 roku. Przed II wojną światową była uczennicą Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego im. Adama Mickiewicza Olgi Filippi-Żychowiczowej. Matka przeniosła ją do Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego Siostr Urszulanek, bo – jak twierdziła – Jadwiga „wpadła w złe towarzystwo”. A była to przyjaźń z piękną dziewczyną żydowskiego pochodzenia, która – jak wspominała pani Jadwiga – *rozbudziła wszystkich w szkole chłopaków. Ale opiekunczość mamy spaliła na panewce, bo Irenka następnego dnia poszła do dyrektorki i też przepisała się do Urszulanek. I w klasztornej szkole była jedna, jedyna Żydówka. Ale ona musiała być ze mną*¹ – wspominała pani Jadwiga.

¹ <https://www.youtube.com/watch?v=IDuFly-xik8>

W czasie okupacji niemieckiej uczęszczała na tajne komplety, oficjalnie ukończyła wyższy kurs dla przedmiotów zawodowych, potem uczyła się w szkole handlowej. W końcu została uczennicą jednej z lepszych szkół zawodowych we Lwowie – dwuletniej Wyższej Szkoły Chemicznej. Uczyli tam znani lwowscy profesorowie, którzy poziom nauki tak wyrubowali, że w Krakowie, już na Akademii Medycznej, pani Jadwiga została zwolniona z egzaminu z chemii fizjologicznej – jednego z najtrudniejszych egzaminów na studiach medycznych. Pracowała też w instytucie prof. Rudolfa Weigla, by uchronić się przed wywozem na przymusowe prace do Niemiec. Jadwiga spotykała tam Stefana Banacha juniora – syna znanego matematyka prof. Stefana Banacha – studenta medycyny, później lekarza neurologa. Stefco – tak o nim mówiła, o swej niespełnionej miłości – wspomina Ewa Łukasik, córka pani Jadwigi. W instytucie Weigla, jako „karmiciel wszy”, pracował również Zbigniew Herbert.

Jadwiga była jedynaczką. Oczkiem w głowie opiekuńczych rodziców. Jej ojcem był znany lwowski filolog klasyczny, pochodzący z Brzeżan, prof. Marian Golias, nauczyciel w prestiżowym III Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie. Był autorem podręczników do greki i łaciny, które były używane jeszcze po wojnie. Jakże ciepło wspomina go Zdzisław Żygulski jun., uczeń tej szkoły w latach trzydziestych XX w.: *Rzeczywistym naszym łacinnikiem i grezystą, a zarazem opiekunem klasy, był profesor Marian Golias, lektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, kierownik Ogniska Metodycznego nauki języka łacińskiego, znakomity dydaktyk. To głównie dzięki niemu opanowaliśmy język łaciński, a nawet, głównie z mego pomysł, założyliśmy kółko filomatów, aby zbierać się popołudniami i czytać poezję łacińską, będącą poza programem, między innymi poezje miłosne Katulusa, a także „Metamorfozy” i „Sztukę kochania” Owidiusza*². Jego ojciec, prof. Zdzisław Żygulski senior,

² Zdzisław Żygulski jun., wspomnienia o III Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Króla Stefana Batorego we Lwowie, zamieszczone w wydawanym przez Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich periodyku „Ul. Na Bajkach”, nr 70 (170).

był w 1945 roku twórcą i pierwszym kierownikiem Katedry Filologii Germańskiej na Uniwersytecie Łódzkim.

Mama, Hermina, z domu Kattinger, pochodziła z rodziny o austriackich korzeniach. Doskonale władała językiem niemieckim, świetnie pisała na maszynie. Pracowała w jednym z lwowskich banków³. Całe życie była prawą ręką profesora, kimś w rodzaju osobistej sekretarki, prowadząc jednocześnie dom.

– Dziadzio siadał wygodnie w fotelu i dyktował babci artykuły, recenzje, a ona stuknęła szybko i bezbłędnie na maszynie... – wspomina pani Łukasik. – Potem nanosiła poprawki, wysyłała listy... Kiedy Marian Golias zmarł, studenci długo jeszcze do niej przychodzili, opiekowali się wdową po zmarłym profesorze, czasami korzystali z jej umiejętności biegłego pisania na maszynie. A ich następcy, którzy jeszcze w XXI wieku uczą się z podręczników Goliasa, na portalu społecznościowym, na Facebooku, założyli w 2010 roku stronę o nazwie Marian Golias Wiecznie Żywy, dodając w opisie humorystyczny zapis: *Nazywam się Marjan Golias i stworzyłem najlepszy na rynku podręcznik dla czwartej i piątej klasy gimnazjów klasycznych dawnego i nowego typu! W wolnym czasie zajmuję się geografią, geologią oraz zasadzaniem się na niegrzecznych uczniów!*⁴ A nawet odwiedzają panią Jadwigę w Krakowie! Na stronie FB pani Ewy Łukasik Martinus Loch zamieścił wspomnienie z tamtego spotkania:

Poznałem p. Jadwigę bodajże w 2012 roku, gdy szukałem wiadomości na temat jej ojca, lwowskiego (a później łódzkiego) filologa klasycznego, Mariana Goliasa. Wybraliśmy się do niej z kolegą Kacprem Kardasem i nagraliśmy wywiad. [...] Zapamiętam p. Jadwigę jako radosną kobietę, która mimo wieku tryskała humorem i energią. Gdy p. Ewa napominała ją, by dla własnego bezpieczeństwa używała laski, którą od niej dostała, odpowiadała: „Córciu! Ja? Z laską? Ty wiesz, jak to postarza?” Po kilku latach nagraliśmy kolejny wywiad, a po nim poszliśmy do pobliskiego baru na obiad.

³ Przemysław Włodek, *Lwów. Góra Kalecza i Cytadela*, t. IX, z. 1, Kraków 2014, s. 111.

⁴ <https://www.facebook.com/groups/413646130612/>

Dostałem sporą porcję, na obiad dla mnie było zdecydowanie za wcześnie (zwłaszcza 2-daniowy). Siłą rzeczy zostawiłem trochę ziemniaków i surówki z marchwi. P. Jadwiga widząc to, z pełną stanowczością, wskazując palcem na surówkę, nakazała: „Może babci tutaj nie ma, ale ja to powiem w zastępstwie: ale surówkę to proszę ZJEŚĆ! Jest zima, a to są witaminy! I dobrze działają na wzrok!” Cóż było mówić... wpełchnąłem jakoś tę marchewkę, mimo że zupełnie nie miałem na nią ochoty.

Żona profesora, Hermina Golias, zmarła w 1982 roku, spoczywa obok swojego męża na łódzkim cmentarzu. W Dniu Wszystkich Świętych delegacja z Uniwersytetu Łódzkiego zawsze odwiedza grób Mariana Goliasa i jego żony Herminy.

Po II wojnie światowej Goliasowie ekspatriowani zostali do Krakowa. Jak wspominała pani Jadwiga, Lwów opuszczali na podstawie umowy między uniwersytetami lwowskim i krakowskim specjalnym pociągami. Dzięki temu mogli spakować meble i całe wyposażenie mieszkania, obrazy, kilimy, książki. Pani Jadwiga opowiadała córce, że całą drogę siedziała na skrzynce z jabłkami, które podjadała, aż do bólu brzucha. Tym samym pociągami opuszczał Lwów Stefcio Banach, który powierzył na czas podróży Marianowi Goliasowi słynną *Księżę Szkocką* z zapisami lwowskich matematyków. Udało się ją bez problemów przemycić przez granicę i już w Przemyślu Marian Golias oddał ją synowi prof. Stefana Banacha⁵.

W Krakowie przywiezione rzeczy złożyli w magazynach Biblioteki Jagiellońskiej. Jadwiga ze swą przyjaciółką Janiną od razu rozpoczęły studia medyczne i zamieszkały w akademiku. Goliasowie mieszkali w hotelu, oczekując na propozycje pracy. Pierwsza nadeszła z Wrocławia. Prof. Golias miał stwierdzić, że opuścili rubieżę wschodnie i nie chce mieszkać na rubieżach zachodnich. Znalazł w końcu zatrudnienie w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a później – jako docent – na Uniwersytecie Łódzkim w Zakładzie Filologii Klasycznej, którym kierował w latach 1953–1963. Prowadził zajęcia dydaktyczne, pisał podręczniki do nauki języka greckiego i łacińskiego, z których studenci

⁵ Przemysław Włodek, *Lwów. Góra Kalecza i Cytadela*, t. IX, z. 1, Kraków 2014, s. 111.

Jadwiga z mamą i ukończonym psem Dżokiem, który w czasie wojny rzucał się na każdą osobę ubraną w mundur, co bywało dość niebezpieczne ►

Jadwiga Makowska z mamą Herminą Golias z domu Kattinger ▼



korzystają ponoć do dzisiaj. Był też prodziekanem Wydziału Filologicznego. W końcu tłumaczył i wydawał teksty antycznych pisarzy, m.in. *Bajki* Ezopa.

Jadwiga w 1951 roku ukończyła studia medyczne w Krakowie. Została lekarzem okulistą, dochodząc w swej karierze zawodowej do drugiej specjalizacji. Pracowała w Klinice Okulistycznej Akademii Medycznej w Krakowie, Instytucie Pediatrii AM – w szpitalu w Prokocimiu. Była też wieloletnim konsultantem w Sanatorium Diabetologicznym w Rabce-Zdroju – nie wspominając o innych praktykach medycznych, których było przez dziesiątki lat pracy przynajmniej kilkanaście. Przez jej gabinety lekarskie przewinęło się pewnie kilkadziesiąt tysięcy pacjentów, którzy zapewne przez długie jeszcze lata będą miały Panią Doktor we wdzięcznej pamięci.

We Lwowie Państwo Goliasowie mieszkali przy ul. Obozowej 4 na drugim piętrze, po prawej... W czasie okupacji niemieckiej w ich mieszkaniu odbywały się zajęcia tajnego nauczania, organizowane przez Mariana Goliasa. Oprócz córki Jadwigi, na tajnych kompletach pojawiali się m.in.: Jacek Ję-

drzejowski, Jacek Derdacki (syn architekta Władysława Derdackiego), Jędrzek Laskownicki (syn urologa, prof. Stanisława Laskownickiego), Jerzy Schaezel⁶. Ulica Obozowa była krótka i wąską uliczką. Kamienice posiadały balkony umieszczone od strony ulicy. Właścicielem kamienicy, w której mieszkali Goliasowie, był pan Rozwadowski – mieszkał na I piętrze. Na parterze swą siedzibę miało biuro Towarzystwa Ubezpieczeniowego „The Mutual”. Pani Jadwiga Makowska zapamiętała sąsiadów, a wśród nich panią Krauzową mieszkającą z dwoma córkami na parterze, architekta Tadeusza Wróbla, Anielę Kocko, Franciszka Otto i Julię Otto – nauczycielkę, Cecylię Rozwadowską, Stefana Witwickiego – adwokata, Helenę Beger, Jadwigę Beger, Marię Beger, Tadeusza Drzymuchowskiego – urzędnika Kasy Chorych (mieszkał na II piętrze – po lewej), Majera Kaswinerhaxa. Na podwórku w niewielkim domku mieszkała dozorczyń – Ukrainka (nazwisko nieznane). Jej zięć (nazwisko nieznane) należał do OUN i w lipcu 1944 roku unieruchomił Elektrownię Miejską⁷. Goliasowie zatrudniali pomoc domową – panią Anielę Łobodzińską, Ukrainkę. Pani Jadwiga wspomina, że była bardzo bezpośrednia, choć w czasie okupacji mogło ich to wiele kosztować. Kiedy Lwów po 1939 roku był opanowany przez Rosjan, mieszkał u nich rosyjski oficer. Śmiała się z niego, gdy za-

⁶ Przemysław Włodek, *Lwów. Góra Kalecza i Cytadela*, t. IX, z. 1, Kraków 2014, s. 111.

⁷ Ibidem.

uważała, że myje ręce w muszli klozetowej: *Loniu, Loniu, ty nosisz rękawiczki, a ty nawet klozetu nie widział!* Kiedy przyszli Niemcy, dostali na kwatery oficera SS. Gdy odwiedziła go żona z małym synkiem, Aniela nauczyła go po polsku: *Hitler świnia!* Chłopiec oczywiście pochwalił się swymi zdolnościami lingwistycznymi w towarzystwie innych Niemców... Podejrzanie padło na Anielę. Na szczęście skończyło się bez śledztwa, a niemiecki oficer uwierzył, że chłopiec usłyszał to na ulicy...⁸

Do centrum miasta było bardzo blisko. Jadwiga do pierwszej spowiedzi i komunii świętej przystępowała w kościele oo. Bernar-

tkwił element, by tak rzec, osobisty. W kamienicy naprzeciw mieszkała młoda istota, której pełne kształty, kasztanowe włosy i dołeczki w policzkach przyprawiły o zawrót głowy i mąciły zmysły. Była córką profesora łaciny (nie z naszego wprawdzie gimnazjum), ale znaliśmy go, gdyż był autorem opracowań tekstów, nad którymi głowiliśmy się; ogłaszał także artykuły w miesięczniku „Filomata”, a pismo to prenumerowaliśmy (obowiązkowo) za pośrednictwem Grzesia. Siadywałem na balkonie z gramatyką łacińską Auerbacha i Dąbrowskiego i udawałem, że lektura tego wyjątkowo nudnego dziełka wprawia mnie w ekstazę.



Jadwiga z ojcem prof. Marianem Goliąsem podczas wakacji

dynów. To była jej ulubiona świątynia. Tam podczas okupacji uczęszczała na tajną katechezę. Przy tej samej ulicy pod numerem piątym, naprzeciwko ich kamienicy, mieszkał z rodzicami Zbigniew Herbert – uczeń VIII Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego. W swej książce *Labirynt nad morzem* opowiada o jakże romantycznym wydarzeniu:

W moim zainteresowaniu łaciną i w miernych – wyznam – w tej dziedzinie postępach

Był to właściwie akt rozpacz. Jeśli przedmiot moich gorących uczuć zjawił się na balkonie, nie było to przeznaczone dla mnie. Czasem dotykała mnie roztagonionym spojrzeniem, tak jak się patrzy na obłoki przesuwane się po niebie. Czekwała na mego starszego kolegę z liceum, rosłego młodzieńca z falującą czupryną blond, niewątpliwie przystojnego (był chorącym naszego szkolnego sztandaru i na uroczystościach przepasany szarfą, w białych rękawiczkach prezentował się istotnie znakomicie) – ale, wiedziałem to dobrze, nie mógł dać jej szczęścia. Codziennie niemal

⁸ <https://www.youtube.com/watch?v=L5DB- FEwmWBA>



o piątej po południu ona i mój śmiertelny wróg wychodzili z domu i znikali za rogiem w małej uliczce ocienionej kasztanami, gdzie (mówiła mi o tym moja rozgorączkowana wyobraźnia) działy się rzeczy straszne: ujmował ją pod ramię (wbrew najsurowszym zakazom regulaminu szkół średnich) i być może wyciskał na jej jedwabnej rękawiczce płomienny pocałunek. Burza sprzecznych uczuć w mojej udręczonej duszy:

Odi et amo. Quare id faciam, fortasse requiris.
Nescio, sed fieri sentio et excrucior⁹.

Na co liczyłem, manipulując na balkonie gramatyką łacińską Auerbacha i Dąbrowskiego tak, aby okładka była z daleka widoczna? Liczyłem na to, że pewnego dnia dostrzeże mnie ojciec – klasyczny filolog i zawoła: „Obserwuję cię, młodzieńcze, od dawna. Twoja skromność i pracowitość, twoje umiłowanie mowy Rzymian są rękojmią, że jesteś odpowiednim kandydatem na męża mojej córki. Oddaję ci przeto jej rękę”. A dalej sprawy potoczyłyby się jak w bajce¹⁰.

O tym epizodzie wspomina też w biografii Zbigniewa Herberta Andrzej Franaszek¹¹. Nie wymienia jednak nazwiska Jadwigi Makowskiej ani prof. Mariana Goliasa. Nie wymienia ich też Joanna Siedlecka – autorka biografii zatytułowanej *Pan od poezji*, ani Rafał Żebrowski w biograficznej książce o swym wuju *Zbigniew Herbert. Kamień, na którym mnie urodzono*, choć starał się sprawę wyjaśnić¹². Zbierając materiały do książek nie trafili do dr Makowskiej, bo ona przez całe lata milczała, nie chwaliła się znajomością z Herbertem. I tylko przypadek sprawił, że przyznała się do sympatyzowania z pewnym młodzieńcem, który nie wzbudził jednak w jej sercu entuzjazmu.

– Kilka lat temu ktoś, poprzez Internet, zapytał mnie, czy jestem wnuczką prof. Mariana Goliasa? – wspomina pani Ewa Łukasik. – Czy to możliwe, by fragment w książce Zbigniewa Herberta *Labirynt nad morzem* dotyczył mojej mamy?... Byłam zaskoczona. Mama nigdy nie opowiadała, że znała Zbigniewa Herberta. Zapytałam ją, czy pamięta poetę, który się w niej podkochiwał... Spojrzała na mnie figlarnie i z tym swoim uśmiechem.

– Ach! Tyłu się we mnie kochało! Gdzież mogłabym ich spamiętać!?

– A poetę pamiętasz? – naciskałam.

– Tak, był jakiś... Ale ja tylko na Stefcia patrzyłam... – oczywiście miała na myśli Stefana Banacha jun.

W czasie okupacji niemieckiej Jadwiga należała do nieformalnej grupy towarzyskiej – Klubu Kwitnącej Wiśni. Tworzyły ją dwie pary. Panowie konspirowali w AK, więc spotykali się niby towarzysko przy muzyce z patefonu¹³. Zabezpieczali się także przed sąsiadami, wszak młodość ma swoje prawa nawet w czasie wojny. Miała jeszcze w pamięci dramatyczną historię Ireny – Żydówki, koleżanki ze szkoły. Jej rodzice znaleźli się w getcie w Warszawie. Irena wyjechała do nich, by im pomagać. Pewnego dnia wróciła do Lwowa, do ciotki – krawcowej szycjącej

¹¹ Andrzej Franaszek, *Herbert. Biografia I. Niepokój*, s. 99.

¹² Rafał Żebrowski, *Zbigniew Herbert. Kamień, na którym mnie urodzono*, s. 323.

¹³ O KKW wspomina Leszek Sawicki na łamach „Rocznika lwowskiego 2006” wydanego przez Instytut Lwowski w Warszawie, s. 167 i 175.



Zdjęcie ślubne Jadwigi ze Zdzisławem Makowskim

ubrania Niemcom, z prośbą o pożyczenie pieniędzy. Poznały ją koleżanki ze szkoły, i jak twierdzi pani Jadwiga, jedna z nich zadenuncjowała ją Niemcom¹⁴. Która z nich to zrobiła – nigdy się nie wydało. Przyjaźń KKW przetrwała lata. Z Jasią Kuczyńską Jadwiga studiowała medycynę i mieszkała w akademiku. Po studiach ich drogi się rozeszły. Jadwiga została w Krakowie, a Jasia wyjechała na Śląsk. Przyjaźń przetrwała do końca...

Dr Jadwiga Makowska pochowana została na Cmentarzu Podgórskim w Krakowie. W uroczystościach pogrzebowych odbywających się w czasie pandemii nie mogło uczestniczyć zbyt wiele osób.

¹⁴ <https://www.youtube.com/watch?v=IDuFly-xik8>

DBAMY O PAMIĘĆ

Krakowski Oddział TML i KPW od 1996 roku prowadzi prace renowacyjne polskich mogił na Cmentarzu Łyczakowskim. O dotychczasowych efektach tej działalności można znaleźć informację w kwartalniku „Cracovia-Leopolis” nr 3/2019.

Kryteria w typowaniu obiektów były i są bardzo zróżnicowane. Po etapie porządkowania grobów polskich żołnierzy, walczących na różnych frontach, prowadzi się renowację mogił, w których pochowane są osoby zasłużone dla miasta Lwowa. Jest wiele nazwisk, które „niosą” ze sobą niezwykle dorobek życia, i na te osoby zwraca się szczególną uwagę, bowiem przyczyniły się one do wspaniałości miasta Lwowa.

Jak wybrać, zdecydować? Są różne drogi: przede wszystkim nasza wiedza, archiwa, czasem przypadkowo napotkane mogiły z polskim nazwiskiem. Niekiedy zdarzają się prośby potomków, którzy nawet finansują przedsięwzięcie, aby zachować pamięć o przodkach.

Od jakiegoś czasu dba się o to, aby porządkować groby grupami; w ten sposób porządkuje się choć mały fragment cmentarza, a nie jeden obiekt.

Sens wszystkich działań jest oczywisty: naszym obowiązkiem jest zachowanie polskiego Lwowa poprzez pielęgnowanie mogił, w których spoczywają dawni jego mieszkańcy – Polacy!



Antoni Wilgusiewicz

Co nam zostało z tych lat...

Lwów w Zbiorach polskich... Edwarda Chwalewika

Polskie muzea, biblioteki, zbiory dzieł sztuki w ciągu dziejów podlegały wielu niszczycielskim i grabieżczym działaniom, poczynając od wojen XVII wieku z apogeum w postaci potopu szwedzkiego w latach 1655–1660. Wystarczy przejrzeć katalogi Biblioteki Uniwersyteckiej w Uppsali, aby przekonać się, jakie skarby polskiej kultury zostały tam umieszczone po obrabowaniu księgozbiorów królów polskich, bibliotek zakonnych czy kapituły fromborskiej ze zbiorami Mikołaja Kopernika. Nie ma już dziś żadnych możliwości prawnych odzyskania tych zbiorów – pozostaje zakup dzieł pojawiających się na aukcjach lub gesty polityczne – jak zwrot w 1974 roku przez ówczesnego premiera Szwecji Olofa Palmego tzw. rolki sztokholmskiej (obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie). Ogromne straty i zniszczenia – także w zakresie kultury polskiej – przyniosła, zwłaszcza na Kresach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, I wojna światowa i wydarzenia nią spowodowane, przede wszystkim rewolucja w Rosji i rozruchy społeczne jej towarzyszące. Ustalenia pokoju ryskiego z 1921 roku przewidywały zwrot znajdujących się w Rosji polskich dóbr kulturalnych zagrabionych podczas zaborów, zwrócono

jednak ich niewielką część, choć z tak cennymi zabytkami jak arrasy wawelskie czy miecz koronacyjny królów polskich Szczerbiec. Nikt nie przewidywał wówczas, że mogą zdarzyć się jeszcze straszniejsze dla całego narodu i jego dóbr kultury wydarzenia; gdyby tak było, nie sprowadzono by przecież do kraju zbiorów bezcennych druków i rękopisów Muzeum Polskiego i biblioteki w Rapperswilu, które zostały spalone przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego.

W czasach tuż po odzyskaniu niepodległości odczuwano potrzebę inwentaryzacji dóbr polskiej kultury, które ocalały mimo kilku wieków ich niszczenia i grabienia przez najeźdźców i zaborców. Celem takiej inwentaryzacji, obok ukazania wielkości dorobku kulturowego narodu polskiego, było też stworzenie podstawy do starań o zwrot zagrabionych dóbr kultury polskiej – stąd też objęcie inwentaryzacją nie tylko zbiorów znajdujących się na terenie II Rzeczypospolitej, ale i poza jej granicami (głównie w ówczesnym ZSRR). Zadania tego podjął się Edward Chwalewik, żyjący w latach 1873–1956 polski bibliotekarz, bibliofil i historyk książki, w latach II RP pracownik Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej jako organizator i kierownik biblioteki ministerialnej.

Obraz Jana Styki Polonia z 1891 r. namalowany na uroczystość 100. rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja



W ciągu kilku lat żmudnej pracy zebrał materiał, napisał i wydał dwutomowe dzieło, któremu nadał tytuł *Zbiory polskie. Archiwa, biblioteki, gabinety, galerie, muzea i inne zbiory pamiątek przeszłości w ojczyźnie i na obczyźnie w porządku alfabetycznym według miejscowości ułożone*. Ukazało się ono w ekskluzywnym wydaniu 100 egzemplarzy numerowanych nakładem J. Mortkowicza w latach 1926–1927. Obecnie jest łatwiej dostępne w formie reprintu wydanego przez Krajową Agencję Wydawniczą w 1991 roku.

Dzieło Chwalewika, mimo nieuchronnych braków, z których przyczyn autor zdaje sprawę we wstępie, jest nieocenionym kompendium wiedzy o dobrach kultury polskiej po I wojnie światowej, tym cenniejszym, że wiele z nich już w kilkanaście lat po wydaniu dzieła zaginęło, zostało zrabowanych, zniszczonych lub po prostu znalazło się na terenie innego niż Polska państwa. W tej ostatniej kategorii znalazły się zbiory lwowskie (tylko w nieznaczej części przekazane po wojnie Polsce, jak część zbiorów Ossolineum czy Panorama Raclawicka) – dlatego też warto przyjrzeć im się bliżej. Pozwala nam to jeszcze raz zrozumieć rolę, jaką Miasto Semper Fidelis odgrywało w dziejach polskiej kultury, rozumianej zresztą szerzej, jako kultura dominująca w wielonarodowej, wielowyznaniowej I Rzeczypospolitej i jej kontynuacji w warunkach braku własnej państwowości w latach rozbiorów.

Na początku zauważmy, że hasło Kraków w książce zawiera 76 stron, hasło Warszawa 170 (oczywiście była to Warszawa przed zniszczeniami II wojny światowej), Wilno 40, Leningrad (wcześniej i dziś Petersburg) 60, Kijów 8, Katowice 1 stronę. Lwów zajmuje 52 strony.

Pod hasłem Lwów znajdujemy w dziele opis zbiorów 8 archiwów, 60 bibliotek, 7 kościołów, 15 muzeów, a poza tym Ratusz, Politechnikę, Uniwersytet, Teatr Miejski, Panoramę Raclawicką, 8 pomników na ulicach Lwowa i Cmentarz Łyczakowski, a wreszcie Zakład Narodowy im. Ossolińskich. Opis uzupełniają zbiory prywatne ponad 70 lwowian (lub ich spadkobierców). Trzeba zaznaczyć, że wykaz ten zawiera w sobie obraz wielokulturowego Lwowa; tak więc rozpoczynając od archiwów, mamy archiwum kapituły rzymskokatolickiej (najcenniejsze dokumenty to 320 pergaminów – najstarsze

z nich są przywileje Kazimierza Wielkiego z 1352 roku), ale także kapituły greckokatolickiej przy katedrze św. Jura (w nim najstarszy dokument w języku ruskim to przywilej Zygmunta III z 1605 roku) i archiwum konsystorskie ormiańskie, gdzie najcenniejszy był ormiański ewangelista pergaminowy z XIII wieku.

W Ratuszu mieściło się Archiwum Król. Stoł. M. Lwowa, założone w 1787 roku, ale zawierające znacznie starsze, bezcenne dokumenty dotyczące dziejów Lwowa – poczynając od bulli Grzegorza IX z 1234 roku. Dyrektorem Archiwum był wybitny znawca dziejów Lwowa dr Aleksander Czołowski. W gmachu Urzędu Wojewódzkiego mieściło się Archiwum Państwowe, przechowujące akta z czasów rządów austriackich w Galicji, w klasztorze Bernardynów zaś archiwum ziemskie, zwane popularnie bernardyńskim, którym kierował tak wybitny uczyony jak prof. Oswald Balzer. Zawierało ono bezcenne materiały do dziejów Małopolski, późniejszej Galicji, w postaci akt grodzkich i ziemskich, map, a także takie unikatki, jak skonfiskowane przez ówczesne władze druki rewolucyjne z lat Wiosny Ludów.

Wśród wielu bibliotek lwowskich były bardzo znane, zawierające ogromne, często bezcenne zbiory rękopisów, książek i czasopism, takie jak Biblioteka Baworowskich, Dzieduszyckich, tzw. Poturzycka, a także Pawlikowskich, tzw. Medycka (ofiarowana w 1921 roku Ossolineum), biblioteki klasztorne (jak np. oo. Karmelitów trzewickowych, gdzie znajdowało się m.in. kilka tomów z biblioteki króla Zygmunta Augusta), biblioteka uniwersytecka, która utraciła w 1848 roku prawie $\frac{3}{4}$ zbiorów wskutek barbarzyńskiego bombardowania miasta przez Austriaków, ale później szybko się odbudowała i liczyła w latach dwudziestych XX wieku około 320 tys. tomów (w tym 222 inkunabuły). Warto wymienić dwie biblioteki gminy izraelskiej z cennymi judaikami czy też kilka bibliotek



Edward Chwalewik (1873–1956)



z dziełami spisany w jęz. ruskim, a nawet staro-cerkiewno-słowiańskim i bułgarskim, jak Biblioteka Ojców Bazylianów przy cerkwi św. Onufrego. W tej kategorii najważniejszą była Biblioteka Towarzystwa Naukowego im. Tarasa Szewczenki, największa na terenie ówczesnej Polski biblioteka ukraiноznawcza, zawierająca m.in. zbiór 7000 tomów po Iwanie France.

We Lwowie reprezentowane były też biblioteki, które można określić jako fachowe, a więc np. Biblioteka Politechniki, Towarzystwa Lekarskiego Lwowskiego, Towarzystwa Muzycznego, Towarzystwa Prawników Polskich, zawierające liczne dzieła specjalistyczne w języku polskim, niemieckim, francuskim i innych.

Osobne miejsce, unikalne w skali całej Polski, a nawet Europy, zajmował Zakład Narodowy im. Ossolińskich, którego częścią było Muzeum Lubomirskich, oparte na ich zbiorach przewiezionych z Przeworska. Zbiory Ossolineum były tak ogromne i cenne, że w omawianej książce tylko ich pobieżny, szkicowy opis zajmuje kilka stron drobnego druku. Można tylko wspomnieć, że w 1945 roku samych książek (w tym starodruków) było tu zgromadzonych 760 tysięcy tomów. Jaka część tych zbiorów znajduje się obecnie w Polsce? Szacuje się, że około 30%...

Muzea lwowskie, obok wspomnianego Muzeum Lubomirskich, to Muzeum Narodowe im. króla Jana III (w kamienicy zwanej Królewską, obecnie Korniaкта, w Rynku, a także w pałacu Łozińskiego, obok Ossolineum), Muzeum Historyczne m. Lwowa (w Kamienicy Sobieskiego), Muzeum Przemysłowe Miejskie, od 1905 roku w gmachu własnym niedaleko Teatru Wielkiego (po wojnie Muzeum Lenina, obecnie ukraińskie Muzeum Narodowe im. Andrzeja Szeptyckiego, którego druga część już przed wojną mieściła się w willi Dunikowskiego przy ul. Mochnackiego). Osobne miejsce wśród lwowskich muzeów zajmowało działające obecnie w tym samym miejscu przy ul. Teatralnej (wówczas Rutowskiego) Muzeum Przyrodnicze, założone w 1845 roku przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. Muzeum słynęło m.in. ze szkieletów zwierząt kopalnych, jak nosorożec ze Staruni k. Nadwórnej. Odtworzony wraz ze znalezionym obok mamutem, stanowi dziś główny eksponat muzeum.

Wśród zbiorów prywatnych mieliśmy cenne kolekcje sztuki zgromadzone przez arystokratów, jak hr. Leon Piniński czy rodzina Gołuchowskich, a także zbiory uczonych, jak Aleksander Semkowicz, zbieracz pamiątek dotyczących Adama Mickiewicza, czy pisarzy, jak Stanisław Wasylewski, który zgromadził około 3 tys. tomów ze szczególnym uwzględnieniem pamiętnikarstwa (nie długo później przenośił się do Poznania). Warto też wspomnieć o Franciszku Biesiadeckim, który w zbudowanym przez siebie niezwykle pałacu przy ulicy Potockiego 50 zgromadził cenne zbiory monet i ekslibrisów, i wybitnym prawniku Maurycym Allerhandzie, który zgromadził około 2 tysięcy tomów, a także cenne egzemplarze grafiki



polskiej i obcej. W 1942 roku zginął jako jedna z ofiar Holokaustu w Obozie Janowskim we Lwowie – można się tylko domyślać, co stało się z jego zbiorami.

W podsumowaniu wspomnijmy o losach 8 pomników lwowskich, uznanych przez autora za najcenniejsze:

- pomnik Aleksandra Fredry – obecnie we Wrocławiu
- pomnik Agenora Gołuchowskiego – zaginął
- pomnik Stanisława Jabłonowskiego – zaginął
- pomnik Jana Kilińskiego – stoi w parku Stryjskim na dawnym miejscu
- pomnik Adama Mickiewicza – stoi w centrum miasta na dawnym miejscu
- pomnik Franciszka Smoła – zaginął
- pomnik konny króla Jana Sobieskiego – obecnie w Gdańsku
- pomnik Kornela Ujejskiego – obecnie w Szczecinie.

Ciekawe dopełnienie omawianego tematu znajduje się w broszurze autorstwa dra Karola Badeckiego, wicedyrektora Archiwum Miasta Lwowa, pod tytułem *Lwowskie zbiory naukowe i muzealne*, Lwów 1932. Została ona wydana w ramach serii *Lwów w obrazach. Przeszość i teraźniejszość* przez Koło Towarzystwa Szkoły Ludowej im. Adama Asnyka we Lwowie jako rodzaj pomocy dla prelegentów TSL poruszających wspomniany temat. Przegląd lwowskich instytucji kulturalnych, zaprezentowanych wyżej, poprzedza pięknie napisany wstęp omawiający mecenat artystyczny lwowskiego mieszczaństwa na przestrzeni dziejów. *Na bujnie rozwiniętym handlu oparty dobrobyt lwowski patrycjatu szedł w parze z oświatą i z wyższymi aspiracjami cywilizacyjnymi i artystycznymi. Patrycjusze lwowscy umieli łączyć umiejętnie swój praktyczny zmysł ku-*



Zaproszenie na otwarcie wystawy zbiorów ofiarowanych miastu przez Bolesława Orzechowicza



Pomnik Agenora Gołuchowskiego z Parku Tadeusza Kościuszki we Lwowie dłuta Cyprjana Godebskiego odsłonięty 28 czerwca 1901 r. Pomnik zniknął ok. 1950 r., jego losy są nieznane

*piecki z potrzebami wyższego, duchowego wykształcenia. Czyż nie przypomina to charakterystyki Florencji, do której przyrównywał swoje rodzinne miasto Marian Hemar? Z tekstu broszury warto zatrzymać się nad wielce zasłużoną dla Lwowa postacią Bolesława Orzechowicza, ziemianina, zapalnego kolekcjonera różnego typu dzieł sztuki. W 1919 roku swoje zbiory gromadzone przez 30 lat ofiarował miastu Lwów jako podziękowanie za zryw listopadowy, w którym udowodniło ono swoją polskość. Zbiory te, umieszczone w gmachu przy ulicy Ossolińskich 3, od 1921 roku tworzyły – jak to określono – pierwsze tzw. muzeum obyczajowe, a więc odtwarzające wnętrze magnackiej rezydencji. Stąd też obok bogatej kolekcji malarstwa, przede wszystkim polskiego, znalazły się tam rzeźby, meble z różnych epok, różnorakie wyroby przemysłu artystycznego, jak pasy kontuszowe, ceramika czy zegary. Osobną częścią zbiorów był gabinet broni z egzemplarzami broni siecznej i palnej zachodniej, polskiej i wschodniej, uzupełnionymi przez barwne rzędy końskie, siodła i czapraki. Wyjątkową lekcję historii dla odwiedzających stanowił z kolei Gabinet Matejkowski, gdzie zgromadzono 44 kartony z cyklu *Poczet księżąt i królów polskich*.*

Broszura autorstwa Karola Badeckiego nie była, o ile mi wiadomo, wydawana po roku 1990, stąd też skorzystałem z egzemplarza archiwalnego w moim posiadaniu, stanowiącego, jak sądzę, dużą rzadkość bibliograficzną. Warto byłoby się nad takim wznowieniem – na przykład w postaci reprintu – zastanowić.

Co zostało z centrum polskiej, ale też europejskiej kultury, jakim był przez kilka wieków Lwów?. W jakimś stopniu tradycje te są kontynuowane na miejscu, we Lwowie, choć oczywiście w formie bardzo okrojonej i opatrzonej komentarzem często trudnym do akceptacji przez Polaków. Częściowo zostały przeniesione do Polski w granicach z 1945 roku, jak na przykład do Wrocławia. Obok pomnika Aleksandra Fredry, Ossolineum czy Panoramy Raclawickiej znalazł się tu obraz Jana Styki *Polonia*, wymieniony przez Chwalewika jako główne dzieło sztuki przechowywane w lwowskim Ratuszu. Wydobyty z magazynów muzealnych z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości, obecnie obraz jest eksponowany w Zamku Piastów Śląskich w Brzegu, gdzie towarzyszy otwartej niedawno wystawie „Kresy. Ocalone wspomnienia”. Można to potraktować jako swoisty epilog do dzieła Edwarda Chwalewika.



Klasztor oo. Bernardynów we Lwowie, w którym mieści się „archiwum bernardyńskie”. Obraz pędzla Władysława Skoczylasa znany z wido-kówek

Sławomir Gowin

Czekistka z czekistą*

Perekowka duszy

Późnym wieczorem 25 maja 1940 roku przed modernistyczną willą z niewielkim ogrodem przy Zadwórzańskej 49 we Lwowie wysiadło z samochodu dwóch mężczyzn. Szybko przeskoczyli stopnie prowadzące do wejścia. Po długim dzwonku przez oszklone drzwi błysnęło światło. – *Wanda Lwowna doma?* – zapytano po rosyjsku mężczyznę, który otworzył drzwi. – *Nie ma jej* – zdążył odpowiedzieć i osunął się na podłogę trafiony kilkoma strzałami z nagana. Jeden z napastników przestąpił ciało, podszedł do telefonu w korytarzu, wybrał numer i krótko zameldował wykonanie zadania. Po chwili auto odjechało. Wszystko trwało zaledwie kilka minut. Gdy warkot silnika umilkł, ktoś zbiegł z piętra. Z pokojów na parterze wychodzili inni przerażeni mieszkańcy domu, którzy usłyszeli strzały. Wezwano pomoc, nieprzytomnego mężczyznę zabrano do szpitala, gdzie kilka godzin później zmarł.

Zastrzelony nazywał się Marian Bogatko. Wanda Lwowna, o którą pytali zabójcy, to jego żona, Wanda Wasilewska, bez reszty oddana Stalinowi pisarka i komunistka, która od kilku miesięcy w szeregach partii i NKWD pracowała nad włączeniem dawnej Polski wschodniej do „radzieckiej ojczyzny”. Wbrew temu, co powiedział Bogatko, w chwili zabójstwa była w domu, na piętrze, które zajmowali z jej dwunastoletnią córką z pierwszego małżeństwa. Na parterze mieszkała z rodziną jej siostra. Wasilewska, postać we Lwowie głośna i znakomicie znana sowieckim organom, należała do partyjnej elity i nie sposób przypuszczać, by do podobnego zajścia w domu prominentnej

* Prezentowany tekst jest fragmentem książki Sławomira Gowina pt. *Dusze w czerwieni*, która w sierpniu bieżącego roku powinna trafić do księgarni. Zachęcamy do lektury!



Wanda Wasilewska z Kornijczukiem, Lwów 1940

komunistki, protegowanej Stalina, doszło przypadkowo.

Sowiecka propaganda, zazwyczaj ochoczo wykorzystująca tego rodzaju akty, tym razem milczała, co oznaczało, że śmierć Bogatki była swoistym „komunikatem wewnętrznym”. Tę wersję trzydzieści lat później potwierdził Aleksander Wat. Oceniał, nie bez ironii, że był to *w dziejach kryminologii sowieckiej fakt chyba bez precedensu, mianowicie sprawców nie znaleziono. Zawsze było tak, że zbrodni się nie znajduje, ale sprawcy są zawsze znani* – mówił w rozmowie z Czesławem Miłoszem – *a tu po raz pierwszy nie znaleziono sprawców, nikogo, w gazetach tłumaczono, że zabili go nacjonaliści ukraińscy*. Rzeczywiście, pojawiły się takie wyjaśnienia, ale nadzwyczaj zdawkowe, nie podano żadnych szczegółów i poza pierwszym, zwięzłym komunikatem więcej do tematu nie wracano.

Jakie zatem było tło tej zagadkowej zbrodni? Wydaje się, że właśnie Aleksander Wat ujął rzecz makabrycznie, acz celnie. *To jest prawdziwa, świetna szkoła stalinowska, żeby nie miała złudzeń. Point de rêveries. Od razu. Jednorazowy szok. Zen. Po łbie i cała zrestrukturalizowana świadomość. Następuje pieriekowka duszy* – wyjaśniał Miłoszowi.

W latach 50. również sam Chruszczow, w 1940 I sekretarz WKP(b) Ukrainy, przy-

znał, że Bogatkę zastrzeliło NKWD. Mówił jednak o „pomyłce”, nie myśląc wyjaśniać, co z czym lub kogo z kim pomyłono. Twierdził, że wyrok dotyczył kogoś mieszkającego „piętro wyżej”. Problem jednak w tym, że Wasilewska i Bogatko zajmowali ostatnie piętro niewielkiej willi.

Kilkanaście godzin po śmierci Bogatki Chruszczow wysłał do Wasilewskiej Ołeksandra Kornijczuka, pisarza, nade wszystko zaś enkawudystę, i Mykołę Bażana, utalentowanego poetę ukraińskiego, zarazem dyspozycyjnego politruka. Przybyli z lakonicznym przekazem wierchuszki: *Nasi się pomylili i zachętą, żeby okazała w tej sprawie wyrozumiałość*.

Wasilewska wyrozumiałość okazała. Miesiąc później wyszła za mąż za Kornijczuka, jak napisał Włodzimierz Sokorski – *ukraińskiego nacjonalistę, który Polaków nie cierpiał*. W ten sposób makabryczna zbrodnia w okrutnych czasach przyniosła romans – nie mniej ponury niż okoliczności, w których się zrodził.

Do wielkiej ojczyzny

Komendanturę sowieckich wojsk, które 22 września 1939 wkroczyły do Lwowa, umieszczono w hotelu George. Tam też urzędował Ołeksandr Kornijczuk, sekretarz pre-

zydium Związku Pisarzy Ukrainy Sowieckiej, ale przede wszystkim „inteligencki bezpieczniak”, jeden z tych, którzy mieli urządzić Związek Radziecki na wschodnich terenach przedwojennego państwa polskiego najechanych przez Armię Czerwoną.

Był to modelowy „radziecki Ukrainiec”, cyniczny, bezwzględny ideolog i oddany bolszewik. Uprawiał pisarstwo – dramaturgię, czasem prozę – fabrykowane ściśle według stalinowskich wzorców realizmu socjalistycznego. Jako wysoki kadrowy funkcjonariusz NKWD pojawił się we Lwowie w pierwszych dniach sowieckiej okupacji. Jego głównym zadaniem było jak najszybsze zbudowanie na podbitych terenach stalinowskiego systemu, który można określić jako kulturalno-propagandowy. Miał zorganizować nowe, dyspozycyjne elity, agitując wśród miejscowych środowisk. Tych, których nie udało się zwerbować, czekał terror i wywózki. Kornijczuk miał wszelkie umocowania z Kremla i nieograniczoną władzę, po którą sięgał bez zahamowań. Apartament numer 31, który zajął w George’u stał się więc laboratorium nowych kadr, a także erotycznym atelier gospodarza.

Wąt, przedwojenny polski komunista, znalazł się w gronie budzącym szczególne zainteresowanie Kornijczuka i on właśnie odnotował parę spostrzeżeń oddających atmosferę słynnego pokoju 31: *Długo czekaliśmy, potem dwie dziewczeczki z bardzo wypukłymi pupkami, takie ładnie, wyszły, a potem po jakiejś chwili on zaprosił nas do siebie. W jedwabnej pidżamie, oczywiście lwowskiej, wyperfumowany, z urodą kelnera, urodą taką bardzo lokajską* – opowiadał Wąt. Według tej relacji Kornijczuk miał rozłożone na stole dwie listy Polaków, których NKWD zamierzała wciągnąć do współpracy, komunistów i niekomunistów. Tę drugą otwierała podobno Wasilewska.

Wasilewska, z bolszewickiego punktu widzenia rzeczywiście nieuważana jeszcze za komunistkę, przyjechała do Lwowa w połowie października 1939 roku z pomocą NKWD. Zjawiła się w George’u u Kornijczuka z zapewnieniem, że nie jest bieżącym ani emigrantką, ale *przyszła do swojej proletariackiej ojczyzny. Władze sowieckie otoczyły ją od razu dymem kadzidel* – pisał Adam Ciołkosz, wybitny polski socjalista, znający ją od czasu działalności w akademickim

ruchu socjalistycznym w Krakowie – *Od razu rzuciła się w wir akcji przedwyborczej do Narodnego Zboru, który miał uchwalić prośbę o przyłączenie Ukrainy Zachodniej do Związku Sowieckiego.*

We Lwowie wstąpiła do sowieckiej partii komunistycznej, została deputowaną Rady Najwyższej ZSRR i nieprzejednaną agitatorką stalinowskiej państwowości, w której miała znaleźć się przyszła Polska. Jako obywatelka ZSRR zwykła mawiać o sobie *bywsza Polka* i opowiadać, że w 1939 *szła do kraju socjalizmu, do wielkiej ojczyzny wszystkich pracujących*. Tymczasem, jak sarkastycznie zaznaczył Ciołkosz, *granica sowiecka sama przyszła do niej*.

W tych granicach czuła się znakomicie. *Była od razu persona gratissima* – twierdził Ciołkosz. – *Wyplacano jej honoraria za wydane w Moskwie przekłady, traktowano z największymi honorami: była u komdiwa Iwanowa, wojskowego komendanta miasta Lwowa, niemal jak u siebie w domu*. Wkrótce gestapo, na prośbę sowieckich władz, dostarczyło do Lwowa jej córkę. Matka Wasilewskiej nie skorzystała z tej uprzejmości i została w Warszawie, choć we Lwowie rodzina byłaby w komplecie, bo od dawna mieszkała tu z mężem i dziećmi siostra Wandy, Zofia, a także najstarsza z rodzeństwa, Halszka, nawiasem mówiąc patriotka, działaczka podziemia, oficer AK.

Choć sowieckie państwo cenilo i doceniało Wandę Wasilewską, to współpraca, a później związek z Kornijczukiem sprawiły, iż ta osobliwa para zdominowała mechanizmy propagandowego terroru, któremu poddawano życie społeczne „wyzwolonej Ukrainy”. Działalność i twórczość obojga była emanacją stalinowskiej taktyki narodowościowej i służyła za narzędzie utrwalania dalekosiężnych celów okupacji. Jednym z najbardziej frapujących przykładów jest libretto jakie napisali wspólnie do opery *Bohdan Chmielnicki* Konstantyna Dankiewicza. Opowiadali w nim o *odwiecznej walce ukraińskich chłopów z Polakami*, w której lud miał potężny oręż: przyjaźń narodu rosyjskiego i ukraińskiego. Chór głosił proroctwa w rodzaju: *Nie radujcie się, Polacy, że zakuliście nas w kajdany. Niebawem i wy zginiecie. Zbliża się godzina zemsty*. W zakończeniu zaś Chmielnicki prosi: *Wielka Rosjo! Nasz wielki bracie! Przyjmij wyrazy najgłębszego*

szacunku, podziękowania i wieczną miłość!
Odtąd z tobą u boku będziemy niepokonani!

Choć trudno sobie wyobrazić utwór bardziej serwilistyczny, Adam Ciołkosz zanotował, że *to jedno jedyne dzieło Wasilewskiej spotkało się z surową krytyką sowiecką. Główny błąd autorów polegać miał na tym, że za słabo rozwinęli temat walki narodu ukraińskiego z polską szlachtą i tym dopuścili się „niczym nieuzasadnionego odstępstwa od prawdy historycznej”*. Autorzy ogłosili więc samokrytykę, nomen omen, w „Prawdzie”.

„Spełniłabym wszystko”

Kiedy Chruszczow posłał Kornijczuka do Wasilewskiej, znali się już doskonale. To on podejmował ją we Lwowie w imieniu Stalina, nie można więc wykluczyć, że już wcześniej, mówiąc nieco salonowo, mieli się ku sobie. Ciołkosz, rówieśnik Wasilewskiej, znający ją od lat młodzieńczych, dostrzegał w tym pewną „powtarzalność typu”. *Słyszałem Kornijczuka tylko raz we Lwowie – pisał. – Zrobił na mnie, podobnie jak na innych słuchaczach, wrażenie prymitywu. Może to właśnie pociągało do niego Wasilewską. Było coś nienormalnego w jej dobieraniu sobie mężczyzn. Musiała mieć mężczyzn niedorastających do niej intelektualnie. Sama zwierzała się, że potrafi kochać tylko mężczyzn niżej od niej stojących. Była do nich przywiązana i o nich zazdrosna, miała w tym zakresie „instynkt posiadacza”. Kochała ich na swój sposób. Byli nieodzwonni, ale nie byli najważniejsi w jej życiu.*

Włodzimierz Sokorski, który obserwował ją także w dojrzałych latach, powiadał, że *miała w sobie jakiś urok, choć nic kobiecego w niej nie było. Coś jednak musiała mieć, bo lubiła mężczyzn i byli tacy, co lubili ją. Miała nawet, można powiedzieć, burzliwe życie erotyczne. Wat również podkreślał, że była łasa na mężczyzn, a Kornijczuk, jego zdaniem, *szalenie się podobał Wasilewskiej, bo był męski, ale też lokajski, pachnący.**

Jej biografia, co oczywiste w przypadku radzieckich notabli, została starannie wypreparowana z osobistych wątków na użytek zyciorysów powielanych w oficjalnych publikacjach i poza kąśliwymi najczęściej uwagami otoczenia niewiele można dociec. Sama Wasilewska, kreując się na twardą proletariacką działaczkę, unikała wszystkiego, co

mogłoby ten wizerunek zakłócić. Bohaterów swoich powieści także pozbawiała życia uczuciowego, czyniąc z nich najczęściej permanentnych działaczy i rewolucjonistów. Być może nie była to jednak wyłącznie literacka taktyka i poza, którą przybierała na użytek oficjalny, ale swoista gra z własną naturą, niepasująca do silnej kobiety, za jaką chciała uchodzić przed sobą i otoczeniem.

Intrygujące są bowiem jej własne zapiski, z których wyłania się osobowość zaskakująco burzliwa, ulegająca gwałtownym namiętnościom. Pojawia się tam pierwsza, młodzieńcza miłość. Ukochany miał na imię Janek i to właściwie wszystko, co o nim wiadomo. Na podstawie tych notatek znacznie więcej można się dowiedzieć o kochającej Wasilewskiej. Pisała więc – ona, pozująca na mocną „robociarę” – że wyobraża sobie, jak leży u jego stóp i zlizuje kurz z jego butów, tudzież jak on bije w nią ostrogami do krwi. *Bo ja wierzę w Ciebie jak w Boga i jesteś mi istotą najwyższą, panem, władcą. Gdybyś ty kazał, spełniłabym wszystko. Nawet najgorsze upokorzenia, krzywdy bym zniosła z uśmiechem, gdybyś Ty tak chciał* – zwracała się do ukochanego w intymnych apostrofach. Janek ostatecznie dał jej kosza w roku 1923, kiedy miała 16 lat. Podsumowała ten afekt zastanawiającą refleksją, że *być kochanką mężczyzny to szlachetniejsza pozycja niż być żoną.*

Pierwszego męża, Romana Szymańskiego, spotkała w środowisku PPS. Ów syn robotnika kolejowego z Tuchowa, student matematyki, *był człowiekiem przemyśłym* – pisał Ciołkosz – *o niewyczerpanych zasobach pogody i wesołości i o nieprzebranej znajomości różnych pieśni – ludowych, robotniczych, żołnierskich.* W 1925 roku wzięli ślub, a w 1928 roku urodziła im się córka Ewa, z daniem Ciołkosza *ślincna dziewczynka podobna do ojca.* Jednak trzy lata później Szymański zmarł na tyfus i właściwie zniknął z życia Wasilewskiej, nigdy o nim nie mówiła, nie pisała, nie wspominała w biografiiach.

Marian Bogatko pojawił się w jej życiu na spływie kajakowym, kiedy to miał ją – wedle niej samej – uratować przed utonięciem. Wysoki, silny murarz, proletariacki w każdym calu, charyzmatyczny działacz związkowy i partyjny, zwrócił jej uwagę na tyle, że przez kilka lat żyli w wolnym zwią-

ku, a Bogatko był jej asystentem, ochroniarzem, uczniem i przewodnikiem po świecie robotniczym. „Fantastyczny atleta, piękny rzeczywiście chłopak, do tańca i do różańca. Bardzo inteligentny, bystry, z poczuciem humoru, szalenie wesoły, silny chłop” – mówił o nim Wat. W 1936 roku wzięli jednak ślub w obrządku kalwińskim, jak twierdziła Wasilewska, przede wszystkim dlatego, żeby otrzymać małżeńską wizę na wjazd do Związku Sowieckiego.

Dialektyka i los

Uważała Związek Radziecki, znacznie gorliwiej niż większość polskiej lewicy, za „mekkę postępu”. Długo starała się wyjechać do ZSRR, jednak nie zgadzały się polskie władze. Urzekł ją sowiecki system i ludzie, zwłaszcza Stalin, do którego odnosiła się z mistycznym podziwem. Prędko spotkała się ze swoistą wzajemnością jako aktywna i głośna działaczka socjalistyczna. Od 1935 roku Moskwa zaczęła utrzymywać wpływy w polskich środowiskach lewicowych specjalną uwagę zwracając na działaczy kulturalnych, pisarzy, artystów. Wasilewską dostrzeżono i doceniono zwłaszcza w 1936 roku, przy okazji zorganizowanego w Lwowie Kongresu Kultury.

Jej powieść „Oblicze dnia” ukazała się w ZSRR już w 1935 roku. Od tej chwili publikowano niemal wszystko co pisała, kolejne wydania szeroko omawiając w prasie. Oczywiście zwracano uwagę na „odchylenia socjaldemokratyczne”, ale wrócono, że „się wyrobi jako bolszewiczka”.

Jesienią 1939, najwyraźniej już „wyrobiona” stała się literacką bohaterką sezonu. Radziecka kinematografia zamierzała ekranizować jej „Ziemię w ogniu”, a „Literatura Gazieta” ogłosiła, że to dzieło powinien przeczytać każdy. „Propagandzista i agita-

tor”, periodyk ustalający polityczne kanony, zalecał twórczość Wasilewskiej jako znakomity materiał do pracy partyjnej. Fragmenty czytano na masówkach, a słuchacze, wedle entuzjastycznych relacji, płakali poruszeni losem polskich chłopów. Krótko po przyjeździe do Lwowa została wybrana do Rady Najwyższej i pod koniec marca 1940 pojechała na obrady do Moskwy. Wtedy pierwszy raz spotkała się ze Stalinem. Spotkanie trwało długo i miało zrobić na Wasilewskiej piorunujące wrażenie. Stalin podobno powiedział, że jest podobna do ojca i rozprawił o dialektyce losu, który sprawił, że ojciec walczył przeciw ZSRR, a ona jest z nim, Stalinem, w walce o światowy postęp. Ojciec, Leon Wasilewski, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego był pierwszym ministrem spraw zagranicznych odrodzonej Polski, członkiem rządu w czasie wojny polsko-sowieckiej w 1920 roku.



Wanda Wasilewska z Szymańskim i córką, Kraków 1930

nieograniczony dostęp, dał jej bowiem numer telefonu, nie ten, pod którym słuchawkę podnosił jego sekretarz Poskrebyszew, ale bezpośredni. Po wojnie kartkę z tym numerem spaliła. Według Edmunda Osmańczyka na polecenie bezpieki zniszczyła też swoją korespondencję ze Stalinem.

Przez lata powiadano, że Wasilewska była kochanką Stalina. To bodaj najczęściej powtarzana plotka na jej temat. Rzecz oczywiście niesprawdzalna i bynajmniej nie najważniejsza. Ona sama mówiła, że był czas, kiedy miała do niego niemal

Włodzimierz Sokorski zaprzeczał jakoby sypiała z dyktatorem, a miał to, jak utrzymywał w wywiadzie rzecze „Wyznania zdrajcy” z 1991 roku, wiedzieć od samego zainteresowanego, z którym odbył taką oto pogawerkę. „Stalin mnie pytał «–Włodek, ty Wandu jebał?». Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: «Niet, ona dla mnie sliszkom balszaja». Na to Stalin: «Ja toż niet, nu

ja mog siebie na eto pozwolić. No Berman jebał, Woroszyłow jebał, Mołotow jebał...»". Trudno powiedzieć, na ile koszarowe powiastki Sokorskiego można traktować, by tak rzec, źródłowo, mając na względzie jego upodobanie do fantazji, zwłaszcza zaś erotycznych. Trzeba jednak odnotować, że choć Wasilewska i owszem, „slizskom balszaja”, we wspomnieniach współczesnych bywa bohaterką wielu seksualnych „przypuszczeń” wyrażanych wprost lub w formie tzw. „grubych aluzji”.

Rewelacje Sokorskiego, choć niesmaczne, jeśli idzie o intymne życie Wasilewskiej, utrzymują się w pewnym standardzie. Któż zresztą piętnowałby język Sokorskiego, skoro Maria Dąbrowska, z rzadka przeciwstosująca wulgaryzmy, na myśl o Wasilewskiej powiadała, że *trudno o czystsza formę zdrajcy i renegata. To w ogóle typ kryminalnej awanturnicy* – pisała – *i nie dziwiłoby mnie to, gdybym się dowiedziała, że brała jakiś udział w zamordowaniu swego męża. Wasilewska jest lokajską liżydupą Stalina* – kwitowała autorka *Nocy i dni*.

Uczciwy pepeesowiec

Nic nie potwierdza podejrzeń Dąbrowskiej, jakoby Wasilewska w jakimś sensie „zleciła” zabójstwo męża. Marian Bogatko od dawna skupiał na sobie uwagę NKWD na własny rachunek. Robotnik, przedwojenny, twardy komunistą o wyrobionych, „klasowych” poglądach był, jak na warunki sowieckie, zbyt bezpośredni i gadatliwy. *Zachowywał się we Lwowie tak samo jak przedtem w Krakowie i Warszawie* – pisał Ciołkosz. – *Chodził, gdzie chciał, i mówił, co myślał. Nie żył w stanie euforii jak jego żona; miał oczy otwarte, interesował się położeniem robotników i widział, że jeśli chodzi o ochronę pracy, ubezpieczenia społeczne i uprawnień związków zawodowych – sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu w porównaniu z sytuacją w „pańskiej Polsce”, toteż kręcił nosem na nową rzeczywistość. Zapłacił za to życiem.*

Według Wata miarka się przebrała po wycie w Kijowie, który Wasilewska zwiadała razem z mężem. Wat opowiadał Miłoszowi, co się działo po ich powrocie. *Po południu jakiś wielki wiec na placu, Wanda będzie składała sprawozdanie z Kijowa. Poszedłem*

z Broniewskim i z Bogatką. Wiec, deklamacja, szczęśliwoje zitje. Szczęście, uśmiechy, dzieci. Bogatko potem mówi do mnie i do Broniewskiego: „Chodźmy do knajpy”. Wyobraź sobie, w knajpach pełno oficerstwa sowieckiego i ten Bogatko nie mówi, ale basem opowiada zaraz po tym wiecu inne rzeczy. To zdanie pamiętam, na przykład: „Pamiętajcie, gdy przyjdziecie do Kijowa, gdy tylko pierwszy krok z wagonu, to cap – jedną ręką przycisnąć walizki, a drugą przytrzymać czapkę, bo wam zedrą z głowy”.

Włodzimierz Sokorski, znający ich oboje od czasów przedwojennych, zwrócił uwagę na wpływ, jaki Bogatko miał na żonę, co na pewno nie było tajemnicą dla NKWD. *Póki on żył, to wywierał jeszcze pewien wpływ na nią. Jak każdy uczciwy PPS-owiec, nie był miłośnikiem Związku Radzieckiego, nie uznawał konieczności dokonywania wielkiej, światowej rewolucji, i swoimi poglądami temperował Wandę.*

Tymczasem rozwinięty stalinizm polskich trybunów robotniczych nie potrzebował. Także „utemperowana” Wanda Wasilewska nie miała dla systemu tej wartości, jaką przedstawiała w swoim obłędnym uwielbieniu dla „ojczyzny światowego postępu”.

Maczeta, nie kobieta

„Partyjny romans” nawiązany we Lwowie przerodził się w małżeństwo, na swój sposób barwne jak na radzieckie reguły. Kornijczuk i Wasilewska byli w ówczesnym



Wanda Wasilewska i Bogatko. Kraków 1930

DBAMY O PAMIĘĆ

Grób Elżbiety z Nowogrodzkich Jabłońskiej (1823–1883) i Teofila Jabłońskiego (1812–1872)



Związku Radzieckim parą, można powiedzieć, głośną i budzącą emocje. Publiczny status jaki osiągnęli był nadzwyczajny – ona, trzykrotna laureatka nagrody stalinowskiej 1943, 1946, 1952, Kornijczuk był pięciokrotnym laureatem nagród stalinowskich i „orderonoścem” wszelkich najwyższych odznaczeń radzieckich. Do dziś, gdy mowa o ich małżeństwie, wspomina się powiedzenie: *Kornijczuk i Wanda, nie rodzina lecz banda*. Mówiono o nich także „družba narodów”, przed Wasilewską zaś, jako „mężem Kornijczuka”, ostrzegano tych, do których wybierała się z wizytą. Ich związek był z jednej strony intrygujący z powodu niezliczonych plotek o charakterze intymnym, z drugiej zaś nieustannie podejrzewany o interesowność. Zwłaszcza iż w najwyższych kręgach władzy powiadano, że Kornijczuk ożenił się „z polecenia Stalina”, nie stały więc wątpliwości, czy „była to miłość czy polityczny alians”.

Jeśli był to „interes”, to dla obojga oplaćalny w najbardziej pospolitym znaczeniu, za czym przemawia pewne osobliwe świadectwo. W 1947 roku na radziecką Ukrainę przyjechał John Steinbeck. Wizyta u „najślynniejszej pisarskiej pary ZSRR” w Plutach pod Kijowem należała do głównych atrakcji podróży i, zdaniem Amerykanina, miała całkowicie prywatny charakter. Działo się to na kolorowej wyspie, dryfującej niejako na powierzchni Ukrainy wyniszczonej wojną i terrorem. *Mieli sympatyczny dom z pięknym ogrodem pełnym warzyw i kwiatów – pisał we wspomnieniach. – Obiad był przepyszny, bardzo obfity. Warzywny kawior z bakłażana, ryba z Dniepru w sosie pomidorowym, jajka faszerowane o dziwnym smaku, a do tego starka, żółta i bardzo dobra. Następnie podano czysty, esencjonalny bulion i małe smażone kurczęta, przypominające nasze pieczone kurczaki z Południa, tyle że obtoczone w panierce. Potem ciasto, kawa*

i likier. Na końcu Kornijczuk przyniósł cygara Upmana w aluminiowych tubach.

Kornijczuk, nim związał się z Wasilewską, słynął z upodobania do kobiet o dosyć klasycznej urodzie. Tymczasem powierzchowność jego polskiej wybranki była, najdelikatniej mówiąc, niebanalna. Według Wata: *twarda, sucha, grubo kostna, o szerokiej, płaskiej twarzy* – bynajmniej nie była wcieleniem seksapealu. Mówiła zachrypniętym basem, paliła ogromne ilości mocnych papierosów, ubierała się w ciemne, po męsku skrojone garnitury i wysokie buty, rozmiar jej obuwia – 43 – był zaś przedmiotem niezliczonych złośliwości. Wat uważał, że Kornijczuk był „w jej typie”, powątpiewał zaś w szczerość erotycznej fascynacji z jego strony.

To fizyczne „nieporozumienie” pośrednio mógłby potwierdzać fakt, że Kornijczuk tuż po śmierci Wandy ożenił się z aktorką Mariną Zacharenko, kobietą fizycznie biegunowo różniącą się od Wasilewskiej. Jego związek z Mariną trwał zresztą wiele lat. Sokorski twierdził, że *w końcu znieawidziła Kornijczuka; kazała się oddzielnie pochować. On przecież miał przy niej jeszcze jedną żonę i dwoje dzieci.*

I tym razem wersja Sokorskiego budzi pewne wątpliwości, bo o pochówku nie mogła zawczasu wiele powiedzieć – Kornijczuk przeżył ją o 8 lat, Wasilewska zmarła zaś dosyć nieoczekiwanie, tuż przed sześćdziesiątką. Jeszcze rok przed śmiercią nie brakowało jej tężyzny. Wtedy, na Kubie, Fidel Castro miał o niej powiedzieć, tuż po tym jak razem zbierali trzcinę cukrową: *Maczeta, nie kobieta*. Sokorski, udzielając wywiadu w 1992 roku, stwierdził wręcz, że popełniła samobójstwo z powodu nieszczęśliwego małżeństwa. Mielibyśmy więc do czynienia z najgłośniejszym melodramatem spreparowanym, świadomie lub przypadkowo, przez NKWD.

Tymczasem, jak to bywa w postradzieckiej historii, dzisiaj w Rosji Kornijczuka tytułuje się klasykiem, a o Wasilewskiej opowiada jako dziełnej kobiecie, która *pieszo przyszła do Lwowa, żeby przyjąć radzieckie obywatelstwo i z wielkim trudem sprowadziła rodzinę z Warszawy*. Męża zaś *zastrzelili polityczni oponenci* – love story i dolce vita według scenariusza napisanego na Łubiance.

Złote armie

– Oczywiście, że my jesteśmy z Kresów! – wykrzyknęła, kiedy poprosiłam ją o wywiad. Potem zarwała kilka nocy, by opowiedzieć o narodzie, który z dziada pradziada kocha księgi, religię i przybraną ojczyznę Polskę.

Z p. Romaną z Manugiewiczów Obrocką, współpracującą z Fundacją Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich, rozmawia Aleksandra Solarewicz



Proszę w dwóch słowach opowiedzieć o swoich korzeniach. Skąd pochodzi Pani rodzina?

Oczywiście z Kresów! Ja już urodziłam się na tzw. Ziemiach Zachodnich, w Obornikach Śląskich, dokąd została ekspatriowana grupa mieszkańców z Kut nad Czeremoszem. Między innymi, bo nie tylko z tego miasteczka. Kuty zamieszkiwała liczna kolonia ormiańska i moi rodzice, oboje, urodzili się w mieszanych rodzinach polsko-ormiańskich. Tato jako syn Tekli z Manugiewiczów i Karola Gredżuków, a mama jako córka Michaliny z Tarnowieckich i Jakuba Manugiewicza.

Ormianie zapisali jedną z najpiękniejszych, a zarazem najmniej znanych kart w dziejach polskiej kultury. Dlaczego wciąż tak mało o nich wiemy?

Mhm, dawno nie oglądałam podręczników do nauki historii w szkołach średnich,

więc trudno mi powiedzieć, czy obecnie tajemnica nie tkwi przypadkiem w sposobach szkolnego nauczania (czy raczej nie-nauczania) o bogactwie dawnej kultury polskiej. W moich czasach (lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte) w tym względzie to była biała plama. Więc jak ta wiedza miała się zasiewać w młodych pokoleniach powojennej Polski, ale i później? Weźmy np. taką sztandarową postać: Grzegorz Piramowicz. Jedna z najwybitniejszych postaci doby polskiego Oświecenia... Mam wrażenie, że współcześnie jest już kojarzony z ormiańskim pochodzeniem. Sięgnijmy do *Encyklopedii literatury polskiej* z roku 1985 – nie ma tam wzmianki, że urodził się w ormiańskiej rodzinie kupieckiej, jako syn patrycjusza lwowskiego Jakuba, tytularnego sekretarza Augusta III, i Anny z Nikorowiczów – co można przeczytać w *Polskim Słowniku Biograficznym*. Po prostu wiedza o pochodzeniu, a jeszcze z Kresów, była dystrybuowana według wytycznych ówczesnej ideologii.

Ciężar popularyzacji tej wiedzy – przywracania zbiorowej pamięci narodu polskiego zasług potomków Hajka – wzięły na siebie ormiańskie organizacje społeczne przy ogromnym wsparciu uczonych, ale i przy finansowym wsparciu budżetu państwa czy samorządów.

Jakie są najbardziej charakterystyczne cechy ormiańskiej tradycji? Co was najlepiej określa?

Umitowanie ksiąg i przywiązanie do religii. Armenia to pierwsze państwo na świecie, które przyjęło chrześcijaństwo jako religię państwową. Według tradycji ewangelizatorami Armenii byli już apostołowie św. Juda Tadeusz i św. Bartłomiej, którzy misje na Zakaukaziu prowadzili w I w. n.e. i tam zginęli męczeńską śmiercią. Natomiast chrzest Armenia przyjęła z rąk św. Grzegorza Oświeciciela (Lusaworicza) w roku 301. Nie znam Ormianina, dla którego ten fakt nie byłby powodem dumy. Tu dygresja: podczas mojego pobytu w Armenii byłam w gościnie w tradycyjnym ormiańskim domu. Oczywiście stół zastawiony gęsto typowo ormiańskimi potrawami przygotowanymi przez damską część rodziny i szaszłykiem przygotowanym przez panów. Nieodzownym elementem w porządku gościnny jest „tamada” – powiedziałabym, że jest to przewodnik biesiady, który m.in. wygłasza toasty. Na naszej gościnie rolę

tę pełnił pan domu. W toastach bez względu na to, czy wygłaszał mowę o sprawach o znaczeniu fundamentalnym, czy też odnoszące się do uczestników gościnny, zawsze odwoływał się do boskiego porządku świata, i kończył słowami: „A kto w to nie wierzy, niech nie pije!”

Nie minęło sto lat od przyjęcia w Armenii chrześcijaństwa, a nastąpiło wydarzenie, które jest drugim, o kluczowym znaczeniu dla zachowania tożsamości ormiańskiej. Otóż uczony mnich Meszrop Masztoc objawił alfabet ormiański. Pięknie pisze o tym Ryszard Kapuściński w *Imperium: Za ten alfabet Kościół ogłosił Masztoca świętym* [...] *Jest zdumiewające, że wymysł mało wówczas znanego mnicha mógł się tak natychmiast przyjąć. A jednak to fakt! Już wówczas musiała istnieć wśród Ormian silna potrzeba identyfikacji i wyodrębnienia. Byli samotną, chrześcijańską wyspą w morzu obcych, azjatyckich żywiołów. Góry nie umiały ich ocalić: mniej więcej w okresie ogłoszenia alfabetu Masztoca Armenia traci niepodległość. Odtąd obce armie – perskie, mongolskie, arabskie, tureckie – będą hulać po tym kraju jak złe wiatry. Przekleństwo uczepli się tej ziemi. Co zostanie zbudowane, ulegnie zburzeniu. Rzeki będą spływać krwią. Kroniki są pełne posępnych obrazów. „Wyschły armeńskie róże i fiołki – rozpacza ormiański historyk średniowieczny, Leo – Armenia stała się ojczyzną bólu. Ormianin wygnaniec albo tuła się na obczyźnie, albo błądzi, zgłodniały, po zastanej trupami ziemi ojczystej”. Podbita na polu oręża Armenia szuka ocalenia w skryptoriach. Jest odwrót, ale w tym cofnięciu jest godność i wola istnienia. Czym jest skryptorium? Może to być cela, czasami izba w lepiance, nawet – pieczara skalna. W takim skryptorium jest pulpit, a za pulpitem stoi kopista i pisze. Świadomości ormiańskiej towarzyszyło zawsze poczucie zagłady. I związana z tym żarliwa potrzeba ratunku. Potrzeba ocalenia swojego świata. Skoro nie można go uratować mieczem, niech zachowa się jego pamięć [...]. Tak powstaje to unikalne w kulturze światowej zjawisko: ormiańska książka. Mając swój alfabet, Ormianie zaraz biorą się do pisania książek. Sam Masztoc daje przykład. Ledwo objawił swój alfabet, a już go zastajemy przy tłumaczeniu biblii [...] Masztoc daje przykład wielkiemu*

ruchowi średniowiecznych kopistów, który rozwinie się wśród Ormian do nieznanych nigdzie indziej rozmiarów. Już w VI wieku przetłumaczyli na ormiański całego Arystotelesa. Do X wieku przetłumaczyli większość filozofów greckich i rzymskich, setki tytułów literatury antycznej. Ormianie mają otwartą chłonną umysłowość [...]. Wiele z tych ksiąg jest arcydziełem sztuki poligraficznej. Złote armie ormiańskich literek pelzają przez setki stron. Kopiści byli jednocześnie wybitnymi malarzami. W książce ormiańskiej sztuka miniatury osiąga światowe wyżyny. Zwłaszcza nazwiska dwóch miniaturzystów – Torosa Roslina i Sarkisa Picaka – błyszczą nieśmiertelnym blaskiem. Miniatury, którymi Roslin ozdabiał manuskrypty w XIII wieku, zachowały całą intensywność barwy i jarażą się do dziś na stronicach ksiąg Mate-nadaranu.

Czy możemy się pokusić o podanie jakichś cech wyróżniających ormiańskie chrześcijaństwo?

Ormiańskie chrześcijaństwo to jedna z najważniejszych cech tożsamości. Nie-rozerwalną częścią istnienia Ormian jest chrześcijaństwo: jak woda i tlen. Ormianin w chrześcijaństwie nie widzi tylko spraw wiary, obrządku czy innych pojęć religijnych, lecz jako jedność całej kultury i dziedzictwa. Przecież w obronie wiary stawali zbrojnie w polu, aż do ofiary życia już od IV wieku, i dalej aż do 1915 roku i do dzisiaj. Oni stracili swoją ojczyznę, ale nie chcieli stracić swojej tożsamości zbudowanej w chrześcijaństwie i przez chrześcijaństwo. Przeżyli sześć wieków bez własnego państwa (od XIV wieku, kiedy ostatecznie upadło Królestwo Cylicji, aż do XX, kiedy po rozpadzie Związku Sowieckiego powstała niepodległa Armenia, 1991), bo byli w jedności z narodem Kościołem.

Gdzie obecnie znajdują się największe wspólnoty ormiańskie poza Armenią?

Jak podaje Wiki, na świecie żyje ok. 11 mln Ormian, z tego ok. 3 mln 300 tys. w samej Armenii. 140 tys. w nieuznawanej na arenie międzynarodowej Republice Górskiego Karabachu i 120 tys. w regionie Javakhk w Gruzji. Pozostałe 7 milionów Ormian żyje w diasporze z największą populacją w: Rosji, USA, we Francji, w Argentynie, Libanie, Syrii, Iranie, Kanadzie, na Ukrainie, w Grecji i Australii. Przyczyną były



Wieża dawnego kościoła ormiańskiego w Kamieńcu Podolskim, fot. Janusz M. Paluch

ucieczki przed prześladowaniami. I właśnie na naszych oczach dokonuje się kolejna eksterminacja chrześcijan, w tym licznych Ormian zamieszkałych na Bliskim Wschodzie. Ormianie, tracąc dorobek materialny i kulturowy, znów są skazani na exodus, o ile wcześniej nie stracili życia.

Kiedy Ormianie pojawili się w Polsce? Jak wygląda dziś wasza wspólnota w Polsce? Ormiańskie pochodzenie zdradzają też niektóre nazwiska, prawda?

Od połowy XIV wieku. Pochodzili z Krymu, Armenii, Azji Mniejszej, Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu. Najstarsze kolonie ormiańskie zostały założone w Kamieńcu Podolskim i Lwowie. Najmłodsza – w Kutach nad Czeremoszem.

Gminy ormiańskie posiadały własny samorząd i własne sądownictwo, a Ormianie mogli swobodnie wyznawać chrześcijaństwo według własnej tradycji narodowej.

A jak wygląda dziś nasza wspólnota w Polsce? Przede wszystkim składa się z dwóch grup: starej imigracji i nowej imigracji – jeżeli tak umownie można nazwać. A chodzi o potomków Ormian, którzy do Polski przybyli przed wiekami, oraz Ormian, którzy do Polski przybyli w ostatnich kilkadziesiąt latach. Tzw. stara imigracja jest

właściwie całkowicie spolonizowana, jednak z silnym poczuciem odrębnego rodowodu. Natomiast pełny żywioł ormiański reprezentują przybysze z ostatnich lat. A od kilku lat odnotowuje się nieliczny napływ Ormian z Bliskiego Wschodu.

Typowe nazwiska dla starej imigracji to m.in. Agopsowicz, Krzeczunowicz, Stefanowicz, Abgarowicz, Jaśkiewicz, Mojzesowicz, Manugiewicz, ale też Romaszkan czy Moszoro. A dla Ormian z Armenii to m.in. Sarkisian, Koczarian, Mnacakanian...

Jak postrzegali i postrzegają Polskę? Czy jest to pewna stała, czy też może na przestrzeni wieków zachodziły w tym zakresie zmiany?

Diaspora ormiańska w Polsce jest jedną z najstarszych. W dawnej Polsce były liczne kolonie ormiańskie, obdarzane przez królów Polski i możnowładców licznymi przywilejami, więc wspólnoty ormiańskie mogły się rozwijać i mogły wyrastać przyzwoite fortuny. Jednak burzliwe losy polskiej historii nie mogły nie wpływać na stan posiadania i w ogóle jakość ormiańskich wspólnot, tym bardziej że Ormianie w Polsce byli lojalnymi obywatelami przybranej ojczyzny, podzielali polską rację stanu i polski los brali za swój.

Z czasów Jagiellonów piękne, pośrednie, świadectwo daje Symeon Lehacy. Urodził się w roku 1584 w Zamościu jako syn Martirosa z Kaffy. Mając 24 lata wyruszył w podróż do miejsc świętych (Europa i Bliski Wschód). Pielgrzymka trwała 12 lat. Obserwacje z podróży konfrontuje z obrazami Polski, która jest dla niego wzorcowym punktem odniesienia.

I tak zbliżając się do Amidu [Diyarbakır – w dzisiejszej Turcji], stolicy patriarchów i królów armeńskich... opisuje przebieg nabożeństwa i wysoki poziom ją sprawujących w katedrze św. Kirakosa: ... a po zakończeniu nabożeństwa prowadzi ich (zamawiających) do swego domu na kolację. Ugaszczają tam bardzo smacznymi i przyjemnymi potrawami. Jedzenie ich jest obfite i drogie. Ani w Stambule, ani w Halebie (Aleppo) nie widywałem takiego menu. Może tylko w Polsce.

Rozmowy, handel i uczty przebiegają ze znajomością etykiety. Mówią oni grabarem i wyższym stylem. Są to ludzie wysokiego wzrostu i silnej budowy, podobni do mieszkańców Dżulfy albo Polaków. Przyjemnie jest na nich patrzeć. Przy drugiej bramie

miejskiej (ciągle w Amidzie) był cmentarz armeński, gdzie znajdowały się drogie, duże grobowce z napisami, tak jak w Polsce.

Biskup Ghukas (Łukasz) zobaczywszy mnie ucieszył się bardzo i przedstawił mnie ordynariuszowi, a także następcy Parontera (patriarchy jerozolimskiego Krikora Parontera). Pewnego dnia biskup Ghukas zaprowadził mię do niego. Padłem mu do stóp i oddałem swoje pieniądze na intencję (modlitwy), a on je przyjął, pobłogosławił mnie i rzekł: „Powinieneś być dać więcej, bo jesteś z Polski...”

Potem (Krikor) obsadził kościoły i klasztory (w Jerozolimie) księżmi, wartabedami, mistrzami, klerykami... a także wyposażył je w ornaty, sprzęty, lichtarze i lampy, rozliczne złote i srebrne naczynia, a też w krzyże i świeczniki wielkości człowieka, wspaniałe księgi, wielkie kadzielnice, ewangeliarze w złotych oprawach i wiele innych dóbr. Widziałem tam tak cenne ornaty i sprzęty, jakich nawet w Polsce się nie znajdzie...

Dla opisanego późniejszego procesu posłuży się cytatem od prof. Krzysztofa Stopki, pomieszczonym w „Kalendarzu Ormianie 2015. Naród odradzający się z popiołów zagłady”: *Pierwszy bolesny cios spadł na Ormian w Polsce na skutek tureckiej okupacji jednej z prowincji, w której zamieszkiwali – Podola (1672–1699). Zniszczeniu i czasowemu rozproszeniu uległa jedna z najstarszych gmin w Kamieńcu Podolskim. Tracąc zdobytą i posiadłość, uciekali wtedy do Warszawy, Krakowa i innych miast Polski centralnej. Rozbiory Polski, dokonane pod koniec XVIII wieku przez trzy sąsiednie kraje (Rosję, Prusy i Austrię), były kolejnym ciosem. Gminy ormiańskie, tworzące do tej pory zwartą kulturowo społeczność, zostały rozdzielone przez nowe granice, straciły kontakt ze sobą, asymilowały się. Znikały ośrodki w pruskiej, a potem rosyjskiej Warszawie, w rosyjskim Kamieńcu, w austriackim, a potem rosyjskim Zamościu. Najgroźniejsze uderzenie przyszło w Austrii, która zlikwidowała osobne prawo i samorząd etniczny przyznany przez królów polskich w tak ważnych ośrodkach jak Lwów i Stanisławów.*

Jeśli Ormianie, to także Kresy. Państwo cały czas spotykają się ze wspólnotami ormiańskimi tam zamieszkałymi. Jak wygląda świadomość kresowa u polskich Ormian? Co z ludźmi młodymi: czy współcześni 20-latk-

wie interesują się tym, skąd wzięły się ich korzenie?

Dla polskich Ormian i ich potomków to właśnie Kresy są tą ojczyzną utraconą. Celnie ujął to Grzegorz Pełczyński w tekście z 1995 roku „Kabzanie w Kutach i gdzie indziej”: *Ararat to mityczna góra Ormian, do jej szczytu miała ponoć przybić Arka Noego, gdy ziemia po potopie zaczęła się wynurzać z wód. Jednakowoż Ormianom kuckim bliższa pewnie była góra Owidiusz, u stóp której rozciągało się ich miasteczko. Jak też bliższe były sprawy dziejące się w Polsce, aniżeli w dalekiej ojczyźnie przodków.*

Spolonizowani, z silnym poczuciem odrębnego rodowodu, wtopili się w polski żywioł, reprezentując elitarne zawody, cenionych rzemieślników, duchowieństwo, ziemiaństwo... Mogę wymienić przykładowe nazwiska, ale pełniej będzie, jeżeli zaproponuję bobrowanie po Wiki.Ormianie – wolnej encyklopedii Ormian w Polsce <http://www.wiki.ormianie.pl/index.php/WikiOrmianie>

Już po kilku hasłach stanie się jasne, jak bliskie były im sprawy dziejące się w Polsce. Jakimi gorącymi patriotami byli – aż do złożenia ofiary najwyższej. No, podpowiem, np.: Kajetan Stefanowicz, Walerian Tumanowicz, Issak Antoni Donigiewicz, ks. Dionizy Kajetanowicz, ks. Adam Boganowicz Rosco, Jadwiga Zarugiewiczowa, ks. Samuel Manugiewicz... Naprawdę polecam WikiOrmianie.

Na ten genialny pomysł – aby stworzyć coś na kształt internetowego słownika biograficznego – wpadli Monika Agopsowicz i Armen Artwich z Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich. I stworzyli – na podobieństwo Wikipedii. Hasła tworzyć i edytować może każdy. Nie ma ograniczeń, że np. tylko wybitni czy zasłużeni. Po prostu Ormianie polscy.

A zainteresowanie młodych swoim pochodzeniem i szerzej dziedzictwem w ogóle? Tam, gdzie w domu jest to żywy temat, tam i młodzież jest zainteresowana przeszłością. Ja sama jestem przykładem późnego, świadomego oglądania się do tyłu. Kiedy zaczęłam to wszystko układać sobie w głowie, sporządziłam notatkę: *Jestem późnym dzieckiem swoich rodziców. Rodzice odeszli. Odchodzą ich kucy przyjaciele. Obornicki dom przestał być jednym z miejsc spotkań tułaczy. Umiłki wesoly gwar rozmów. Umiłki polityczne spory – rozpoczęte chyba jeszcze przed pierw-*

szą wojną światową. Umiłki płacz naszej mamy, którym kończyła się każda Wigilia. „Nasze strony” ożywały w obornickim domu co wieczór, co święta, co spotkania... Tamto nasylenie i tamtą tęsknotę noszę w sobie do dziś, choć w owym czasie budziło to mój bunt, bowiem świat za oknem był zupełnie inny od tego przywoływanego. Obowiązywali inni bohaterowie, obowiązywały inne prawdy, a zdemoralizowanie prawa własności na czele. Zrozumienie przyszło po latach. Po śladach: niezapisanych ongi słowach, ocalałych fotografiach i dzisiejszych pogaduszkach z ciociami – przywołuję mityczną już krainę i usiłuję się do niej wdrzeć, bo ona kusi i jednocześnie zazdrośnie strzeże swoich tajemnic.

Po prostu: *Róbmy swoje.*

Jak wygląda praca Fundacji pielęgnującej kulturę Ormian? Jakie są potrzeby w tym zakresie? Jak można wspomóc Fundację?

Czyli przechodzimy do *róbmy swoje*? Wiodącą w tym zakresie organizacją w Polsce jest Fundacja Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich (www.dziedzictwo.ormianie.pl). Przede wszystkim skupiła oddanych sprawie ludzi, pozyskała do współpracy tęgie uniwersyteckie głowy, pozyskuje grosz na projekty, zarządza materialną spuścizną Ormian polskich (przywiezioną z Kresów), pozyskuje dobra kultury związane z dziedzictwem Ormian polskich, opracowuje zgromadzony i gromadzony materiał, popularyzuje. Tworzy wystawy, wydaje publikacje – w tym kwartalnik „Awedis”. A co bardzo ważne, prowadzi portal www.ormianie.pl z jasnym tematycznym podziałem. Jak można pomóc? Ot, choćby tak, jak Pani to ostatnio zrobiła: podarowała do zbiorów Fundacji kopie dwóch cennych zdjęć, z opisem, ze Szkoły Benedyktynek Ormiańskich, czyli przybyła kolejna cegiełka do tego wielopiętrowego wirtualnego domu Ormian polskich. One również zostaną opublikowane w „Awedisie”, może ktoś coś sobie dodatkowego przypomni i podzieli się swoją informacją. Zachęcamy do przekazywania do Archiwum Ormian Polskich, prowadzonego przez FKIDOP, kopii fotografii i rodzinnych dokumentów związanych z Ormianami polskimi. Zdigitalizowane wejdą w powszechny obieg. Bezcenna jest każda darowizna materialna czy niematerialna. Redakcja „Awedisu” chętnie zwiększy grono publikujących

teksty na swoich łamach... Każdy rodzaj aktywności intelektualnej ofiarowany FKI-DOP jest pomocny.

W ostatnich latach możemy nareszcie zauważyć otwarcie się mediów i świadomości społecznej na ludobójstwo, jakiego w XX wieku dokonano na Ormianach. Jakie miejsce zajmuje ono w waszej świadomości narodowej?

Kluczowe. Ormianie żyją w ogromnym rozproszeniu, mówiliśmy już o tym, w różnych zakątkach świata, w długo i niedługo trwających diasporach, w koegzystencji z różnymi kulturami i tradycjami, mówią różnymi językami, czyli codzienność, ale i sprawy fundamentalne determinują różne wybory, poglądy i postawy. Ale w sprawie ludobójstwa dokonanego na Ormianach przez Turków mówią jednym głosem: to jest ich niezabliźniona rana, która woła o Prawdę.

Nie możemy nie zapytać: jak wygląda doświadczenie dziejowe Ormian w kwestii relacji

z islamem? Rząd RP zdecydował się teraz na przyjęcie muzułmańskich imigrantów. Jak Ormianie to oceniają?

Mówiliśmy już o tym wyżej: jako chrześcijanie z krwi i kości cierpieli prześladowania właśnie od islamistów. Przed nimi uciekali. Więc teraz się boją.

Dziękuję za rozmowę.

ROMANA OBROCKA – animatorka wydarzeń kulturalnych w środowiskach mniejszości narodowych, szczególnie ormiańskiej, publicystka, wieloletnia koordynatorka programu wydawniczego Gminy Oborniki Śląskie, współpracownica Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich oraz kwartalnika „Awedis”, wywodzi się z Ormian kuckich (rodzina Manugiewiczów).

Wywiad ukazał się w 2015 r. na portalu myslkonserwatywna.pl

DBAMY O PAMIĘĆ

Grobowiec Heleny i Władysława (majora pułku ułanów Wojska Polskiego) Jagielskich.



O działalności Stanisława Dunin Borkowskiego

W e współczesnych opracowaniach poświęconych dziewiętnastowiecznemu środowisku lwowskich przyrodników z rzadka uwzględniana jest postać zajmującego się geologią i mineralogią Stanisława hr. na Skrzynnie Dunin Borkowskiego (1782–1850)¹. Rzeczony naturalista badający skały i minerały wschodniej części Galicji i Bukowiny, związany z Akademią Królewsko-Bawarską w Monachium, członek dziewięciu towarzystw naukowych, spoczywa w mauzoleum rodzinnym na nekropolii Łyczakowskiej, w tzw. pierwszej kaplicy Dunin Borkowskich. Przynależy ona do najbardziej wyszukanych przykładów

lwowskiej architektury cmentarnej. Urodzony w Rudzie pod Stryjem, kształcił się we Lwowie, dalej zaś odbył roczne studia w najstarszej na świecie uczelni górniczo-hutniczej, noszącej współcześnie nazwę Technische Universität Bergakademie Freiberg. W kolejnych latach, zgłębiając tajemnice chemii, wiedzę uzupełnił na Sorbonie. W okresie paryskim uczestniczył Dunin Borkowski w zajęciach odkrywcy chromu (1797) i berylu (1798) Louisa Nicolasa Vaqueline'a. Uczył się również od innego szanowanego chemika Louisa Jacquesa Thénarde'a, odkrywcy boru (1808), dzisiaj kojarzonego przede wszystkim z oryginalnym pigmentem błękitem kobaltowym. Zaznajamiając



S. Dunin Borkowski sportretowany przez Andreama Stauba w latach 30. XIX w. Źródło: Biblioteka Narodowa, sygnatura:G.3659/II

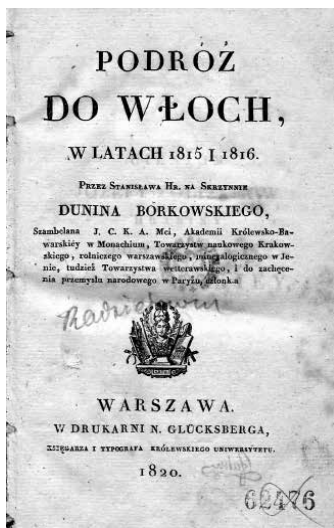
się z geologią i mineralogią, pracował następnie w paryskich laboratoriach². Wśród wykładowców Dunin Borkowskiego znalazł się m.in. niemiecki specjalista w zakresie geognozji, tj. nauki traktującej o złożach mineralnych i skałach, Abraham Gottlob Werner, obecnie wspomniany głównie w kontekście ogłoszonej wraz z Horacem-Bénédictem de Saussurem teorii Neptunismus/Diluvianismus (neptunizmu)³, zakładającej, że skały wykształciły się w wyniku procesu krystalizacji lub sedimentacji w środowisku wodnym. Poglądowi temu, błędnemu zresztą, holdowano na przełomie XVIII i XIX w.⁴ Werner, nazywany ojcem geologii, zasłynął wydzieleniem z geognozji oryktognozji (mi-

¹ Według Kazimierza Maślankiewicza zmarł w roku 1851. K. Maślankiewicz, *Stanisław Dunin-Borkowski. Pierwszy mineralog Polski*, [w:] *Księga pamiątkowa na dziewięćdziesięciolecie dziennika „Czas”*, Kraków 1938, s. 150.

² *Wspomnienie Stanisława hrabiego Dunina-Borkowskiego, ck podkomorzego, wielu towarzystw uczonych członka, zmarłego we Lwowie dnia 29 grudnia 1850 r.*, „Dodatek tygodniowy”, 22 III 1851, s. 46; T. Wiśniowski, *Z dziejów geologii w Polsce – kilka słów o Kołłątaju*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. im. Kopernika”, R. XL, z. 7–12, Lwów 1915, s. 227.

³ Geograf lwowski Antoni Rehman, odnosząc się do sporu pomiędzy neptunistami a plutonistami, stwierdził, że: *Nie wodzie i nie ogniovi zawdzięczają lądy swoje istnienie, lecz bezustannej walce elementu płynnego, tj. wody z elementem stałym*. A. Rehman, *Wiek Morza Śródziemnego (rzecz czytana na dorocznym zebraniu polsk. Tow. im. Kopernika we Lwowie w dniu 19 lutego 1883 r.)*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. Przyrodników imienia Kopernika. Rok ósmy”, Lwów 1883, s. 61.

⁴ Szerzej: Ch. Kapp, *Neptunismus und vulkanismus in Beziehung auf v. Leonhard's Basalt-Gebilde*, Stuttgart 1834.



neralogii)⁵. Notatki Dunin Borkowskiego z wykładów freiberskich znalazły się później w Bibliotece Uniwersytetu Franciszkańskiego. Prawidła Wernerowskiej geognozji wyłożył Francuzom w wydanej na łamach „Journal de mine” w 1809 r. pracy *Observations générales sur les rapports des differentes structures de la terre,*

d’après la theorie de Werner. Ukazujące się w kolejnych latach artykuły naukowe poświęcił znalezionemu w Podhorodyszczach bursztynowi, tantalitowi z Bawarii, pumekswi, nefrytowi, wezuwianowi, truskawiczej siarce, ołowiakowi z Bukowiny, miedzi i witirolowi. Warsztat badawczy Dunin Borkowskiego chwalili Stanisław Staszic, a także Karl Cäsar von Leonhard, na którym szczególne wrażenie wywarło rozróżnienie w Tolfa niedaleko Rzymu skały alunowej od kamienia alunowego.

Opublikowany we Lwowie w 1816 r. *List podróżnego, który odwiedził Tatry* był zdawkową relacją z odbytej podróży geologicznej. Wychodząc z Tarnowa, przez Wojnicz, Olszyny, gdzie autor oglądał zniszczenia wyrządzone przez powódź z 1813 r., dalej wąwóz Paleńnicy, kamienistą drogą przez Gródek i Zbyszycę, zawędrował do Nowego Sącza, którego otoczenie krajobrazowe przywodziło na myśl urokliwe zakątki Austrii i Styrii. Następnie, przebywając w oddzielającym ziemie polskie od Węgier Czorsztynie, zatrzymał się przy ruinach tamtejszego zamku. Docierając w Tatry skreślił lapidarny zarys ich budowy geologicznej. Pierwsze spostrzeżenia mineralogiczne ograniczył do granitu i łupku chlorytu. W Dolinie Ko-

ścieliskiej stwierdził obecność budującego Karpaty od strony Galicji gnejsu oraz srebra, miedzi i antymonu. Odnalezione pokłady skały kwarcowej pokrytej łupkiem marglu, wykończonego jasnokolorowym wapieniem ziarnistym, przyjął Dunin Borkowski za rzecz w geologii zupełnie nową. Z roślin tatrzańskich wspominał dzięgiel, goryczkę, rabarbar i płucnicę islandzką (lichen). Nie uzyskawszy odpowiedzi na pytanie, dlaczego miejscowi górale w przeciwieństwie do islandzkich i szkockich płucnicy nie stosowali do celów kulinarnych, doszedł do przekonania, że postępowanie takie było marnotrawstwem⁶.

Dunin Borkowski zwrócił na siebie uwagę w 1818 r., gdy jako pierwszy obywatel galicyjski w posiadającym majątku zwolnił chłopów z obowiązku odrabiania pańszczyzny, w zaborze austriackim praktykowanej do 1848 r. Wspominający o tym fakcie prof. Stanisław Sławomir Nicieja wskazał również na inne godne odnotowania poczynania naturalisty: działalność filantropijną w postaci fundacji stypendiów gospodarskich, wydanie w Wiedniu w 1834 r. *Psalterza floriańskiego*⁷ czy przekazanie dwudziestu dwóch tys. cennych, prywatnych tomów dla biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie⁸. W zbiorze tym znalazły się również opracowania przyrodnicze Cuviera, Gay-Lussaca, Humboldta, Śniadeckiego i Wernera. Angażował się ponadto w fundację Galicyjskiej Kasy Oszczędności (1844) i Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego (1845). Z myślą o zawiązaniu instytucji zajmującej się sprawami agromonii wystąpił w 1812 r., kreśląc jej statut, a pięć lat później projekt swój przedłożył samemu cesarzowi⁹.

W pierwszą daleką podróż udał się Dunin Borkowski na Półwysep Apeniński. Będącą pokłosem tej wyprawy, wydaną w Warszawie w 1820 r. nakładem drukarni Glücksberga *Podróż do Włoch w latach 1815 i 1816,*

⁶ *List podróżnego, który odwiedził Tatry*, „Pamiętnik Lwowski”, t. I, Lwów 1816, s. 81–84.

⁷ *Zur Geschichte des ältesten polnischen Psalter zu St. Florian bei Linz. Genannt der Psalter der Königin Margarethe*, Wien 1835.

⁸ S.S. Nicieja, *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1989, s. 223.

⁹ *Wspomnienie Stanisława hrabiego Dunina-Borkowskiego...*, op. cit., s. 46–47.

⁵ K. Maślankiewicz, *Stanisław Borkowski pierwszy mineralog polski*, „Wszeczeńświat. Pismo przyrodnicze”, z. 9–10 (1833), Warszawa 1953, s. 220.

przygotował autor z zamiarem wypełnienia luki w rodzimej literaturze przedmiotu. Znana jest również inna fragmentaryczna wersja opublikowana w dwóch częściach w 1816 i 1817 r., zatytułowana *Geognostische Beobachtungen in der Gegend von Rom* (*Spostrzeżenia geognostyczne w okolicach Rzymu*). W wydaniu polskojęzycznym znalazły się barwne opisy Rzymu (uwzględniające dawną topografię miasta), Padwy, Bolonii, Florencji i Wenecji oraz innych miejsc znajdujących się na trasie odbywanej podróży. Pracę Dunin Borkowskiego przyjąć należy za pierwszy polski przewodnik po Italii, opatrzonej w zwięzłe informacje z zakresu historii oraz geografii społecznej i ekonomicznej.

Przywołując nazwiska świątłych florenckich obywateli, wymienił m.in. Giovanniego Fabbronię (1752–1822)¹⁰ – cenionego przyrodnika, chemika i agronoma, jednego z inicjatorów założenia w 1775 r. Museo di Fisica e Storia Naturale di Firenze. Podróż do Włoch spotkała się z życzliwym przyjęciem nie tylko w rodzimym środowisku naukowym, lecz także za granicą, czego dowodziło stanowisko zajęte przez opiniotwórczy „Revue encyclopedique”. Co więcej z tamtego okresu pochodzi rozprawa *Mémoire sur la sodalite de Véruve*, w której autor opisał po raz pierwszy przynależący do krzemianów, występujący na Wezuwiuszu sodalit, a właściwie jego odmianę. Również i ta praca szybko zyskała uznanie i doczekała się przekładu angielskiego. Od drugiej połowy lat 30. XIX w. do 1844 r. Dunin Borkowski podróżował po krajach niemieckich i Francji, spotykając się z tamtejszymi uczonymi. Był dodatkowo wyborynym kolekcjonerem okazów przyrodniczych: skał i minerałów, przekazanych po 1850 r. dla Uniwersytetu Franciszkańskiego i Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Artykuły mineralogiczne publikował m.in. w „Journal de physique, de chimie et d'histoire naturelle”¹¹ i „Schweigers Journal für Chemie und Physik”¹².

Będąc wielkim miłośnikiem książki, w 1827 r. podjął współpracę z otwartym



wówczas Ossolineum, udzielając się w pracach adaptacyjnych przekazanego na siedzibę Zakładu dawnego klasztoru i kościoła Karmelitanek trzewickowych. Nawiązuje do tego rozprawa traktująca o technikach bibliotecznych¹³. Na podstawie notatki zamieszczonej w „Rozmaitościach” można wywnioskować, że broszurę wydrukowano na koszt autora i rozesłano krajowym oraz zagranicznym towarzystwom i instytucjom naukowym. Nieliczne egzemplarze swego czasu oferowała warszawska księgarnia Zawadzkiego i Weckiego¹⁴. Warto wspomnieć, że o wzmiankowanej rozprawie w pochlebnym tonie wypowiedział się historyk literatury Wiktor Hahn, chwalać jej twórcę za rozeznanie w temacie i fachowość¹⁵.

Przechodząc koło kaplicy cmentarnej Dunin Borkowskich warto pamiętać, że spoczywają w niej doczesne szczątki jednego z pierwszych polskich mineralogów, bibliotekoznawcy, historyka literatury, ziemianina zainteresowanego autentycznie sprawami rolniczymi oraz działacza społecznego w jednej osobie.

¹⁰ S. Dunin Borkowski, *Podróż do Włoch w latach 1815 i 1816*, Warszawa 1820, s. 145.

¹¹ *De la Bothriolith du Fettstein, Observations generales sur les differentes methodes de la classification mineralogique*.

¹² *Chemische Untersuchung des Egerans*, vol. XXIII.

¹³ *O obowiązkach bibliotekarza. Rzecz napisana w r. 1827 z powodu uporządkować i utworzyć się mającej Biblioteki imienia Ossolińskich*, 1829.

¹⁴ „Rozmaitości. Pismo dodatkowe do Gazety Lwowskiej”, Lwów 1829, s. 263.

¹⁵ W. Hahn, *Stanisława Dunin-Borkowskiego: O obowiązkach Bibliotekarza*, „Przewodnik Bibliograficzny”, nr 6, 1926, s. 246.

Adam Zagajewski

Urodził się we Lwowie 21 czerwca 1945 roku. Odwiedza swe miasto co kilka lat. W jego rodzinnym domu powtarzano, że na Śląsku znaleźli się przez pomyłkę. Śląsk był tylko prowizorką. – Miałem się nie przywiązywać do tych drzew i do tej czarnej rzeki, która płynie przez Gliwice... – mówił w rozmowie z Donatą Subbotko. Dziadek, który wierzył w powrót, powtarzał mu, że to Lwów jest naszym miejscem na ziemi. A jednak pierwszy obraz, jaki pamięta z wczesnego dzieciństwa, to topole nad Olzą w Cieszynie. Zagajewscy Lwów opuścili 28 października 1945 roku, w dniu imienin Tadeusza Zagajewskiego – ojca poety, który związany był z AK, a w 1939 roku dowiedział się, czym jest Związek Radziecki. Przed laty opublikował tom wierszy *Jechać do Lwowa*, a w najnowszym tomie poezji znowu pojawiły się wiersze kresowe. Tom wierszy *Prawdziwe życie* w grudniu 2019 roku uhonorowany został przez Bibliotekę Kraków Nagrodą Krakowska Książka Miesiąca. Podczas wręczenia nagrody poeta, pozdrawiając Czytelników „Cracovia-Leopolis”, wyraził zgodę na opublikowanie na naszych łamach kilku wierszy. Mam nadzieję, że ich lektura zachęci Państwa do sięgnięcia po nagrodzoną książkę, która ukazała się nakładem Wydawnictwa a5. Polecam zatem *Prawdziwe życie* Adama Zagajewskiego!



fol. Krzysztof Lis

Sambor

Przez Sambor przejechaliśmy szybko, błyskawicznie, wystarczyło pięć minut.

A moja mama właśnie tutaj, wydaje mi się, zdała maturę.

Zapałał zmierzch i nie było marszów żałobnych.

Tylko na szosie tańczył żrebak, nie oddalał się jednak od klaczy;

wolność jest słodka, lecz bliskość matki także.

Nad polami i nad lasem panowało szare milczenie.

I małe miasto Sambor znowu tonęło w niepamięci.

W Drohobyczu

Ale zdarzają się małe miasta w których cienie są prawdziwsze niż rzeczy

Tam także przychodzi wieczór
Stare domy spokojnie czekają

I potem ciemność

Zobacz
jak łagodnie

Deszcz we Lwowie

*pada na wawelskiego smoka
na kości olbrzymów*

Tadeusz Różewicz
Deszcz w Krakowie

Pada na ormiańską katedrę
i na cerkiew św. Jura.

Na operę i na czarną kamienicę.
Wzgórza znikają we mgle.

I Ostap Ortwin, który
był szlachetnym człowiekiem
(bronił Stanisława Brzozowskiego).
Zastrzelony na ulicy
przez gestapowca.

Cywilizacja – aż pięć sylab.
Ból – tylko jedna.
W Londynie widziałem autoportret Van Eycka
z napisem „Als ich can” – czyli
„Tak jak potrafię” – i to nie jest selfie.

Pada deszcz na kawiarnię Szkocką
i na Wysoki Zamek
na Kajzerwald
i na synagogę.

I to miasto, które jak Rzym
siedziało na siedmiu pagórkach
z berłem i jabłkiem
stało się płaskie i małe.

Zgrzytały koła tramwajów
w zbyt wąskich szynach.
I płakaliśmy wszyscy
przechodnie i goście
zwycięzcy i przegrani.



Barbara Seidel

Zmagania z przeszłością

Rodzina mojej Mamy, Ludwika ze Szczepańskich, pochodziła z Trembowli w województwie tarnopolskim. Żyłam więc niejako w cieniu tego miasta. Czasy mojego dzieciństwa, lata 50. i 60. XX w. jednak nie sprzyjały zdobywaniu wiedzy na jego temat. Po drugiej wojnie światowej Trembowla pozostała poza Polską – w Związku Sowieckim, wspomnianie „tamtych” czasów mogło zaś stanowić powód do represji ze strony ówczesnych prosowieckich władz. Tylko rzadkie wizyty krewnych i znajomych, gdy wartko, choć szeptem, toczyły się wspomnienia, pozwalały na poznawanie epizodów z życia Rodziny nie tylko w okresie międzywojennym, ale także podczas pobytu na zesłce w Kazachstanie. Kopalnia wiedzy o interesujących mnie czasach, Babcia Maria z Muszyńskich Szczepańska, niechętnie dzieliła się nią ze mną, uznając, że moje zainteresowania powinny iść w kierunku li tylko zdobycia odpowiedniego wykształcenia, inne mogłyby zaś przysporzyć, mnie i Rodzinie, wyłącznie kłopotów. Bierne uczestniczenie we wspominkach rodzinnych na tematy trembowelskie rozbudziło na tyle zainteresowanie, że gdy tylko mogłam, kierowałam rozmowy z Babcią na tematy Jej bliskie.

Początkowo pragnęłam tylko poznać dzieje rodzin Szczepańskich, Muszyńskich czy Jastrzębskich, imiona przodków, szczególnie skąd i kiedy do Trembowli przybyli. Stopniowo poznawałam historię Miasta, twierdzy Podola, bastionu *wiary i polskości*, jak o Trembowli pisał ksiądz Wacław Szetelnicki. Okazało się wówczas, że jego opracowanie jest praktycznie jedyne, jeśli nie liczyć XIX-wiecznego dzieła Jana Aleksandra Baygera *Powiat trembowelski*. O Trembowli XX-wiecznej nie znalazłam żadnych opracowań, poza niewielkimi broszurami, jak choćby Kazimierza Missony *Przewodnik po Trembowli i okolicy*. Uznałam wówczas, że może warto byłoby zebrać informacje o tym ważnym, jeśli nie jednym z najważniejszych

Maria z Muszyńskich Szczepańska z dziećmi, rodziną i sąsiadami. Ciekawostką stanowi fakt, że fotografia została wysłana jako kartka pocztowa do brata Marii, Tomasza Muszyńskiego, przebywającego na froncie. Maj 1918 r.



szszych, miast w historii Polski. Tak powstała moja książka *Trembowla. Kresowy Feniks*. Reakcja profesora Jerzego Lesława Wyrozumskiego (1930–2018), pochodzącego z Trembowli, jego prośba o kontynuowanie pracy i akceptacja mojej koncepcji cyklu stanowiły zachętę i bodziec do dalszych działań. Odzew ze strony Czytelników i ich chęć poszerzenia mojej wiedzy sprawiły, że uzyskałam dodatkowe materiały o mieście. Uznałam wówczas, że zamieszczanie ich w drugiej części, w formie uzupełnień do części pierwszej, nie ma większego sensu. Po prostu wplotłam je w tekst rozdziałów opisujących losy/historie poszczególnych rodzin. Liczne, bardzo interesujące i mocno rozgałęzione miały rodowody, a zamieszkując te ziemie od wieków, koligacjami się, tworząc barwną kresową mozaikę typów i charakterów. W ten sposób powstała część druga, *Trembowla. Historie ludzkie i nieludzkie*, której jeden z rozdziałów prezentował dzieje rodu Wyrozumskich, jednego z najdawniej osiadłych na Kresach. Profesor, po zapoznaniu się z książką, uznał ją za wartościową i potrzebną, usilnie namawiając do kontynuowania pracy. Jak napisał w liście do mnie, zapisując dzieje miasta i losy mieszkańców, poniekąd spełcałam Jego dług, jaki w swoim przekonaniu miał wobec tamtej ziemi. Podobnie pozytywną opinię wyraził znany muzyk i muzykolog profesor Stanisław Gałoński, pochodzący z Ostrowczyka pod Trembowlą. Jego wsparcia i zachęty nadal doświadczam, za co serdecznie Mu dziękuję! Pojawił się jednak pewien dylemat: jechać czy pisać? Stałam przed koniecznością dokonywania wyboru podejmowanych działań. Gromadzenie informacji wiązało się najczęściej z wyjazdami,

czasem niezbyt bliskimi, do osób, które chciałyby powierzyć mi swoje historie i udostępnić materiały z zasobów rodzinnych. Coraz liczniejsze grono chętnych zmuszało do dokonywania wyboru: kiedy i z kim się spotkać? Utrudnienie stanowił fakt, że moi Rozmówcy nierzadko mieli problemy zdrowotne a wpływający bezlitośnie czas sugerował pośpiech...

Pewnego razu, w Tymowej koło Ścinawy, zadzwoniłam do drzwi domu pani Julii Czarnej z Trembowli. Bardzo mi zależało na tym spotkaniu, szczególnie że w swoich zbiorach miałam pochodzącą od Niej korespondencję, kierowaną do mojej Babcji Szczepańskiej, świadcząca o pewnej zażyłości rodzin. Drzwi otworzyła mi córka, a na moje pytanie, czy mogłabym porozmawiać z panią Julią, usłyszałam:

– Mama zmarła dwie godziny temu...

Nie chciałabym po raz drugi przeżyć czegoś takiego, więc na pytanie, które sobie zadaje: jechać czy pisać, zawsze wybieram to pierwsze z nadzieją, że zdążę przed Panem Bogiem. Wybór jednak nie jest tak bardzo oczywisty, jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Moi Rozmówcy, dzieląc się ze mną wiedzą i powierzając mi swoje historie, bardzo chcieliby ujrzeć je w formie książkowej. Rozdziały, ilustrowane fotografiami, pełniłyby niejako rolę pamiętki rodzinnej z przesłaniem dla potomków, więc chęć ujrzenia tego, co zostawiliby jako pewnego rodzaju „spadek”, była zrozumiała.

Pani Julia Ostrowska, której rodzinną historię opisano w części drugiej, ponaglała mnie w pracy, mając świadomość, że wiek i zdrowie nie pozwalają na zbyt optymistyczny. Kiedy dostarczyłam jej egzemplarz książki, zawierający interesujący ją rozdział, przytuliła go do piersi, mówiąc:

– No, masz szczęście! Zdążyłaś! Ja już jej nie przeczytam, ale cieszę się, że jest...

Miesiąc później zmarła...

Czasami problemem bywało zdobycie zaufania rozmówców, dla których przechowywanie pamiętki – fotografie i dokumenty – stanowiły cenne nieomal relikwie, czemu trudno się dziwić. Wszak dokumentowały życie wielu pokoleń rodziny w czasach i miej-

scach bezpowrotnie utraconych. Nie mając możliwości technicznych kopiowania zbiorów u nich w domu, zabierałam je do siebie, a po zeskanowaniu bądź odwoziłam, bądź wysyłałam pocztą. Wydawałoby się, że konieczność odwiezienia mogła być poniekąd kłopotliwa, jednak nic bardziej mylnego! Wcale nie tak rzadko okazywało się, że po pierwszej rozmowie moi rozmówcy wracali pamięcią do czasów i zdarzeń, których dawno nie przywoływali we wspomnieniach, które utkwily gdzieś głęboko na dnie szuflad niepamięci i dopiero nasza wcześniejsza rozmowa wydobywała je na „płytszy poziom”. Druga wizyta często dostarczała więc ciekawych dla obu stron niespodzianek. Początkowy brak zaufania zniknął bezpowrotnie...

Zgromadzony materiał wymagał jednak konieczności selekcji z uwzględnieniem i przydatności, i zainteresowania czytelnika. Jeśli rodzina nie była zbyt liczna, a pamiętek niewiele, problem w zasadzie nie istniał. W licznych i rozgałęzionych – już bywało gorzej. Ponadto zdarzało się, że rozmówców pochodzących z tej samej lub blisko spokrewnionej rodziny było więcej, a wersje wydarzeń różniły się w sposób istotny. Balansowanie, by nie powiedzieć lawirowanie, między tego rodzaju Scyllą a Charybdą męczyło i nie zawsze dawało jednoznaczny wynik. Próbowałam w takich

przypadkach weryfikować różne wersje tych samych wydarzeń u innych, postronnych osób. Efekty były różne – pozostawiam to ocenie Czytelników.

Mając na celu upamiętnienie polskości Trembowli i ziem powiatu trembowelskiego, starałam się ograniczyć przekaz do czasów przedwojennych i wojennych, uznając zakończenie wojny i decyzję o zabraniu ziem Polsce za nieprzekraczalną granicę narracji. Napotykałam jednak w tym zakresie dość często zdecydowany opór. Rozmówcy oczekiwali, że opiszę także powojenne losy ich rodzin, co nawet uznałabym za zasadne, wręcz konieczne, gdyby nie wcześniejsze założenia i cel opracowania – upamiętnienie polskości miasta, o czym zawsze sprzedawałam na początku rozmowy. Podejmowano próby manipulowania mną, złożono mi także propozycję finansowej gratyfikacji za poświęcenie jednej z części *Trembowli* wyłącznie rodzinie zainteresowanego. Zaproponowałam w tym przypadku, że udostępnię gratis wszelkie zgromadzone materiały dotyczące rodziny osobie, którą wskażą, a która zechce się podjąć takiego zlecenia. Zdarzało się jednak, że powojenne losy miały bezpośredni związek z historią i rodziny, i miasta i wówczas – w sposób, co podkreślam, niezwykle lakoniczny i ogólnikowy – o nich wspominałam.



Ajaguz w Kazachstanie. Dzieci ze szkoły polskiej 26 IV 1945 r. Wśród nich Ludwika Szczępańska (w najwyższym rzędzie w środku), mama autorki. Fotografia ze zbioru autorki przekazana przez panią Janinę Niesobską, z domu Śliwińską (w najwyższym rzędzie w białej bluzce)

Niektórzy z moich rozmówców z radością przyjmowali możliwość powrotu myślami do czasów odległych a wciąż drogich. Prosiłi o kolejne odwiedziny, mówiąc, że jak chcą sobie porozmawiać o Trembowli, to tylko ze mną. Wielki to dla mnie honor i zaszczyt! Bardzo Im dziękuję!

Jeden z moich rozmówców, który nigdy wcześniej z nikim nie rozmawiał o przeszłości swojej rodziny, okazał mi niezwykłe zaufanie, opowiadając o zdarzeniach niezwykle dramatycznych i bolesnych. Nie chcąc podawać szczegółów, by nie ujawnić jego personaliów (w jednej z części *Trembowli* zamieszczono rozdział o losach tej rodziny), muszę wspomnieć jedynie o tym, że na zakończenie stwierdził, że powiedział mi więcej niż kiedykolwiek na spowiedzi i że ta rozmowa stanowiła dla Niego swego rodzaju *katharsis*. Napisanie rozdziału było o tyle trudne, że niektóre sprawy, mimo upływu wielu lat, pozostają aktualne, a ujawnienie pewnych szczegółów – także nazwisk – mogłoby narazić rodzinę mego rozmówcy na realne niebezpieczeństwo.

Opisując wojenne losy polskich rodzin, nie mogłam pominąć wydarzeń, które do dzisiaj stanowią problem osobisty wielu osób, a także polityczny Polski. To sprawa banderyzmu, jego przejawów i sposobu interpretacji przez władze Ukrainy. Większość polskich rodzin i niektóre ukraińskie boleśnie doświadczyły skutków działania band Ukraińskiej Powstańczej Armii, a z traumą nie uporały się do dzisiaj. Drżące dłonie podczas rozmowy, płacz, przerywanie opowieści czy wręcz odmowa jej kontynuowania świadczą, że okrucieństwa, jakich doświadczyli, pozostawiły ślad nie do zamazania w ich psychice. Barbarzyństwo oprawców, którzy nie znali litości, bezwzględnie mordowali z intencją zadania ofierze jak największego cierpienia tylko z powodu polskiej narodowości, nie pozwoliło rozmówcom ani zapomnieć, ani po chrześcijańsku – wybaczyć. Muszą z tym żyć, lecz wspomnienia, wracające w męczących snach, wciąż przywołują dramat, jakiego doświadczyli, patrząc na katowanie i śmierć najbliższych. Takie rozmowy były trudne także dla mnie i długo nie pozwalały wrócić do równowagi psychicznej.

Interesujące zdarzenie miało miejsce, gdy gromadząc informacje genealogiczne, co zwykle staram się zrobić, opisując dzieje

rodzin, zauważyłam, że panie o identycznym nazwisku rodowym mają wspólnego przodka. Panie zaprzeczały pokrewieństwu, a przynajmniej nic o nim nie wiedziały. W dzieciństwie znały się z widzenia, a że mieszkały w odległych częściach Trembowli, nie spotykały się zbyt często. Dzielił ich rok urodzenia (1930 i 1931), lecz dwie klasy, jako że jedna z nich rozpoczęła naukę w wieku sześciu lat. Ich rodziny z jakichś powodów zaprzeczały pokrewieństwu. No cóż, po latach pewnie przyczyny niechęci rodzin znikły, ale kontaktu nie nawiązano. Dopiero ja, dopiero moje poszukiwania umożliwiły paniom poznanie przeszłości i pozwoliły na radość ze znalezienia bliskiej krewnej.

Wreszcie, pamiętając że początkowo miałam w planie tylko zebranie i zapisanie dziejów swojej rodziny, powinnam zamiar zrealizować. Wszak i ja zostanę kiedyś „odwołana”, a nie chciałabym nie zdążyć...

Chcąc jednak opisać losy moich najbliższych, potrzebowałam informacji, których ani Mama, ani Babcia nie chciały mi przekazać, uznając, że powinnam żyć, jak mawiała Babcia „tu i teraz”, bardziej interesować się swoją przyszłością niż przeszłością, która na zawsze odeszła. Niekonsekwencja Babci, przejawiająca się w częstym przypominaniu, że Związek Sowiecki to *Golem, kolos na glinianych nogach*, który w Jej domyśle kiedyś runie, sugerowała, że moje zainteresowanie ma pewne uzasadnienie, a kreowanie własnej przyszłości powinno odbywać się jednak z uwzględnieniem i w oparciu o przeszłość. Rozdział poświęcony losom mojej rodziny jeszcze nie powstał, lecz zgromadzony materiał pozwala na jego napisanie w każdej chwili... Ważnym okresem w jej dziejach był czas pobytu „na wycieczce turystycznej”, jak w okresie gdy o zsyłkach mówić było niebezpiecznie, określano wywiezienie do Kazachstanu. Część rodzin została wywieziona na Syberię, w głąb tajgi, wszyscy jednak doznali głodu, chorób, śmierci i upokorzeń, jakie sowieci zgotowali polskim „panom”, jak o Polakach mówił ludność tubylczej. Wspominający tamten straszny czas cieszyli się, że udało im się przeżyć, a jeden z rozmówców skwitował pobyt na zesłaniu (jako dwu-trzyletnie dziecko) słowami „głód, głód i jeszcze raz głód”, przy czym słowa napisał pogrubioną czcionką... Korzystając ze strzępów obra-

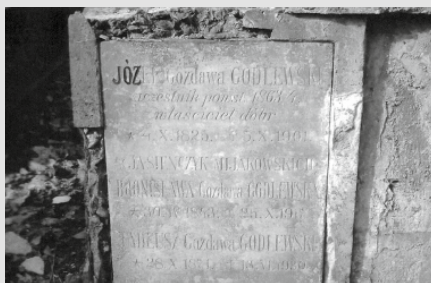
zów przechowanych przez pamięć tego małego dziecka z wielkim mozołem ustaliliśmy chronologię wydarzeń – w pewnym stopniu także dzięki relacji jednej z pań, wówczas kilkuletniej dziewczynki, z tej samej grupy zesłańców.

Układ Sikorski–Majski skutkował „amnestią” zesłańców, lecz sytuacja tych, którym nie udało się wyostać ze Związku Sowieckiego z armią generała Andersa, pozostawała bez zmian, jeśli chodzi o zdobywanie żywności. Dylematem często bywało: „ukraść czy przeżyć”, a świadomość sprzeniewierzenia się nakazom Dekalogu kazała pierwsze kroki po przyjeździe do Polski po wojnie skierować do konfesjonau. Dopiero gdy po wyznaniu „grzechu” kradzieży spowiadająca się usłyszała: – *Dziecko, tyś głodna była*, spadał kamień z serca „grzesznicy”. To była jedna z trudniejszych dla mnie rozmów...

Od pewnej, nieznannej mi zresztą osoby pani otrzymałam kilka cennych fotografii wykonanych podczas pobytu w Kazachstanie. Zamieściłam je w części trzeciej *Trembowli*, która ze zrozumiałych powodów nosi tytuł *Zesłańcy niepokonani*. Właściwie o wszystkich moich rozmówcach należałoby powiedzieć, że pozostali niepokonanymi. Mimo dramatycznych przejść, jakich doświadczyli, czy na zsyłkach, czy pozostając w domach – ze strony banderowców – patrzą w przeszłość z dystansem i nastawieniem filozoficznym, w czym – jak sądzę – pomaga Im wiara w Boga wyniesiona z domów i ugruntowana mimo wszelkich przeciwności. Mam nadzieję, że zapisując Ich losy czy dzieje Rodzin w małym bodaj stopniu wynagradzam krzywdy, jakich doznali, i upamiętniam polskość jednego z najwspanialszych miast Kresów.

DBAMY O PAMIĘĆ

Odnowiony grób rodziny Józefów Gozdawa Godlewskich, w którym spoczywają: Józef Gozdawa Godlewski (1825–1901), uczestnik Powstania Styczniowego 1863; Bronisława z Jasienczyk Mijakowskich Gozdawa Godlewska (1843–1917) oraz Tadeusz Gozdawa Godlewski (1871–1930)



Przed remontem



Po remoncie



Maria Ziętkiewicz (1907–1991)

Rys biograficzny i działalność pedagogiczna

Mimo odległości czasowej, która dzieli nas od odejścia do wieczności śp. Marii Ziętkiewicz, to jednak często wspominamy przy różnych okolicznościach tę zasłużoną dla lubelskiej oświaty postać. W tym szkicu pragniemy przybliżyć sylwetkę osobowości Pani Marii i zwrócić uwagę na jej zasługi na polu oświaty. Jest to nasz imperatyw moralny, który wynika z naszej pracy pedagogicznej i współpracy w dziele nauczania w Szkole dla Pracujących nr 2 przy ul. Bronowickiej w Lublinie.

Pani Maria była długoletnią kierowniczką tej szkoły (przepracowała 24 lata) i pełniła tę funkcję wzorowo, czego dowodem były liczne wizytacje oraz pozytywne opinie władz oświatowych¹. Wyrazem tego były przyznawane jej wyróżnienia, nagrody oraz państwowe odznaczenia. Swoją pracę organizacyjną w oświacie lubelskiej rozpoczęła tuż po wojnie w niezwykle trudnych warunkach. Z ogromnym poświęceniem pomagała wówczas uzyskać podstawowe wykształcenie tym wszystkim, którym okrutna wojna przerwała naukę. Maria Ziętkiewicz była wspaniałym nauczycielem, pedagogiem i przyjacielem młodzieży, z empatią potrafiła spojrzeć na uczniów. Znała ich często trudną sytuację i uwarunkowania rodzinne oraz środowiskowe. Ta jej postawa działała stymulująco na młodzież, nawet trudną wychowawczo. Nasza kierowniczka była dobrą organizatorką oświaty młodzieży i dorosłych w naszym mieście, a „dzięki niej Szkoła dla Pracujących nr 2 wysunęła się na pierwsze miejsce”². Angażowała się aktywnie zarówno w nauczanie, jak i w wychowanie młodzieży, która z różnych przyczyn nie ukończyła szkoły w normalnym trybie. Z każdym umiała nawiązać kontakt, co pomagało utrzymywać właściwe relacje z wychowankami. Przynosi-

ło to owoce pedagogiczne, w szkole był ład i porządek. Jako kierownik szkoły wykazywała wiele taktu dla młodzieży oraz grona nauczycielskiego, któremu ufała. Odznaczała się dużą życzliwością i zrozumieniem dla różnych spraw życiowych i rodzinnych. Prócz macierzystej szkoły zorganizowała dwie filie szkolnictwa dla dorosłych: w Fabryce Samochodów Ciężarowych (FSC) przy ul. Mełgiewskiej oraz w Centralnym Ośrodku Pracy Więźniów przy Drodze Męczenników Majdanka. W tych ośrodkach personel nauczycielski stanowili pedagodzy szkoły macierzystej, którzy dojeżdżali tam zgodnie z rozkładem zajęć. W filii FSC nieformalną kierowniczką była pani Eugenia Kaptur (ta osoba jako nauczyciel z charyzmatyczną osobowością wymaga osobnego omówienia). Obie panie – Maria Ziętkiewicz i Eugenia Kaptur – przez długie lata współpracowały ze sobą na niwie oświaty, doskonale się rozumiejąc i uzupełniając. Obie też były doskonałymi metodykami nauczania i wychowania. Mimo że szkoła uczyła starszą młodzież, to jednak wymagało to dużego zaangażowania i trudu pedagogicznego. Jednym z powodów harmonijnej współpracy było to, iż obie panie pochodziły z tzw. Galicji. Jedna ze stołecznego Lwowa, a druga z okolic Krakowa, i tam w okresie międzywojennym ukończyły seminaria nauczycielskie, które przyniosły dobre przygotowanie metodyczne i pedagogiczne.

Galicja w zaborze austriackim cieszyła się największą autonomią i swobodą na różnych płaszczyznach. Struktura organizacyjna i polityczna w Galicji różniła się zasadniczo od pozostałych zaborów – pruskiego i rosyjskiego w zakresie swobód obywatelskich i innych. Dotyczyło to wielu dziedzin życia, a szczególnie oświaty i nauki. Na kształtowanie się wartości narodowych miały wpływ sytuacja polityczno-społeczna oraz patriotyzm, zwłaszcza w okresie autonomii i Sejmu Krajowego, którego architektem i realizatorem był hr. Agenor Gołuchowski,

¹ Opinia: wz. Kierownika Wydziału Oświaty w Lublinie – Kitliński Henryk; Akta personalne Marii Ziętkiewicz.

² Tamże.

pełniący funkcję Prezydenta Rady Ministrów (premiera) w rządzie austriackim. W 1866 r. objął urząd Namiestnika Galicji i doprowadził do utworzenia polskiej państwowości, w dużej mierze autonomicznej³. W zakresie szkolnictwa na terenie Galicji działały owocnie dwa uniwersytety we Lwowie i Krakowie, a także politechnika we Lwowie. Szkołami wyższymi typu uniwersyteckiego były również: Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie, Akademia Weterynaryjna we Lwowie i dwie wyższe szkoły rolnicze – Akademia Rolnicza w Dublinach pod Lwowem i Studium Rolnicze przy UJ. W tym czasie postanowiono także utworzyć w Krakowie akademię górniczą, czemu jednak przeszkodził wybuch I wojny światowej w 1914 r.⁴ Również szkolnictwo średnie stało tam na wysokim poziomie nauczania, gdyż jego profesorowie legitymowali się często stopniem doktora lub nawet docenta (*privat docent*). To była kuźnia polskiej inteligencji, której duży procent stanowili nauczyciele. Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 to ona była zapleczem kadrowym dla administracji i szkolnictwa w budowie odrodzonej Polski. Część nauczycieli z Galicji zapuszczała się jeszcze dalej, na Wołyń, Polesie i Wileńszczyznę, aby nieść „kaganek oświaty”. W takich okolicznościach znalazły się nasze wspomniane bohaterki, przysłówiowe „siłaczki” na terenie Lubelszczyzny.



Maria Ziętkiewicz

Środowisko rodzinne

Maria Honorata Ziętkiewicz de domo Sołtys urodziła się 12 I 1907 r. we Lwowie. Była

³ Uzyskał zgodę monarchy Franciszka Józefa I (1848–1915) na szereg rozporządzeń, które wprowadziły język polski jako wykładowy do szkół (1861), jako urzędowy do sądów (1868) i wreszcie do wszystkich urzędów cywilnych (1869).

⁴ Por. Anatol Lewicki: *Zarys historii Polski (do 1795 r.)*, wyd. nowe, poprawione i uzupełnione przez dr. J. Janowskiego i dr. F. Lenczowskiego, Wydawnictwo Polskie w Hanowerze 1947, s. 226.

córką Jana i Matronelli z domu Podlewskiej. Ojciec był pracownikiem poczty lwowskiej, której ranga społeczna wówczas była wysoko ceniona. Matka, jak większość kobiet w tym czasie, nie pracowała zawodowo i zajmowała się domem. Wywodziła się z tego kręgu środowiska i kultury galicyjskiej, który miał wpływ na jej osobowość i postawę. Rodzina Sołtysów związana była od dawna z Galicją⁵. Dziadek Marii – Andrzej – był stryjecznym bratem Mieczysława urodzonego 7 II 1863 r. we Lwowie (zmarł tamże 11/12 XI 1929 r.). **Mieczysław** był kompozytorem, dyrygentem i pedagogiem. Od

1881 r. studiował w konserwatorium GTM (Galicyskie Towarzystwo Muzyczne) we Lwowie pod kierunkiem Karola Mikulskiego oraz filozofię na UJK. Od 1887 r. kontynuował studia muzyczne w Wiedniu (Gesellschaft der Musikfreude) u prof. Roberta Hirschfelda, a następnie w Paryżu u Camillea Saint-Saënsa. Od 1891 r. był prof. gry fortepianowej i organowej oraz przedmiotów teoretycznych w Konserwatorium GTM. Od 1899 r. pełnił funkcję dyrektora, przyczyniając się do udoskonalania

systemu nauczania. Do jego uczniów należeli: T. Kassern, T. Sygietyński, H. Feicht⁶. W latach 1897–1899 był redaktorem „Wiadomości Artystycznych we Lwowie”. Za swoje dokonania artystyczno-kulturowe został w 1908 r. odznaczony Orderem Franciszka Józefa I, a w 1929 r. Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta.

Adam, syn Mieczysława, ur. 4 VII 1890 r. we Lwowie (zm. tamże 6 VII 1968 r.), był polskim dyrygentem, kompozytorem i pedagogiem muzycznym. Gry na skrzypcach i fortepianie oraz teorii muzyki uczył się początkowo pod kierunkiem rodziców, następnie w konserwatorium GTM. Od 1911 r.

⁵ Od XVIII w. była wielce zasłużona dla kultury polskiej. Dotyczy to szczególnie kultury muzycznej: kompozycji, dyrygentury i pedagogiki muzycznej oraz szeroko pojętej twórczości artystycznej.

⁶ Ks. H. Feicht CM był prof. i założycielem muzykologii KUL.



kontynuował naukę w Berlinie w Königlische Hochschule für Musik oraz w Königlische Akademie der Künste u G. Schumanna. Równocześnie studiował muzykologię na uniwersytecie w Berlinie pod kierunkiem J. Wolfa, K. Strumpfa i H. Kretzschara, uzyskując tam w 1921 r. tytuł doktora na podstawie pracy *Georg Österreich, Sein Leben und Werke*. Po powrocie do Lwowa został zatrudniony w Konserwatorium Muzycznym PTM jako profesor przedmiotów teoretycznych. W tym czasie kierował również Szkołą Operową. W latach 1930–1939 był dyrektorem PTM i jego Konserwatorium. W 1933 r. reaktywowano Filharmonię Lwowską, a jej dyrektorem artystycznym został Adam Sołtys. Jako muzykolog pisał często recenzje i artykuły, które zamieszczały w „Muzyce” i „Wiadomościach Muzycznych i Literackich” oraz „Kurierze Lwowskim”. Od 1936 r. był kierownikiem redakcji muzycznej Lwowskiej Rozgłośni Polskiego Radia. Po zakończeniu wojny pozostał we Lwowie. Pracował jako prof. w konserwatorium oraz dyrygent teatru operetki i filharmonii. Do jego uczniów należeli: J.M. Chomiński, S. Skrowaczewski, A. Nikodemowicz (prof. KUL, zmarł w 2017 r. w Lublinie), I. Maciejewski. Został uhonorowany Złotym Krzyżem Zasługi (1933) oraz tytułem Zasłużonego Artysty USRR (1953).

Maria Sołtys urodziła się 28 II 1957 r. we Lwowie jako córka Adama. W latach 1976–1981 studiowała muzykologię na wydziale historii i teorii muzycznej w konserwatorium im. Łysenki we Lwowie. Studia zakończyła obroną pracy magisterskiej: *Życie i twórczość Mieczysława Sołtysa*. Następnie była stypendystką Fundacji Batorego (1994–1995) oraz Fundacji im. Mianowskiego (1997). Jej twórczość muzyczna jest znacząca. Wydawano ją w języku ukraińskim, polskim, niemieckim i angielskim (por. *Encyklopedia muzyczna*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne SA, Kraków 2007).

Pani Maria Ziętkiewicz miała rodzeństwo. Siostra **Janina** (1913–1989), po mężu Krzyworączkowa, była z wykształcenia nauczycielką, nigdy jednak nie podjęła pracy w zawodzie. W roku 1945 opuściła rodzinny Lwów i zamieszkała w Zakopanem. Brat **Walerj** (1901–1948) uzyskał stopień magistra prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza (UJK) we Lwowie. W okresie międzywojennym był wicestarostą w Krasnymstawie. Jako polski patriota, żołnierz AK, został wywieziony przez NKWD w 1945 r. ze Lwowa do Donbasu, skąd już nie wrócił.

Rodzina Sołtysów mieszkała w centrum miasta przy ul. Kaleczej 16. W tej atmosferze miłości rodzinnej i radości dziecięcej



wzrastała Maria. Naukę w wieku 7 lat rozpoczęła w roku 1914 w szkole powszechnej im. Klementyny Tańskiej-Hoffmanowej we Lwowie. Okres ten to tragiczne lata I wojny światowej. Lwów stał się areną dużych konfliktów zbrojnych na tle etnicznym. W związku z tym nauka szkolna została na jeden rok przerwana. Podstawowe wykształcenie zdobyła w szkole powszechnej już w wolnej Polsce. Następnie podjęła naukę w Prywatnym Żeńskim Seminarium Nauczycielskim im. Zofii Strzałkowskiej we Lwowie przy ul. Zielonej 22 (Zakład Naukowy im. Zofii Strzałkowskiej), który nadal funkcjonuje⁷. Tam zdobywała wiedzę teoretyczną i praktyczną w zakresie nauczania. W 1927 r. otrzymała świadectwo dojrzałości, zdając tym samym egzamin nauczycielski. Maria Sołtys należała do pierwszego rocznika absolwentów wykształconych i przygotowanych do pracy nauczycielskiej i pedagogicznej w niepodległej Polsce. Mimo więzów rodzinnych i emocjonalnych związanych ze środowiskiem lwowskim podjęła pracę z dala od rodziny i bliskich osób – na wsi w województwie lubelskim. Z tym rejonem i miastem związała się do końca swego owocnego życia.

Działalność nauczycielska i pedagogiczna na terenie województwa i miasta Lublina

Jako młoda absolwentka seminarium nauczycielskiego we Lwowie pierwszą pracę rozpoczęła we wrześniu 1927 r. w cztero-klasowej szkole powszechnej w Rybczewicach w powiecie krasnostawskim. Tam przepracowała jeden rok. W 1928 r. została przeniesiona na własną prośbę do szkoły wyżej zorganizowanej – do 7-klasowej Szkoły Powszechnej w Fajslawicach koło Piasków, gdzie pracowała do 1947 r. jako nauczycielka wielu przedmiotów. Jeszcze w roku 1931 przystąpiła do egzaminu praktycznego przed Państwową Komisją Egzaminacyjną w Chełmie. Egzamin praktyczny na nauczyciela publicznych szkół powszechnych zdała z wynikiem bardzo dobrym. Również później w okresie międzywojennym uczestniczyła wielokrotnie w wakacyjnych kursach doszkalających dla nauczycieli organizowanych przez władze oświatowe i związkowe.

W 1932 r. wyszła za mąż za Stanisława Ziętkiewicza, kolegę z pracy, późniejszego nauczyciela szkół średnich. Z tego małżeństwa urodziło się troje dzieci: Wojciech (1933–2016), z wykształcenia inżynier, Staś (1938–1941; zmarł na zapalenie opon mózgowych) i Krystyna, urodzona w 1946 r. – absolwentka UMCS, dr, adiunkt w zakresie geografii (żona prof. Mariana Harasimiuka, rektora UMCS w latach 1999–2005). Pani Maria była też ukochaną babcią trójki wnu-

⁷ Obecnie na gmachu szkoły widnieją dwie tablice: jedna w języku ukraińskim, a druga w jęz. polskim, która brzmi: Zakład Naukowy im. Zofii Strzałkowskiej. Fot. Kazimierz Przybyłko. Zob. Aneks.

ków: Jarosława, Michała i Dominiki. Maria Ziętkiewicz przez cały okres okupacji niemieckiej pracowała jako nauczyciel w Fajslawicach. Tam w latach 1940–1944 brała aktywny udział w tajnym nauczaniu oraz w działalności tajnych grup młodzieży (dane zostały potwierdzone przez członków Towarzystwa Fajslawic, które uzyskałem w czasie konferencji naukowej KUL). W 1947 r. Pani Maria została przeniesiona do Lublina z powodów rodzinnych (mąż podjął pracę w Liceum im. Stanisława Staszica w Lublinie).

Nowy etap działalności pedagogicznej i oświatowej – wśród dorosłych

W 1947 r. Maria Ziętkiewicz otrzymała etat kierownika Szkoły Podstawowej dla Pracujących nr 2 w Lublinie przy ul. Bronowickiej. Tu rozwinęła swoją aktywność organizatorską, popartą umiejętnościami pedagogicznymi. Zorganizowała od podstaw szkołę i kierowała życzliwie licznym gronem nauczycielskim. Prócz szkoły macierzystej, która w tym okresie kształciła dość liczną grupę uczniów, zorganizowała dwie filie szkolne dla dorosłych zlokalizowane w Fabryce Samochodów Ciężarowych (1951) oraz w Centralnym Ośrodku Pracy Więźniów (1966). Jej aktywność oświatowo-pedagogiczna zmierzała także w kierunku tworzenia nowych ośrodków. Były to kursy w zakresie szkoły podstawowej przy zakładach pracy takich jak: MPK, FSC, Spółdzielnia Krawiecka „Gracja”, „Lubgal”, Obuwnicza Spółdzielnia Pracy im. Hanki Sawickiej w Lublinie, Zakłady Mięsne, Miejska Gazownia, hotele robotnicze itp. Należy również podkreślić, że Pani Maria przez cały

okres pracy nauczycielskiej poszerzała swoje umiejętności zawodowe i wiedzę przez różne formy kształcenia. Uczestniczyła w kursach przedmiotowych, jak również przeznaczonych dla kierowników i szkół. W roku 1965 ukończyła w Lublinie Studium Nauczycielskie w systemie eksternistycznym, co zwiększyło



Kazimierz Przybytko – autor artykułu

jej prestiż zawodowy i społeczny. Jako kierownik szkoły była wymagająca, ale sprawiedliwa i życzliwa dla młodzieży i personelu nauczycielskiego. Personel ten był wówczas dość liczny, uczyli m.in.: Eugenia Kaptur – geografia, matematyka, Zdzisław Wieluński – fizyka, matematyka, Helena Laskowska – historia, Andrzej Kloss – fizyka, matematyka, Eugeniusz Kiszczak – historia, Helena Kulczyńska – historia, geografia, Aleksander Magdziarz – historia, Irena Ptaszyńska – biologia, Kazimierz Przybytko – język polski, gramatyka, literatura, Aleksander Szolucha – historia, Regina Korzan – biologia oraz stały nauczyciel w filii FSC Tadeusz Kochanowski. Pani Maria Ziętkiewicz, jako kierownik szkoły, sprawowała nadzór nad wszystkimi jednostkami organizacyjnymi poprzez hospitację lekcji, konsultacje, a równocześnie pracowała jako nauczyciel i pedagog. Znała swoich uczniów z imienia i nazwiska. Znała również ich problemy i środowisko. Była aktywna na wielu płaszczyznach życia społecznego w różnych jego formach. Była przewodniczącą Komisji Egzaminacyjnych na kursach dokształcających na terenie Lublina i powiatu lubelskiego. Pracowała w charakterze kuratora społecznego w Sądzie dla Nieletnich, a także w Sekcji Społeczno-Oświatowej ZNP, pełniąc społecznie różne funkcje, m.in. sekretarza. Za te dokonania oświatowe i społeczne została uhonorowana licznymi odznaczeniami: Złotą Odznaką ZNP, Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego oraz Złotym i Kawalerskim Krzyżem Zasługi nadanym przez Radę Państwa. 31 VIII 1971 r. przeszła na zasłużoną emeryturę po 45 latach pra-

Stary witraż w szkole Zofii Strzałkowskiej



cy nauczycielskiej i aktywności społecznej na wielu płaszczyznach. Z tej okazji otrzymała wiele podziękowań od różnych instytucji, w tym również od Inspektora Szkolnego miasta Lublina Gustawa Sumcaza⁸.

Zmarła 5 I 1991 r. w wieku 84 lat. W mroźny dzień na cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie żegnali ją licznie zgromadzeni byli wychowankowie.

ANEKS

Zofia Strzałkowska (1861–1923) i jej Zakłady Naukowe we Lwowie – historia i współczesność

Zakłady Naukowe im. Zofii Strzałkowskiej – bo taka nazwa i dziś się znajduje na frontonie budynku obok nazwy w języku ukraińskim: Średnia Szkoła Ogólnokształcąca nr 6 we Lwowie. Okazały, imponujący czteropiętrowy gmach szkolny zlokalizowany jest przy ul. Zielonej 22. Na jego fasadzie widnieją odnowione mozaiki z herbami Litwy, Polski i Rusi oraz napis po polsku: Zakłady Naukowe Zofii Strzałkowskiej. Gmach ten jest nieco odsunięty od ulicy.

Zofia Strzałkowska to zasłużony pedagog oraz działacz społeczny i oświatowy. W czasach autonomii galicyjskiej utworzyła we Lwowie szkołę średnią. Wychowana w lwowskim domu surowej ciotki sama zdobyła wykształcenie pedagogiczne, zdała maturę i egzamin nauczycielski. W roku 1895 otworzyła we Lwowie pierwszą na ziemiach polskich żeńską szkołę średnią, która stała się też najnowocześniejszą i jedną z największych tego typu placówek w Polsce. Systematycznie udoskonalała system nauczania, wprowadzając nowe rozwiązania podpatrzone w innych krajach Europy. Szkoła była kuźnią kształcenia charakterów i ośrodkiem patriotyzmu. W szkole dbano również o zajęcia gimnastyczne i ruch na świeżym powietrzu. Organizowano wycieczki, które miały cele poznawcze z zakresu wykładanych przedmiotów. W szkole działały też liczne koła zainteresowań.

W czasie I wojny światowej Zofia Strzałkowska przekazała gmach szkoły do dyspozycji ochotniczego polskiego Legionu Wschodniego, a później na szpital polowy. Była organizatorką taniej kuchni, która żywiła 1,5 tys. pozbawionych pracy lwowian. W czasie wojny nauka w szkole była bezpłatna, a w latach powojennych przełożona zorganizowała dożywianie dla uczennic, zorganizowała też dla nich wypoczynek letni, co było wówczas ewenementem. Sądzono, że śp. Zofia Strzałkowska pozostawiła po sobie trwałe pomniki, który przez długie pokolenia świadczą będzie o Jej zasługach i Jej wielkiej duszy. Niestety po II wojnie światowej, w innej rzeczywistości, szkoła przestała istnieć, a nazwisko założycielki przyblakło w pamięci potomnych. Obecnie również funkcjonuje jako Szkoła Średnia Ogólnokształcąca nr 6 we Lwowie (I–III stopnia). Założycielka, p. Zofia Strzałkowska, jest pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim.

Warto nadmienić, że w Zakładach uczyło się jednocześnie nawet 350 dziewcząt z rodzin polskich, ukraińskich i żydowskich. Nauka w gimnazjum trwała 8 lat i obejmowała: j. polski, łacinę, grekę, j. niemiecki, geografii, matematykę, przyrodę, historię, fizykę i filozofię, a dla chętnych wykładano również j. francuski i nauczano rysunków. Od 1913 roku szkoła mieściła się we własnym nowoczesnym budynku przy ul. Zielonej 22 (zob. zdjęcia), z salą gimnastyczną, ogrodem, boiskiem, tarasem widokowym i kaplicą. Budynek zachował się do dziś, a jego cechą charakterystyczną jest dawna dekoracyjna fasada projektu A. Zachariewicza (syna Juliana). W gmachu działało także seminarium nauczycielskie dla 200 słuchaczek, przedszkole prowadzone wg zasad M. Montessori i internat. Wszystkie pokoje wyposażone były w łazienki z zimną i ciepłą wodą, były przestronne korytarze, charakterystyczne szerokie schody prowadzące na górne kondygnacje, a w oknach klatki schodowej zachowane są do dziś kolorowe witraże wyprodukowane przez firmę Żeleńskiego z Krakowa (zob. zdjęcia, fot. K. Przybyłko). Szkoła dysponuje obecnie obszerną biblioteką, którą dzięki życzliwości personelu szkoły zwiedziłem. Budynek szkoły oraz jej wspaniałe wyposażenie robi duże wrażenie.

⁸ Por. Akta personalne Inspektoratu Oświaty w Lublinie.

Orzechowicz, Kalników i co dalej?

artykuł dyskusyjny

W pierwszym ubiegłorocznym wydaniu kwartalnika w artykule *Niepospolici ludzie Kresów – znani, lecz zapomniani* przedstawiłem sylwetkę człowieka wielkich zasług dla Rzeczypospolitej – Bolesława Orzechowicza. Był wybitnym kolekcjonerem, niezwykle hojnym mecenasem kultury i nauki, który cały swój majątek, dochody, jakie uzyskiwał z posiadłości ziemskiej w Kalnikowie, przeznaczał na cele społeczne.

Dobrze wykształcony, absolwent i doktor Wydziału Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, ale również Wyższej Szkoły Rolniczej w Hohenheim w Austrii, był świetnie przygotowany do zarządzania dużym majątkiem ziemskim w Kalnikowie, który przejął po śmierci ojca, znanego we Lwowie lekarza i filantropa, w latach osiemdziesiątych XIX w.

Od tego czasu przebywał w Kalnikowie, który opuszczał jedynie na krótko, podróżując po Europie, a także krajach arabskich. Często bywał też we Lwowie, utrzymując bliskie kontakty ze środowiskiem prawniczym i kulturalnym. Najczęściej dotacjami wspierał polską naukę, zwłaszcza kierowane przez wybitnego uczonego prof. Oswalda Balcera Towarzystwo Naukowe we Lwowie, któremu zapisał również w testamencie majątek ziemski Kalników.

W czasach, kiedy w Kalnikowie przebywał Bolesław Orzechowicz, Kalników przeżywał okres rozwoju. Dużym majątkiem zarządzał, stosując jak na ówczesne czasy nowoczesne metody gospodarowania, maszyny, nawozy sztuczne itp.

Dbał o zamieszkałych we wsi ludzi, z których większość – podobnie jak i dzisiaj – stanowili Ukraińcy. Jednakowo traktował obydwie grupy etniczne, obce mu były uprzedzenia nacjonalistyczne.

Zauważył, że mieszkający w Kalnikowie Polacy, w odróżnieniu od Ukraińców, nie mają własnej świątyni, i postanowił temu zaradzić. Najpierw podjął starania o utworzenie parafii rzymskokatolickiej, a kilka lat przed wybuchem I wojny światowej, w 1912 roku, wybudował własnym sumptem i wyposażył piękny,

neogotycki kościół, który służy miejscowym katolikom po dzień dzisiejszy.

Zorganizował również w Kalnikowie muzeum, w którym znalazły się bogate zbiory sztuki i narodowych pamiątek.

Podobnie jak inni przedstawiciele warstwy ziemiańskiej, dziedzic Kalnikowa lubił podróżować, o czym już wcześniej wspominaliśmy. Jednak zwiedzał europejskie kraje nie tylko dla przyjemności i pasji poznawania świata. Z każdej wyprawy przywoził do Kalnikowa cenne trofea, wynajdywane w rozmaitych zakątkach Europy: obrazy, rzeźby, broń, meble, dzieła sztuki i wyroby rzemiosła artystycznego z polską metryką. Nabywał również cenne zabytki niepolskiego pochodzenia. Zbiory stopniowo powiększały się, z trudem zapalony zbieracz znajdował dla nich miejsce w starym kalnikowskim dworze.

Dr Orzechowicz znalazł na to radę: wg projektu znanych architektów stanął w Kalnikowie okazały dwór w stylu neorenesansowym. W stylowych wnętrzach doskonale prezentowały się coraz liczniejsze zbiory.

No cóż, gdyby Kalników położony był w jakiejś spokojnej krainie, którą omijają wojny, po dzień dzisiejszy w neorenesansowym dworze przetrwałyby tysiące cennych eksponatów.

Niestety wybuchła I wojna światowa, wojska carskiej Rosji podeszły pod twierdzę Przemysł i rozpoczęły oblężenie. Kalników znalazł się na trasie przemarszu wojsk. Coraz częściej do dworu zaczęli zaglądać rządni łupów żołdacy. Powstało niebezpieczeństwo, że gromadzone przez dziesięciolecia, wyszukiwane z trudem muzealia staną się łupem wojennym. Trzeba było ratować cenne zbiory. Nie było to jednak proste, bo Moskałe kontrolowali znaczną część Galicji i bez pozwolenia nie można było zorganizować transportu muzealiów do Lwowa. Orzechowicz zatrudnił zaprzyjaźnionego adwokata z Przemyśla, Tarnawskiego. Obydwaj udali się do Lwowa. Po wielu staraniach i interwencjach odpowiedzialny za sprawy kultury gen. Bobrinskij wyraził zgodę na przewiezienie zbiorów do Lwowa. Tak więc na skutek wojennej zawieruchy Kal-

ników utracił zgromadzone przez Orzechowicza skarby, które już nigdy nie wróciły do neorenesansowego dworu.

Jak wiadomo, w wyniku decyzji podjętych przez zachodnie mocarstwa (USA, Wielka Brytania) pod naciskiem Stalina, Polska utraciła ziemie wschodnie. Nowa granica wytyczona według tzw. linii Curzona pozostawiła po polskiej stronie wieś Kalników i wszystkie obiekty, w których mieszkał i gospodarował wielki społecznik. Pozostało wszystko, z wyjątkiem okazałego dworu, który został ograbiony i zniszczony tuż po ostatniej wojnie, no i kolekcji muzealnej, która pozostała w zajętych przez Rosjan Lwowie.

Mimo tych strat w Kalnikowie na każdym kroku spotkać można ślady po jego właścicielu. Trzeba dobitnie podkreślić, że po II wojnie światowej Kalników stał się osadą peryferyjną, położoną nad granicą, w znacznej odległości – ok. 30 km – od głównego ośrodka decyzyjnego, jakim jest prastary, ponad tysiącletni Przemyśl. Kalników, ze względu na swe położenie, pozostaje poza kręgiem podmiejskich wsi, na które oddziałują przemyskie stowarzyszenia, pozarządowe organizacje, a także powiatowe i miejskie wydziały kultury i sportu. W rezultacie Kalników nie ma pracy dla młodych ludzi, z których większość musiała opuścić rodzinne gniazdo. Jedyną instytucją gospodarczą – prywatna stadnina koni mieszcząca się w obiektach dawnego folwarku Orzechowicza – zatrudnia niewielką grupę mieszkańców. We wsi nie ma żadnej społecznej organizacji pozarządowej, poza Związkiem Ukraińców, która mogłaby otoczyć opieką pozostałe po wielkim kolekcjonerze pamiątki, obiekty związane z jego działalnością. W dużym, nieco zaniedbanym parku przetrwało wiele egzotycznych drzew i krzewów, które dziedzic przywoził z zagranicznych podróży. Był on wielkim miłośnikiem drzew, nie bez powodu powierzono mu przecież funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Dendrologicznego. Jedyną instytucją, która kultywuje pamięć o wielkim społeczniku, jest Szkoła Podstawowa im. Bolesława Orzechowicza – z polskim i ukraińskim językiem nauczania, która nie ma środków finansowych na przygotowanie przypadających raz w roku uroczystości ku czci patrona. Dyrektor szkoły zgromadził trochę pamiątek związanych z Orzechowiczem, ale nie ma w budynku szkoły miejsca na ich stałą ekspozycję.



Pałac Orzechowicza w Kalnikowie

Jest rzeczą oczywistą, że bez udziału Przemysła nieciekawą sytuacją w Kalnikowie nie ulegnie poprawie. A przecież miejscowość tak bardzo związana z życiem i działalnością wielkiego społecznika zastępuje chyba na lepszy los? Potrzebne są nie tylko pieniądze, ale również zaangażowanie przemyskich instytucji i organizacji społecznych. W prastarym grodzie Przemysła należałoby powołać pozarządową organizację, Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne im. Bolesława Orzechowicza, która mogłaby m.in. koordynować przedsięwzięcia na rzecz rozwoju Kalnikowa i opieki nad pamiątkami związanymi z życiem niepospolitego Polaka.

Przy pomocy słynnego Arboretum w Boleszycach należałoby opisać egzotyczne drzewa w parku i wydać specjalny katalog... To tylko niektóre problemy, których rozwiązaniem zajęłoby się Stowarzyszenie Społeczne im. Bolesława Orzechowicza i jego ewentualny oddział w Kalnikowie.

Przemyśl, drugie co do wielkości miasto województwa podkarpackiego, dysponuje kadrą specjalistów z wielu dziedzin życia społecznego. Stowarzyszenie im. B. Orzechowicza mogłoby powołać zespół specjalistów, którzy przygotowaliby plan rozwoju Kalnikowa. Projekt odpowiedziałby na pytanie, czy Kalników ma wystarczające walory, by stać się atrakcyjnym ośrodkiem turystyczno-kulturalnym na Ziemi Przemyskiej. Czy budowa kąpieliska po przegrodzeniu strumyka (gdzie w czasach Orzechowicza znajdował się młyn wodny) byłaby opłacalną inwestycją? Czy we wsi mogłyby powstać jakieś zakłady rzemieślnicze, których produkcja zaspokajałaby potrzeby sąsiednich wsi? To tylko niektóre problemy, które mogłyby znaleźć się w kompleksowym projekcie rozwoju wsi Kalników.

Bez wątplenia nie powinno w nim zabraknąć bardzo ważnego zadania, utworzenia

niewielkiego Muzeum Regionalnego z dwoma oddziałami. Jeden poświęcony byłby wsi Kalników, drugi ukazywałby w atrakcyjny, nowoczesny sposób najwybitniejszego człowieka związanego z tym miejscem, Bolesława Orzechowicza, który odegrał wielką rolę w dziejach Kalnikowa.

W opracowanym przez specjalistów planie zwiedzania Kalnikowa powinny znaleźć się obiekty związane z osobą dawnego właściciela: neogotycki kościół, osiemnastowieczna cerkiew, których – jak to było przyjęte na Kresach – opiekunem był właściciel wsi, stadnina koni, szkoła nosząca imię Bolesława Orzechowicza, park z ciekawymi, egzotycznymi drzewami i roślinami, muzeum regionalne i w końcu okazały grobowiec, w którym spoczywa ostatni dziedzic Kalnikowa i jego młoda, przedwcześnie zmarła żona.

Utworzenie tak ważnej placówki, jaką powinno stać się Muzeum Regionalne, powinny poprzedzić wakacyjne obozy grup studenckich, które zorganizowałyby przemyskie uczelnie – Wyższa Szkoła Wschodnioeuropejska oraz Wyższa Szkoła Prawa i Administracji. Ich celem byłoby przeprowadzenie badań regionalnych na temat historii Kalnikowa i okolic, poszukiwanie starych elementów wyposażenia wnętrz, strojów regionalnych, miejscowych zwyczajów i obyczajów.

Czy warto się tym problemem zająć?

W moim przekonaniu, korzyści wynikające z rewitalizacji miejscowości Kalników uczynią z niej atrakcyjny ośrodek turystyczny, co przyniesie korzyści nie tylko mieszkańcom Kalnikowa, ale i Przemysła. Byłoby to też spełnieniem patriotycznego obowiązku ciężącego na potomnych wobec rodaka wielkiego formatu, który ukochał Kalników i wybrał go jako miejsce wiecznego spoczynku dla siebie i żony. Rewitalizacja Kalnikowa jeszcze bardziej powinna zbliżyć i połączyć mieszkających tam Polaków i Ukraińców.

Pozostaje jeszcze ważne pytanie, skąd wziąć pieniądze na rewitalizację wsi Kalników i utrwalenie pamięci o jego nietuzinkowym właścicielu? Chociaż to może budzić wątpliwości, sprawą rewitalizacji Kalnikowa, ze względu na jego nadgraniczne położenie i związku z Bolesławem Orzechowiczem, większość finansów powinna pochodzić ze środków państwowych oraz samorządowych, przy społecznym zaangażowaniu organizacji pozarządowych.

Karolina Grodziska

Moja ulica Kurkowa



Jan Kazimierz Kuśmidrowicz, Lwów, widok na miasto od ulicy Kurkowej, 1914 r.

Są ulice, które szczęśliwie znajdują „swoich” autorów: dla Krakowa pięknym tego przykładem jest książka Władysława Bodnickiego o ulicy Krupniczej (*Muzy na Krupniczej*). Są autorzy, którzy upamiętniają „swoją” ulicę. Są i tacy, jak Witold Szolginia, Stanisław S. Nicieja, Przemysław Włodek czy Jerzy Masiór, którzy – w prozie i w poezji – przekazują pamięć o ulicach i ludziach nieistniejącego już polskiego Lwowa.

Bezpowrotnie odchodzi pokolenie, które na tych ulicach mieszkało, chodziło tam do szkoły, na studia, do pracy, do kina, kawiarni, kościoła. Odeszło pokolenie, które w 1918 o te ulice i o to miasto walczyło. Ze wspomnieniami – ich darem, ale też brzemieniem – zostajemy my, dzieci i wnuki ekspatriowa-

nych lwowian. W odległej Argentynie lwowianka Maria Kurtz-Wechslerowa pisała:

*Lwowskie ulice cicho w pamięci wyliczam:
Kalecza, Lelewela i Romanowicza.*

*I plan miasta powoli w myślach układam:
Tu biegła Potockiego, a tam Listopada,
Ulica Ossolińskich prowadzi mnie równo
I dojdę do niej prosto poprzez Poczta Główną,
Potem zakręczę w prawo nie schodząc
z chodnika*

*I na Legionów wyjdę poprzez Kopernika [...]
Te nazwy w mej pamięci na zawsze
zachowam:*

*Pełczyńska, Świętej Zofii, Stryjska, Obozowa,
Bo część mojego życia – tak ważna, choć mała
Wśród tych ulic i placów na zawsze została
I wzruszenie tak wielkie za gardło mnie łapie
Gdy chodzę po nich w myślach, jak po*

*wielkiej mapie
Każda z nich jest mi bliska, każdą z nich
pamiętam*

Na każdej moja młodość depcze mi po piętach.

„Moją” ulicą we Lwowie jest Kurkowa, z domem nr 25, zakupionym przez pra-pradziadka, cenionego okulistę – Józefa Kilarzkiego, i ofiarowanym przezeń w 1906 r. jako nieco spóźniony posag córce Antoninie Reichertowej. Stał się on zabezpieczeniem i rodzinnym domem będących już wówczas na świecie czterech wnuczek Kilarzkiego, panien Reichertówni, czyli mojej babci i jej siostr. Później rodzinnym domem mojej mamy, po babci Antoninie. Domem, który

niezmiennie był obecny we wszystkich rodzinnych opowieściach, niezapomnianym i nieodżałowanym.

Pradziadek wybrał piękne miejsce. Ulica Kurkowa (obecnie: Łysenki) rozciąga się od dawnej ulicy Czarnieckiego do ulicy Leśnej, wzdłuż stoku Wilczej Góry, momentami równoległe do Łyczakowskiej. Z pięter kamienic rozciąga



Wnuczki dr. Kilarzkiego, panny Reichert

się piękny widok na miasto. Taki właśnie widok skłonił lekarza i malarza, doktora Janusza Petera, męża Felicji Reichertówny, do namalowania obrazu: na pierwszym planie wieże karmelitów, dalej – wieża ratusza, na bardzo odległym planie – kopuła św. Jura.

Kurkowa nie jest dużą ulicą, w świetle spisu z 1916 roku liczy 67 realności. Nosila swoją nazwę w latach 1870–1945, w sposób oczywisty zawdzięczając ją Bractwu Strzeleckiemu, istniejącemu we Lwowie od XIV wieku. Swoją rozkwit przeżyło w XVI i XVII wieku, goszcząc wielu znakomitych wojowników, w tym Jana Sobieskiego. Lokalizacja siedziby Bractwa przy ulicy Kurkowej jest jednak późniejsza, bo XVIII-wieczna. Pierwszą siedzibę wzniesiono tu w 1789 r., przebudowano w 1827, a obecny kształt pałacyku stworzył w 1870 r. architekt Józef Engel. To posesja nr 21–23, otoczona Parkiem Strzeleckim, jak pisano w 1920 r.: *ogólnodostępnym, ale zacisznym*. W 1883 r. w Parku stanął pomnik króla Jana III Sobieskiego dłuta Tadeusza Barącza.

Siedziba Bractwa była miejscem wielu spotkań i zebrań. Była okazją, by obejrzeć zgromadzone tam militaria i tarcze strzeleckie, niektóre malowane i z okolicznościowymi





napisami. Śmiech budziła znana z anegdoty tarcza z nieco frywolnym dwuwierszem Aleksandra Fredry:

*Młody strzelec puka tam, gdzie pukać warto,
A że trafia w czarne, będzie mu otwarte.*

Bractwo Strzeleckie urządzało też w swej siedzibie bale. W 1865 r. na takim właśnie balu Artur Grottger widzi po raz pierwszy młodzieńką Wandę Monné. To początek pięknej, niespełnionej miłości: narzeczeństwo, któremu nie było dane skończyć się ślubem, sprowadzenie ciała ukochanego do Lwowa przez narzeczoną i pogrzeb na Łyczakowie, wreszcie jej małżeństwo i wspaniała, bogata historia jej rodziny.

Ta niewielka ulica może poszczycić się trzema aż kościołami, no, trochę tu naginam rzeczywistość, bo kościół i klasztor Franciszkanów przypisane są formalnie do dawnej ulicy Franciszkańskiej (obecnie: Korolenki, nr 1) więc tak naprawdę nie do Kurkowej, jednak ich bryła i ogród przylegają do naszej ulicy i są jej silną dominantą. Tę świątynię wzniosła w 1708 r. dla kapucynów Elżbieta z Lubomirskich Sieniawska, ale po kasatach józefińskich oddany został

franciszkanom w 1785 r. Warto pamiętać, że w latach 1907–1912 jako kleryk przebywał tu św. Maksymilian Kolbe. Dziś jest to kościół Adwentystów Dnia Siódmego. Druga świątynia na Kurkowej to mieszczący się pod nr. 41–43 olbrzymi, imponujący kościół i klasztor ss. Franciszkanek, wzniesiony w latach 1876–1888 w stylu neoromańskim według projektu słynnego Juliana Zachariewicza. Dziś jest to prawosławna cerkiew św. Jana Chryzostoma, klasztor zaś zajmuje seminarium duchowne. Wreszcie sąsiadujący, trzeci kościół, należący ongiś do ss. Karmelitanek, wzniesiony w 1890 r. przez architekta J.N. Janowskiego – obecnie cerkiew grekokatolicka pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana.

Trzem świątyniom godnie towarzyszyły dawniej dwie instytucje opiekuńcze. Pod nr. 39 w latach 1850–1939 mieścił się Zakład Ochrony Ubogich Chłopców pod Opieką św. Antoniego, a w budynkach nr 47 i 49 – Zakład dla Nieuleczalnie Chorych św. Józefa (obecnie szkoła specjalna). No i duży, nowoczesny Szpital Ubezpieczalni Społecznej, wzniesiony w 1929 r. wg projektu Adolfa Kamienobrodzkiego, dziś – szpital dziecięcy.

Ale Kurkowa to także siedziba instytucji kulturalnych i słynnych muzealnych zbiorów. Posesje nr 15 i 17 należały do znamienitego rodu Dzieduszyckich. Pierwsza z nich to neorenesansowy pałac, wzniesiony w 1873 r. dla Włodzimierza Dzieduszyckiego (1825–1899), polityka, kolekcjonera, twórcy słynnego Muzeum Przyrodniczego. W pałacu tym mieściła się słynna kolekcja obrazów (m.in. Michałowski, Grottger, Matejki, Kossaka), licząca w 1920 r. blisko 800 dzieł. Twórcą projektu budynku był J. Engel. Sąsiedni gmach mieścił należącą do Dzieduszyckich Bibliotekę Poturzycką, sprowadzoną do Lwowa w 1857 r. Tak więc przy Kurkowej gościły też inkunabuły (od 1473 r.), listy polskich królów i niemniej cenny autograf *Króla Ducha* Juliusza Słowackiego. Z kolei w domu pod nr. 14, pięknym secesyjnym gmachu z 1907 r., mieścił się Instytut Ruski „Dom Narodny” – pomyślany jako bursa dla uczniów, biblioteka i muzeum. Obecnie jest to dział ksiąg rzadkich i księgozbiór austriacki Biblioteki im. Stefa-

nyka. Pod nr. 12 mieściła się administracja pisma „Skaut”, a pod 18 znajdowało się Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Rękodziela i Przemysłu „Rodzina”.

Ma ulica Kurkowa także smutną, heroiczną historię. To opowieść o 23-letnim Andrzeju Battaglii, pierwszej polskiej ofierze walk o Lwów w 1918 r. 31 października obiegła miasto pogłoska, że Ukraińcy obsadzili koszarzy 15 austriackiego pułku piechoty przy Kurkowej (ten potężny gmach wzniesiono w latach 1850–51) i internowali tam około 30 legionistów. Jak pisał Jan Gella w książce *Ruski miesiąc. Ilustrowany opis walk listopadowych we Lwowie: wysłany na zwiady sierżant Legionów polskich Andrzej hr. Battaglia (pseudonim Bitwa) w towarzystwie sierżanta 1 pułku piechoty Henryka Urbańskiego pozostawił tegoż przed bramą koszar, sam zaś wszedł śmiało do obstawionej przez Ukraińców kasarni, aby się dowiedzieć, co się stało z uwięzionymi. Po chwili czekający przed bramą sierżant Urbański usłyszał odgłosy sprzeczki, potem padł strzał. Niestety raniony w brzuch młody żołnierz zmarł, mimo operacji, 5 listopada w szpitalu przy Łyczakowskiej. Jest uważany za pierwszą ofiarę walk o Lwów, spoczywa na Cmentarzu Obrońców Lwowa w katakumbach.*

No i wreszcie zwykli – a raczej właśnie niezwykli – mieszkańcy spokojnej, ale tak dogodnie położonej ulicy Kurkowej. W różnych latach i na różny okres przyciągała ona ciekawych lwowian, których odnajdujemy w spisach ludności lub księgach adresowych. Nie sposób ich tu wszystkich wliczyć, ale może jednak?...

Zatem pod numerem 2 spotkalibyśmy Probuse Barczewskiego (1833–1884), ostatniego z rodu Barczewskich h. Samson. Swoją ogromny majątek podarował trzem uczelniom: Politechnice Lwowskiej i uniwersytetom – lwowskiemu i krakowskiemu – ofiarowując im na cele stypendialne po 100 000 guldenów. Dla Akademii Umiejętności przeznaczył kolekcje militariów, zbiory historyczne i numizmaty oraz fundusz stypendialny za prace historyczne i malarskie. Na Cmentarzu Łyczakowskim do dziś zwraca uwagę imponująca kaplica grobowa rodziny Barczewskich, jednak pamięć o Probuse niestety zanikła.

Pod numerem 3, oprócz zakładu FOTO WIARUS, napotkamy niezwykłą dziewczynę: to Zofia Baltarowiczówna zamężna Dzieślińska (1894–1970), rzeźbiarka, pierwsza kobieta, której udało się w 1917 r. sforsować bramy tradycjonalistycznej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Ostatnio piękną



Nowoczesny szpital ubezpieczalni



monografię poświęciła jej krakowska artystka i organizatorka Roku Kobiet ASP, Iwona Demko. Przy Kurkowej 3 mieszca się w latach 1927–1939 pracownia Zofii, tam też mieszkała w dzieciństwie jej córka, Danuta Dzielińska, również – rzeźbiarka. Po wojnie obie w 1945 r. zamieszkały w Krakowie. Zofia od czasów studiów znała Janinę Reichert, mieszkankę Kurkowej 25, sławną we Lwowie rzeźbiarkę, autorkę rzeźb ołtarzowych do kościołów św. Marii Magdaleny i św. Elżbiety oraz dwóch imponujących pomników, do których odsłonięcia niestety nie doszło: Marii Konopnickiej w Parku Stryjskim i biskupa Władysława Bandurskiego. O Janinie Reichert zamężnej Toth na łamach „Cracovia Leopolis” była już mowa, tu tylko wspomnijmy, że do roku 1934 jej pracownia mieściła się właśnie na drugim piętrze kamienicy przy Kurkowej 25 i tu powstało wiele jej pięknych rzeźb, w tym popiersie marszałka Piłsudskiego do gmachu Korpusu Kadetów w 1928 r.

Dom przy Kurkowej 25 jest dla mnie szczególnie ciekawy, nie tylko ze względów rodzinnych. W latach 1877–1878 jego lokatorem był niezwykle działacz niepodległościowy, propagator żałoby narodowej w 1861 r., podczas powstania styczniowego wpływowy członek Rządu Narodowego, dziennikarz i pisarz – Agaton Giller (1831–1887). Po powstaniu przebywał na emigracji, dopiero w 1870 r. uzyskał zgodę na osiedlenie się w Galicji. Nadal udzielał się jako dziennikarz „Gazety Narodowej”, ale stał się z konieczności odludkiem. Ulica Kurkowa spełniała jego oczekiwania. W 1878 r. pisał: *nigdzie nie bywam i nikogo nie przyjmuję [...]. Pukającym nie otwieram. O piątej wychodzę do ogrodu, w którym mało publiczności bywa* – zatem do sąsiadującego Ogrodu Strzeleckiego. Niestety, mimo tej ostrożności, rok później nakazano mu opuścić Galicję. Powrócił dopiero w 1884, jednak wtedy zamieszkał w Stanisławowie, gdzie też zmarł.

W 1892 r. kamienicę kupuje hrabina Maria Feliksa z Golejewskich Czarkowska (1805–1893). Warto ją wspomnieć jako założycielkę ordynacji dóbr Wysuczka, a przede wszystkim zapomnianą filantropkę i fundatorkę stypendiów.

W 1900 r. dom nabywa dr med. okulista Józef Kilarski (1839–1916), prymariusz oddziału okulistycznego szpitala we Lwowie, w młodości uczestnik powstania styczniowego. Sześć lat później ofiarowuje dom swej córce Antoninie Reichertowej, żonie Józefa Reicherta (1854–1918), radcy sądu lwowskiego.

W 1918 roku, już po śmierci rodziców, odziedziczą go cztery panny Reichertówny: Maria, zam. Peterowa (1891–1958), dr polonistyki, nauczycielka, dyrektorka Szkoły Przemysłowej Żeńskiej w Krakowie (babka piszącej te słowa); Eleonora, zam. Negruszowa, chemiczka, żona Romana Negrusza, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza; wspomniana już Janina Reichert-Toth (1896–1986) i Felicja, zam. Peterowa, żona Janusza, dyrektora Szpitala w Tomaszowie Lubelskim i twórcy tamtejszego muzeum.

Kilka domów dalej, Kurkowa 32, dom rodziny Gottfriedów: tu mieszkał do końca swego krótkiego życia młody lwowski poeta Stanisław Gottfried (1892–1915).

I jeszcze inne adresy: na Kurkowej 29 mieszkał profesor uniwersytetu Aleksander Raciborski (1845–1920), filozof, poseł na Sejm Krajowy. Niedaleko, pod nr. 55, Karol Badecki (1886–1953), historyk literatury, badacz dziejów Lwowa, dyrektor Archiwum Miejskiego, po wojnie mieszkaniec Krakowa i kustosz Biblioteki Jagiellońskiej. A pod numerem 9 w 1916 r. mieszkał Simche Bombach: o nim nic nie wiem, ale skojarzenie za znaną piosenką jest oczywiste: *U Bombacha fajna wiara!*

Historii o ulicy Kurkowej i jej mieszkańcach jest z pewnością dużo więcej. *Moja Kurkowa* to zaledwie wycinek dziejów tej pięknej lwowskiej ulicy. Obecni jej miesz-

kańcy piszą już swoje historie, lekceważąc bądź ignorując nasze opowieści. A szkoda, bo czasem potrafią się one pięknie połączyć we wspólną historię.

I znów wracam do Kurkowej 25, gdzie w grudniu 1914 r. osamotniony w dużym pustym mieszkaniu Józef Reichert (jego córki, jak większość ludności cywilnej, zostały bowiem na czas wojny ewakuowane ze Lwowa w głąb monarchii habsburskiej) przyjął na parę tygodni w gościnę osamotnionego, borykającego się z problemami finansowymi i chorego wówczas kolegę ze szkoły bazylianów i gimnazjum w Drohobyczu. Znali się zatem blisko pół wieku. A kolegą w potrzebie był nie kto inny jak Iwan Franko (1856–1916), wybitny ukraiński pisarz i poeta, obecny patron lwowskiego Uniwersytetu. On też był mieszkańcem ulicy Kurkowej.

DBAMY O PAMIĘĆ

Nagrobek Stanisławy i Edmunda Blauthów przed i po renowacji.

Napisy na nagrobku:

Edmund Blauth (1823–1883)
Ojcu Dzieci i członkowie Kasyna miejskiego
swojemu zasłużonemu gospodarzowi

Stanisława Blauth (1868–1937)



Przed remontem



Po renowacji



Ze Lwowa płyną wieści, że zlikwidowano słynne cmentarzysko igraszek, nazywane przez mieszkańców podwórkiem zagubionych zabawek. Było to miejsce osobliwe, budzące skrajne emocje – od dziecięcych zachwytyłów po obrzydzenie estetyw. Jednak niezmiennie intrygujące. Za każdym razem pojawiały się tam nowe elementy scenografii. Odpychające, brudne zabawki, wyrzucone na bruk niczym porzucone dziecięce marzenia. Za tym dziwnym tworem kryła się ckliwa historia dziadka zakochanego w swoich wnukach. Wasyl Hłuszkowski, mieszkaniec kamienicy przy ul. Kniazia Lwa (dawna ul. Lwia), chciał dać swoim wnukom coś wyjątkowego. Zmienił smutne, odrapane podwórko w plac zabaw. Rozpoczął od zrobienia fontanny, huśtawki i piaskownicy. Potem przestrzeń zaczął wypełniać starymi zabawkami przynoszonymi z domu i od znajomych. Przybijały też odrapane kredensy i półki, na których mozolnie ustawiał kolejne dziecięce trofea. Podwórko zaczęło przykuwać uwagę przechodniów, a w niedługim czasie pojawili się tam zbłąkani turyści, którym znużyło się wydeptywanie ▶

Podwórko zagubionych





zabawek

**Tekst i fotografie:
Natalia Tarkowska**



► zatłoczonego bruku wokół lwowskiego ratusza. Mimo to wiele osób podnosiło głos, czy aby na pewno miejsce jest dobrą wizytówką miasta, które kroczy ku nowoczesności. Panoptikum pod gołym niebem z każdym deszczowym dniem wyglądało coraz gorzej, przywołując na myśl upiorne dekoracje z horrorów. W końcu dziedziniec został uprzątnięty. Lwowianie plotkują, że zabawki ma zastąpić pub. No cóż, kiedyś wszyscy wylądujemy na śmietniku historii...



Piotr Lamprecht

Światło przy granicy (fragmenty)

Prezentujemy Państwu fragment książki „Światło przy granicy” pióra o. Piotra Lamprechta, augustianina mieszkającego w Krakowie, poety zrzeszonego w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Najlepszą rekomendacją będzie fragment wstępu do książki autorstwa Stanisława Srokowskiego. Książka ukazała się nakładem wrocławskiej Oficyny Wydawniczej Akwedukt. Życzymy Państwu miłej lektury! (red.)

Jedną z najgłębszych potrzeb ludzkiego umysłu jest potrzeba prawdy. Nasze życie nabiera sensu dopiero wtedy, kiedy prawda objawia się w pełnym blasku. Prawda miłości, wiary, szczęścia... Główną drogą, która prowadzi do prawdy, jest pamięć. Kiedy tracimy pamięć, tracimy wszystko, świat zamienia się w wielki chaos, a wszelkie zasady i normy tracą znaczenie. O pamięci pisali wielcy filozofowie, artyści, politycy, uczeni, uznając ją za kamień węgielny w poznawaniu rzeczywistości. Dante Alighieri powiedział: *Dobrze ten schował, kto schował w pamięci*. Czyli pamięć staje się potężnym magazynem wszelkich skarbów człowieka. Oscar Wilde dodawał: *Pamięć to pamiętnik, który stale nosimy ze sobą*. A więc ów potężny magazyn wszelkich skarbów nosimy w sobie. Ale co się dzieje, kiedy tracimy te skarby? Czujemy pustkę, osacza nas straszliwa niemoc i nicość. Kiedy się jej poddamy, nie będziemy w stanie rozemnać się, w jakim świecie żyjemy. Napoleon Bonaparte mówił: *Nie powinniśmy odejść z tej ziemi, nie zostawiając śladów, które polecać będą naszą pamięć potomności*. Mniej więcej podobną myśl wyraził Jan Paweł II: *Pamięć o przeszłości oznacza zaangażowanie w przyszłość*. A zamyka tę linię myślenia kardynał Stefan Wyszyński: *Gdy gaśnie pamięć ludzka, dalej mówią kamienie*.

I w tym momencie dochodzimy do autora niniejszej książki, Piotra Lamprechta, który nie chce, by pamięć zgasła, i wydaje się mówić: im wcześniej odkryjemy w sobie ważne ślady historycznej pamięci, tym łatwiej dojdziemy z nimi do światła, a światło już nam opowie, po co to czynimy. Lamprecht nie chce, by o jego rodowodzie mówiły tylko kamienie, choć one także zapewne będą mówić. On już wie, że gdyby nie podjął trudu zbadania rodowej historii, zapadłaby nad nią śmiertelna cisza i w tej ciszy nie usłyszelibyśmy nawet szeptu grudki ziemi. Nie chce się na to zgodzić, ponieważ zrozumiał, że poprzez ścieżki pamięci dojdzie do prawdy dawnych czasów. Jego przodkowie wywodzą się z Kresów, jedni z północnych, drudzy z południowych. Ale jedni i drudzy zapisani są w annałach swojej epoki, lecz ta epoka dawno minęła, kryjąc w sobie wiele tajemnic, zagadek i nierozpoznanych znaków. Lamprecht pragnie zrozumieć, kim jest i jak wpłynęła na niego historia, dlatego zmierza ku czemuś, co zbuduje w nim poczucie ładu i bezpieczeństwa, ponieważ wciąż czuje się niepewnie, zagubiony, a nawet zdezorientowany. A chciałby stanąć na twardym gruncie poznania faktów. Już wie, że nie tylko on, ale cała światowa kultura żywi się prawdą, budując na jej fundamencie potężny gmach literatury i sztuki.

Stanisław Srokowski

Ruhe in Gott

Jest rok 1910. Nad rzeką Wilią w miasteczku Wiazyni na wschodnich rubieżach Wileńszczyzny rozpoczyna się Twój pogrzeb, prababciu Johanno. To tutaj Twój mąż, Henryk Johan, dzierżawił młyn wodny od rodziny Gieczewiczów. W kaplicy zgromadziła się teraz prawie cała ludność miasteczka. Myny są poważne. Za panem Władysławem niosącym krzyż ru-

sza kondukt żałobny. Jest gorący lipcowy dzień. Mijasz teraz, babciu, wszystkie domostwa sąsiadów. Całe Twoje życie było podróżą, a z tą kresową osadą związałaś się na swe ostatnie lata. Tutaj zaznałaś tego, co nazywa się domem, tak wiele ludzkiej życzliwości i otwartości. Mijasz dom państwa Jankowskich wraz z ich pasieką, o którą zawsze troskliwie dbali. Pszczoły poleciały teraz na cmentarz porośnięty lipami. Będą zbierać nektar. Za-



Przed rodzinnym domem Lamprechtów w Wiazyniu (rejon wilejski) ok. 1900 r. Od prawej u góry: Henryk Fryderyk Lamprecht, Karol Lamprecht, Emil Paweł Lamprecht, Stefania Lamprecht; od prawej w środku: Emma Reinhardt, Johanna Lamprecht, Henryk Johan Lamprecht, Maria Lamprecht, od lewej na dole: Zofia Lamprecht

raz dalej dom państwa Goldsteinów, a obok bożnica. Pamiętasz? W okresie wielkanocnym obdarowywali Cię macą i koszernym winem, a w zamian dzieliłaś się swoimi wypiekami. Ludzie byli wtedy na siebie jakoś bardziej otwarci, a dzisiaj, kiedy to piszę, pozamykani w sobie nie potrafią już czynić tych zwykłych gestów życzliwości, które mogłyby rozjaśnić dzień. Jankowscy i Goldsteinowie są z Tobą teraz w tej ostatniej drodze. Zaraz po ceremonii wrócą do swojego codziennego życia. Pan Władysław czule zbliży się do uli, aby sprawdzić, jak się żyje ukochanym pszczołom, a pani Rachela posprząta mieszkanie, przygotowuje pyszne chałki i osiemnaście minut przed zachodem słońca zapali szabatowe świece.

Teraz, moja babciu, mijasz drewnianą cerkiew. Twoi krewni i przyjaciele smućą się dziś, babciu, ale słodki zapach lip i brzęczenie pszczoł pocieszają wszystkich łagodnie, jakbyś to Ty sama chciała otrzeć każdą łzę. Słyszysz? Pop wyśpiewuje trzecią już modlitwę kanoniczną. Przez krótką chwilę śpiewy pogrzebowe zbiegają się z melodiami innej tradycji, a jednak nie przeszkadzają sobie, współbrzmia, aż do momentu gdy od pobliskiej rzeki Wilii dochodzi krzyk mewy ukrytej w szuwarach.

skiej rzeki Wilii dochodzi krzyk mewy ukrytej w szuwarach.

Będziesz spoczywać blisko rozlewiska rzeki, we wschodnim narożniku cmentarza, tuż przy kamienno-drewnianym ogrodzeniu. Towarzyszyć Tobie będzie pochowana tutaj dwudziestosiedmioletnia Maria Jadwiga z Zublewiczów, zmarła w 1885 roku, z zastawiająco brzmiącym epitafium na nagrobku: *Śpij z nadzieją w Bogu, ofiarno lekkomyślności w zastosowaniu nauki.*

Niewiele o Tobie wiem, właściwie prawie nic. Byłaś wpisana w krajobraz tej pięknej ziemi. Wraz ze swoim mężem przybyliście z Prus Wschodnich, by stworzyć tu prawdziwe gniazdo rodzinne. Na najstarszym zachowanym zdjęciu widnieją wszyscy nasi bliscy. Po Twojej śmierci losy Twoich dzieci staną się bardzo skomplikowane. Emma wyjdzie za mąż za Karola Reinhardta, będąc żyć w Wiazyniu. Maria, dwa lata po Twoim pogrzebie, wyemigruje do Ameryki. Emil przeniesie się na wschodnią Białoruś. Henryk i Karol do końca życia pozostaną wierni tej krainie.

Chcę Ci powiedzieć, prababciu, że panu Zublewiczowi zawdzięczać będziesz



granitowy nagrobek z metalowym krzyżem; zamówi go u znajomego kamieniarza z Wilejki. Wiem nawet, jakie będziesz miała epitaflum! *Ruhe in Gott*. Spoczywaj w Bogu, prababcu.

Młyny

Jest koniec wieku XIX. Przybywasz tu, Henryku Johanie, przodka naszej rodziny, do majątku Gieczewiczów w Wiazyniu. Szukasz pracy. To rozległe gospodarstwo, dlatego Gieczewicz szukał zdolnych zarządców potrzebnych do jego prowadzenia. O tym majątku Napoleon Rouba – polski dziennikarz i krytyk teatralny – wspominał w swoim „Przewodniku po Litwie i Białejrusi”, że jest wzorowo prowadzonym gospodarstwem. Zatraskany o byt swej licznej rodziny, postanawiasz wydzierżawić od niego młyn wodny. W końcu od zawsze byłeś związany z młynami, a zapach zbóż i rzeki towarzyszył Ci przez całe życie. Ludność tych ziem wiele zawdzięczała Twojej pracy. Produkowana przez Ciebie mąka stawała się chlebem powszednim. Chleb ma w sobie tak wiele ze świętości: sam Bóg postanowił przemienić go w swoje Ciało. Darzyłeś ten prosty pokarm wielkim szacunkiem. To o nim napisał Cyprian Kamil Norwid: *Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba / Podnoszą z ziemi przez uszanowanie / Dla darów nieba, / Tęskno mi, Panie*.

Nie wiem, czy jakoś nazwałeś swój młyn. Nawet jeśli miał jakąś nazwę, chyba nigdy jej nie poznam. Muszę Ci wyznać, że nazwałem go po swojemu: „Rajmund”. Już wtedy, gdy przybyłeś do Wiazynia, był spracowanym, starym młynem. Koło młyńskie obracało się tu od dziesięcioleci.

Myślę o Tobie, dziadku, jako o sędziwym człowieku siedzącym przy młynie nad brzegiem Wilii. Wpatrujesz się w jej nurt i myślisz o swoim życiu, o najbliższych, o przemijaniu. W tych myślach i milczeniu robisz rachunek sumienia. Ty nie patrzysz się w rzekę – to coś więcej, to Twoje zapatwienie. Nie ma w Tobie

choćby cienia strachu, lecz łagodna, mądra pewność, że tu, przy tym młynie i przy tej rzece, dokończysz swego żywota, już nic nie zmieniając. Z kim miałeś się pojednać, to się pojednałeś. Wobec nikogo nie masz długów. Jesteś spokojny.

W tym Twoim zamyśleniu podbiegł do Ciebie ukochany pies. Przyjaciel dobrze znający prostotę tych chwil, psie serce przy Twoim, ludzkim. Polizał Twoją dłoń, a Ty odwzajemniłeś jego czułość, głaszcząc go po grzbiecie. Teraz siedzicie tu razem. Jesteś dumny ze swoich dzieci: Emmy, Marii, Emila, Henryka i Karola. Henryk przejmie po Tobie schedę rządcy młyna, a Karol będzie budował kolejne w pobliskich zaściankach. Oni także będą zawsze blisko działań, które Ty pierwszy podejmowałeś. Tradycja z dziada pradiada.

Spokojne, równomierne mielenie ziarna i powolny pływ rzeki trudno skojarzyć z dramatem wpisanym w te ziemie. Krainę tę przemierzała armia Napoleona. Potem powstańcy styczniowi walczyli tu o wolność umiłowanej ojczyzny. Po Twojej śmierci, w 1920 roku przy wiazyńskim młynie, dojdzie do bitwy polskich żołnierzy z bolszewikami. 7 Pułk Ułanów pod dowództwem majora Jana Lewandowskiego rozbija oddział 5 Dywizji Strzelców Sowieckich. W pobliskiej rzece podczas II wojny światowej wydarzy się rodzinna tragedia. Twój wnuk Gustaw utonie w jej nurtach. Wiesz przecież, że od dziecka był doskonałym pływakiem – miał jednak problemy z sercem. Na brzegu znaleziono tylko jego ubranie. Czasami nawiedza mnie taki obraz: żołdat stojący po drugiej stronie rzeki precyzyjnie celuje w głowę dziadka Gustawa i pociąga za spust. Ale to tylko wyobraźnia...

Wpatrujesz się więc, dziadku, w Wilię wraz z Twoim wiernym psem. O tej rzece w *Konradzie Wallenrodzie* Adam Mickiewicz napisał:

*Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.*

*Wilija w miłej Kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcysów płynie;
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.*

*Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca;*

*Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.*

*Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona,
I giną razem w głębokościach morza.*

*I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna!
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.*

*Serce i potok ostrzegać daremnie,
Dziewica kocha i Wilija bieży;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie,
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.*

Chciałbym Ci powiedzieć, że moją rzeką jest Odra. Nad Odrą dorastałem, to jej nurt towarzyszył mojemu dzieciństwu. W rodzinnym mieście Wrocławiu też jest młyn. Bardzo stary, wybudowany w XIII wieku. Nosi kobiece imię – Maria. Nigdy w nim nie byłem, ale podczas studenckich czasów miałem go wielokrotnie, a w czasie wielkiej powodzi w 1997 roku drżałem o jego los. Teraz, gdy znów idę obok niego, uśmiewam się, przysmykam oczy – myślę o Tobie i o „Rajmundzie”.



Witold Toldzio Lamprecht

Kresowa tułaczka

Wybuch II wojny światowej nie oszczędził rodziny Lamprechtów i wywarł tragiczne piętno na jej późniejszych losach. To, co Bohdan, Witold czy Konstancja przeszli w tamtym czasie, doskonale obrazuje skalę męczeństwa polskich rodzin na Kresach.

W 1938 roku Bohdan wraz z rodziną przeniósł się z Kazimierzowa do pobliskiego Makowa. Mieszkają tu krótko. Dwa lata później zmuszeni są do opuszczenia swojego wymarzonego, pięknego domu, który rękami sowieckich najeźdźców zostaje rozebrany, przeniesiony do Ilii i przekształcony w sierociniec – Krasnyj Ugałok. Z roku 1942, po zajęciu tych terenów przez niemieckich okupantów, przychodzą pogromy miejscowej ludności. Los ten spotyka mieszkańców

wilejskich wsi, jak Malewice, Władyki, Batoryno, Starzynki.

Dzięki ostrzeżeniu o planowanej wkrótce pacyfikacji Makowa udaje się rodzinie Bohdana przenieść w spokojniejsze miejsce. Wraz z przyjaciółmi, Jentysami z Bobrowki, zamieszkują na plebanii kościoła w miasteczku Ilii. Jak miało się później okazać, owo „spokojniejsze miejsce” było świadkiem bestialskiego ludobójstwa na ludności żydowskiej. Przyszła dzień, gdy wszyscy starzy i chorzy Żydzi zostali rozstrzelani w swoich domach lub wywleczeni z nich i zabici na ulicach. Kolejne dziewięćset osób zamknięto w stodole, którą potem podpalono. Wszyscy zginęli w płomieniach.

W tym niespokojnym czasie Lamprechtowie wraz z Jentysami postanawiają wspólnie udać się do Wilna, licząc na to, że będzie tam bezpieczniej. Z pomocą księdza z Ilii oraz odważnej nauczycielki, Jadwigi Rodziewicz, organizują brawurową eskapadę. Pierwszy etap podróży obejmuje drogę z Ilii do stacji kolejowej w Kraśnem. Działała tutaj niemiecka Organizacja Todt budująca umocnienia wojskowe, zarządzając kursującymi regularnie na tej trasie transportami służby inżynieryjno-budowlanej. Jednym z nich uciekinierzy próbują wydostać się z tych terenów

– kilka butelek samogonu załatwia sprawę. Kilkunastoletniemu Bohdanowi szczególnie utkwiły w pamięci samochody, którymi uciekali. Były to ciężarówki z zamontowanymi na nich ogromnymi kotłami. Na godzinę przed odjazdem kierowca rozpałał piec przy pomocy brzoźowego drewna, a wytworzony gaz magazynowany był w specjalnym zbiorniku i odprowadzany do silnika. Samochód gotowy był do jazdy. Trasa wiodła głównie przez lasy opanowane przez sowiecką partyzantkę. Drogi były zaminowane, szczególnie w okolicach Rajówki. Rodzinie Lamprechtów i Jentysów udaje się w końcu cało dotrzeć do celu. Miejscowy ksiądz kwateruje ich w Kraśnem, w budynku po dawnym domu kultury. Wilno jest coraz bliżej.

W tym miejscu należy oddać hołd polskiemu duchowieństwu zaangażowanemu w pomoc ludności: *Bardzo bolesny cios dotknął pod koniec lata i na początku jesieni 1942 r.*

kapłanów dekanatu wilejskiego i młodoczań-
skiego. „Późnym latem” – jak określił ks. Sęk
– został aresztowany ks. Aleksander Lubec-
ki, proboszcz przygranicznej parafii Olkowi-
cze. Został zamordowany w więzieniu w Wi-
lejce, prawdopodobnie przez powieszenie.
Uwięziono też ks. prałata Karola Lubiańca,
dziekana dekanatu Młodeczno, pracujące-
go w miejscowości Plebania koło Krasnego.
[...] Wiele wskazuje na to, że rozstrzelano
go także w Wilejce 28 IX 1942 r. – niektórzy
uważają, że w lesie koło Wilejki. W więzie-
niu wilejskim w październiku 1942 r. zginął
również ks. Józef Malinowski z Młodecz-
na, wcześniej proboszcz parafii Krasne nad
Uszą, oraz ks. Władysław Jasicki, karmelita,
proboszcz parafii Ilii. Natomiast w Kościenie-
wiczach koło Wilejki zastrzelony został w ko-
ściele miejscowy proboszcz ks. Antoni Żemło.
W czasie nabożeństwa Niemcy z psami weszli
do świątyni. Ksiądz zwrócił im uwagę. Za to
został zastrzelony przy ołtarzu. Miało to miej-
sce 15 XII 1942 r. (T. Krahel, *W Generalnym
Okręgu Białoruś* (cd.), „Czas miłosierdzia”,
www.archibial.pl (18.06.2020).

Następny etap podróży to przejazd po-
ciągiem z Krasnego do Wilna. Tu pojawia się
trudność. Kursują jedynie pociągi wojskowe,
którymi podróżować można tylko po zaopa-
trzeniu się w specjalne przepustki wydawa-
ne przez władze niemieckie. W tym czasie
Bohdan ma kłopoty zdrowotne – drętwieje
mu lewa strona ciała. Staje się to pretek-
stem do uzyskania przepustek. Podróż jest
bardzo niebezpieczna ze względu na częste
akcje dywersyjne partyzantów skierowane na
transporty kolejowe. W towarzystwie żołnie-
rzy Wehrmachtu udaje się w końcu dojechać
do Wilna. Tam pierwsze schronienie znajdują
w domu rodziny Jentysów. Niestety mieszka-
nie to wkrótce zostaje zarekwirowane przez
funkcjonariuszy gestapo. Tułaczka trwa dalej.
Lamprechtowie z Jentysami przenoszą się na
ulicę Kalwaryjską do znajomego lekarza z Ilii,
pana Kopcia. Zamieszkuje tam także żona bur-
mistrza z Wilejki – Nora Zublewicz. Wszystkim
doskwiera głód. Wciąż jeszcze można liczyć
na bliskich – skromne wyżywienie dostarcza
pracująca w szpitalu Jadwiga Rodziewicz.
Kilkunastoletni Bohdan zatrudnia się w ogrod-
nictwie jako nosiwoda. Dzięki niemu rodzina
ma zapewnioną dostawę świeżych warzyw.

Nadchodzi rok 1944. Wilno znajduje się
na linii frontu, trwa nieustanne bombardowa-

nie centrum miasta. I znów trzeba uciekać
w „spokojniejsze miejsce”. Lamprechtowie
pakują tobołki i przemieszczają się do domu
położonego na obrzeżach miasta. Z deszczu
pod rynnę – traf chciał, że kilka dni później
Niemcy tworzą w tym miejscu punkt oporu,
nakazując ewakuację ludności cywilnej. Nic
nowego, rodzina ucieka dalej. W całym tym
zamęcie nie znajdują jednak schronienia. Ze-
wsząd wybuchy i świst kul. Na dnie dużego
wąwozu, w opuszczonej stodole, pospiesznie
kopią doły, w których znajdują tymczasowy
przyczółek. Zaczyna się ostrzał trwający aż
do godzin wieczornych. Zapada decyzja –
trzeba znów zmienić miejsce. Pod osłoną
nocy wykopują doły na pobliskiej skarpie.
Następnego dnia kolejny ostrzał. Stodoła,
w której ukrywali się chwilę wcześniej, zo-
staje naszpikowana pociskami. Jadwiga jest
pewna – to Opatrzność Boża. O świcie sły-
szą przy swojej kryjówce kroki. Sowiecki żołnierz
o azjatyckich rysach wita ich słowami: *Druzja!
Wy nie Germańcy? Aaaaa – Polaki. Germań-
cy jeszcio w goradie. Tam nie nada chadit.*
Po kilku dniach wracają na Kalwaryjską. I tu
oczom Bohdana ukazuje się wykopany przez
niego schron w ogrodzie. Jest doszczętnie
zniszczony, choć miał być dla nich wybawie-
niem. Na szczęście nie trzeba było z niego
korzystać. Opatrzność Boża.

Wojna powoli się kończy, ale nie kończy
się tułaczka. Lamprechtowie stoją przed wy-
borem: konieczność przyjęcia obywatelstwa
radzieckiego lub repatriacja na Zachód. De-
cydują się na kolejną podróż w nieznane.
Po tygodniu jazdy pociągiem towarowym do-
cierają do miejscowości Mała Grzywna pod
Toruniem i tu zamieszkują do 1948 roku.
Dopiero wtedy, wreszcie, nadchodzi dobra
wiadomość. Odnajduje się ojciec Bohdana,
Henryk Lamprecht, żołnierz Armii Andersa,
który wraca do Polski i osiada w Świdnicy
Śląskiej na ziemiach odzyskanych.

PIOTR LAMPRECHT, urodził się w 1983 roku
we Wrocławiu. W 2014 roku przyjął święcenia ka-
płańskie, jest augustianinem, poetą, nieformalnym
duszpasterzem krakowskich literatów. Pełni funk-
cję sekretarza Polskiej Prowincji Zakonu Święte-
go Augustyna i wikariusza w parafii św. Katarzyny
Aleksandryjskiej w Krakowie. Jest autorem trzech
tomów poetyckich: *Dyspensa* (2008), *Ewangelia
gruzu* (2015), *Pudełko* (2019). Należy do Krakow-
skiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Skarb ze Staruni

W czasie pandemii Covid-19, częściej oglądając programy telewizyjne, natknęłam się na wielokrotnie nagradzany film dokumentalny (z 2018 r.) z cyklu *Przyroda i podróże* o ginących gatunkach prastarych ssaków, które pojawiły się na Ziemi 50 milionów lat temu w eocenie.

Chodzi o nosorożce, zwierzęta zamieszkujące Afrykę i Azję pld.-wsch., o masywnych ciałach, okryte grubą, pofałdowaną skórą, o dużej głowie, z jednym lub dwoma rogami nad częścią nosową, i krótkich kończynach zakończonych trzema palcami zaopatrzonymi w szerokie kopyta.

Naukowcy biją na alarm, bo aż cztery z pięciu istniejących gatunków są zagrożone wyginięciem, głównie wskutek polowań dla pozyskania rogu, któremu w krajach azjatyckich przypisuje się cudowne właściwości lecznicze, a w krajach arabskich wyrabia się drogocenne rękojeści sztyletów.

Do nosorożców należy pięć gatunków: nosorożec biały (Afryka śr. i pld.), nosorożec zwyczajny (Afryka śr. i pld.-wsch.), nosorożec indyjski (pn. Indie i Nepal), nosorożec jawański (prawie zupełnie wytępiony – jedyne stado w ścisłym rezerwacie w zach. części Jawy) i nosorożec sumatrzeński (pn. Indie, płw. Indochiński, Borneo i Sumatra). Jako gatunki zagrożone wyginięciem, nosorożce są chronione przepisami konwencji waszyngtońskiej i objęte przez ogrody zoologiczne międzynarodowym programem hodowlanym.

Aby ocalić te niezwykle ssaki-giganty, zespół naukowców opracował techniki zamrażania zarodków (wyeksponowane na filmie), które można by wykorzystać do sztucznego zapłodnienia okazów żyjących w rezerwach. Zdania co do metody były – jak zwykle – podzielone, miejmy nadzieję, że zwycięży zdrowy rozsądek.

Film ten zainspirował mnie do przypomnienia o znalezisku wymarłego nosorożca włochatego (*Coelodonia antiquitatis*), występującego w plejstocenie na obszarze Europy i Azji, przystosowanego do bytowania w klimacie strefy polarnej i umiarkowanej dzięki długiej i gęstej sierści. W części nosowej

czaszki posiadał dwa rogi. Żywił się trawami, roślinami stepowymi i, jak się wydaje, nie miał naturalnych wrogów. Na ścianach jaskiń odkryto liczne ilustrujące go rysunki.

Dlaczego o tym wspominam właśnie na łamach kwartalnika „Cracovia Leopoldis”? Bowiem znalezisko będące unikatem swego rodzaju na świecie zostało odkryte w osadach ilów plejstoceniowych w Staruni, wiosce położonej 30 km od Stanisławowa (obecnie Iwanofrankiówsk) i 130 km od Lwowa.

Podczas prowadzonych na tym terenie prac wykopaliskowych znaleziono, na przestrzeni o długości 10 m i szerokości 5 m, szczątki czterech nosorożców włochatych i jednego mamuta. I do tej pory nie wiadomo, co wydarzyło się tam przed tysiącami lat. Czy zwierzęta dopadł jakiś kataklizm czy wpadły w naturalną pułapkę i zginęły?

W 1929 r. rozpoczął działalność Komitet Badań nad dyluwium Staruni (starsza część okresu czwartorzędowego, w której wystąpiło silne zlodowacenie półkuli północnej). W jego skład weszli członkowie Polskiej Akademii Umiejętności (PAU) z Krakowa, Lwowa i Warszawy.

Poszukiwania rozpoczęto w czerwcu 1929 r., uwieńczone sukcesem dopiero 23 października.

W chodniku kopalni wosku ziemnego, na głębokości 12 metrów, znaleziono całkowicie zachowany okaz samicy nosorożca włochatego wraz z częściami miękkimi, zakonserwowanymi w pokładach ozokerytu, zwanego również woskiem ziemnym. Miejsce to było bogate także w ropę naftową oraz w solanki i wszystkie te substancje były znakomitami – jak się okazało – naturalnymi konserwantami. Była to niezwykle sensacja, bowiem do tej pory nigdzie i nikomu na świecie nie udało się znaleźć takiego okazu.

I tak zostało po dziś dzień.

Po wybudowaniu specjalnego szybu przy pomocy saperów z wojskowego garnizonu w Stanisławowie, 17 grudnia 1929 r. nosorożca wydobyto na powierzchnię i przewieziono na specjalnie skonstruowanej platformie na dziedziniec koszar w Stanisławowie,

a w nocy z 21 na 22 grudnia pociągiem przetransportowano go do Krakowa.

Ważącego około 800 kg, mającego długość 3,5 m nosorożca złożono w piwnicach gmachu PAU przy ul. Sławkowskiej 17. Naukowcy dokonali sekcji, a wybitny specjalista ze Lwowa, G. Kalkus, odpowiednio spreparował nosorożca do ekspozycji. Następnie (nie bez technicznych trudności) wyeksponowano go na III p. gmachu PAU, gdzie znajdowały się pomieszczenia muzealne działu zoologicznego. Wykonano też odlew gipsowy zwierzęcia w położeniu, w jakim został znaleziony. I w takich dwóch postaciach został udostępniony zwiedzającym w kwietniu 1930 r. Osobno umieszczono w kloszach preparaty części miękkich oraz tablice z fauną i florą kopalną. W 1948 r. złożono także szkielet ssaka.

Na podstawie badań metodą C14 wiek znalezionego okazu określono na 30 tysięcy lat.

W przedwojennych przewodnikach, powielanych również w późniejszym czasie, informowano, że nosorożec włochaty ze Staruni jest obok Wawelu i *Damy z łasiczką* największą atrakcją Krakowa.

Ten jedyny na świecie kompletny okaz nosorożca włochatego, stanowiący eksponat Muzeum Zoologii Systematycznej i Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, 30 września 1995 r. z ul. Sławkowskiej został

przewieziony do nowej siedziby Muzeum Przyrodniczego PAN przy ul. św. Sebastiana 9, gdzie jest eksponowany w specjalnej hermetycznej gablocie, z zachowaniem stabilnej temperatury i wilgotności przy użyciu żelu krzemionkowego. Od lat 60. ub. wieku staruńskim okazem zajmował się prof. Henryk Kubiak z Instytutu Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN, dokumentując całą jego historię, będąc jednocześnie kustoszem eksponatu i propagatorem wiedzy o tym sensacyjnym znalezisku.

Piszę z pozycji Krakowskiego Koła Stanisławowian funkcjonującego przy Towarzystwie Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, które dzięki życzliwości ówczesnego dyrektora Muzeum Przyrodniczego Instytutu Systematyki i Ewolucji Zwierząt – doc. dra Wiesława Krzemińskiego, w latach od 1993 do czerwca 2003 r. miało możliwość realizowania się właśnie w pomieszczeniach Muzeum i byliśmy niezmiernie dumni z naszej krajanki – „super prasenioriki” ze Staruni, zwanej przez nas pieszczołliwie „Nosią”.

Żyjące do dziś w Afryce i Azji nosorożce nie są bezpośrednio potomkami tych z plejstocenu, zwanego epoką lodowcową. Tamte wyginęły bezpowrotnie, a jedyny okaz, będący obiektem pożądania wielu muzeów przyrodniczych świata, mamy właśnie tu w Krakowie!



Członkowie Koła Stanisławowian na spotkaniu w Muzeum Przyrodniczym na tle gabloty z okazem nosorożca włochatego ze Staruni, styczeń 1996 r. Fot. ze zbiorów autorki artykułu

Kraków i Lwów w biografach galicyjskiej linii rodu Ostrowskich

Galicja w ciągu 146 lat swojej historii zmieniała terytorialny zasięg. Pierwszy rozbiór Polski w 1772 r. wyłączył Lwów z jej granic i miasto należało aż do 1918 r. do monarchii Habsburgów. Kraków dopiero po trzecim rozbiórze zajęła Austria, ale od 1809 r. należał do Księstwa Warszawskiego, a w 1815 r. Kongres Wiedeński zdecydował, że stał się Wolnym Miastem – Rzeczpospolitą Krakowską.

Po „rabacji” w 1846 r. Kraków znalazł się w Galicji, której stolicą był Lwów.

W okresie autonomii galicyjskiej (1867–1918) dzięki znakomitym uniwersytetom, krakowskiej Akademii Umiejętności, lwowskiemu Ossolineum, a także towarzystwom naukowym, muzeom, bibliotekom i teatrom oba miasta odegrały w dziejach nauki i kultury polskiej rolę równorzędną. Lwów w tym czasie rozwijał się dynamicznie, stawał się atrakcyjnym miastem z licznymi instytucjami kulturalnymi i cywilizacyjnymi. Na Wielką Wystawę Krajową w 1884 r. we Lwowie zwiedzających dowoził elektryczny tramwaj, sieć telefoniczna działała już wówczas 8 lat. W szkolnictwie akademickim nastąpił bardzo duży wzrost liczbowy kształcącej się młodzieży. Był on wolniejszy na Uniwersytecie Jagiellońskim niż na Uniwersytecie Lwowskim¹. W 1909 r. Lwów miał 195 796 mieszkańców. Kraków w tym samym roku liczył ich 108 031². Tadeusz Boy-Żeleński, związany z krakowskim środowiskiem Młodej Polski, znakomity autor tekstów kabaretu Zielony Balonik działającego w cukierni Jana Michalika przy ul. Floriańskiej, napisał: *Lwów patrzył z politowaniem na cichy i ubożuchny Kraków, Kraków z wyżyn swych kulturalnych świetności patrzył na Lwów niby wielki Pan na dorobkiewicza*³. Ta ówczesna odrębność obu miast łączyła je na polu kulturalnym i obyczajowym. W Galicji, szczególnie w Krakowie, mniej we Lwowie, prestiż szlachectwa liczył się liczbą senatorów w rodzinie. Szlachta nienależąca do rodów senatorskich różniła się bardzo stanem posiadania. Ostrowscy, bardzo liczni i rozrodzeni w trzech zaborach, byli szlachtą

o zróżnicowanym stopniu zamożności, wśród których nie brakowało posiadających jedynie nazwisko i herb, ale nie ziemię.

W linii galicyjskich Ostrowskich herbu Ślepowron byli wybitni przedstawiciele tej rodziny, których biografie łączyły się jednoznacznie z obu królewskimi miastami z okresu autonomii oraz 20-lecia międzywojennego II Rzeczypospolitej. Byli to m.in. związany z Krakowem Witold Ostrowski (1875–1942), prawnik, działacz społeczny, oświatowy i polityczny, wiceprezydent miasta, natomiast ze Lwowem Tadeusz Ostrowski (1881–1941), znakomity chirurg, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, znawca i miłośnik sztuki. Obaj byli z sobą spokrewnieni przez dziadka Ignacego Ostrowskiego herbu Ślepowron, który w 1848 r. pełnił urząd cesarsko-królewskiego poczmistrza w Dolinie na Pokuciu. W II Rzeczypospolitej Dolina była powiatowym miastem w województwie stanisławowskim.⁴

Witold Ostrowski urodził się w Berlinie w 1875 r., w którym jego 31-letni ojciec Kazimierz, zdolny lwowski artysta rzeźbiarz, po studiach w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych szukał zamówień i zarobków. Zmarł w 1880 r. w Warszawie, gdzie miał już swoją pracownię. Jego żona Marta z Diamów, z dwojgiem małoletnich synów i urodzonym po śmierci męża Kazimierzem-junior, przeniosła się do Krakowa, mając tam oparcie w rodzinie. Jej najstarszy syn Witold po zdaniu matury wybrał prawo i studia na Uniwersytecie Lwowskim. Po dyplomie podjął typową dla galicyjskiego inteligenta, pieczętującego się herbem, drogę kariery urzędniczej – pracował w starostwie w Tarnopolu i Stanisławowie. Jeszcze w czasie studiów był członkiem Czytelni Akademickiej we Lwowie, ważnej instytucji studenckiego życia naukowego i kulturalnego i już wtedy interesował się poważnie problemami oświatowymi Galicji. Z początkiem 1900 r. został przeniesiony do Krakowa na stanowisko instruktora Stowarzyszeń Przemysłowych⁵. Swoją talent organizacyjny i zainteresowania oświatowymi i gospodarczymi problemami

Galicji wykorzystał prowadząc szeroką działalność na rzecz rzemiosła oraz tworzenia sieci szkolnictwa zawodowego. W 1906 r. został członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej i jego zasługą było powstanie 45 szkół tego typu. Był obecny i aktywny w życiu politycznym jako wiceprezes Polskiego Stronnictwa Demokratycznego. Kiedy w kwietniu 1910 r. został zalegalizowany we Lwowie Związek Strzelecki, a wkrótce Towarzystwo Strzeleckie w Krakowie, cieszący się dużym uznaniem dla swojej działalności, Ostrowski został wybrany do 6-osobowego Zarządu Związku Strzeleckiego⁶. W czasie pierwszej wojny światowej pracował w Departamencie Opieki Naczelnego Komitetu Narodowego, objeżdżał Galicję i organizował lokalne komitety pomocy finansowej dla Legionów i Polskiego Korpusu Posiłkowego. W pierwszych latach niepodległej Polski pełnił nadal funkcję inspektora Stowarzyszeń Przemysłowych, we wrześniu 1926 r. został wybrany przez Radę Miejską na stanowisko wiceprezenta Krakowa. Sprawował ten urząd przez 8 lat, aż do przejścia na emeryturę. Od 1927 do 1939 r. kierował działalnością i pracami Zarządu Głównego Towarzystwa Szkoły Ludowej jako jego prezes. Zmarł w Krakowie 14 sierpnia 1942 r.⁷

Witold i jego żona Kazimiera z Sośniczych mieli dwóch synów. Starszy Kazimierz, prawnik, w okresie II wojny światowej był oficerem Komendy Głównej Armii Krajowej. Jego ojciec należał do śmietanki towarzyskiej Krakowa z racji pełnionych urzędów, a także walorów osobistych. Bywał w salonach artystycznych i kawiarniach krakowskich, które były nie tylko miejscem spotkań, ale też nieformalnymi placówkami kulturalnymi. Bywał chętnie w kawiarni hotelu Grand, w której od 1922 r. działał elitarny towarzyski Klub Okrągłego Stołu. Spotykały się tam wpływo- we osobistości Krakowa, a w okresie świąt Bożego Narodzenia grano literackie „szopki”. W grudniu 1926 r. wśród aktorów „szopki” był Witold Ostrowski, wiceprezydent miasta⁸.

Ze Lwowem ściśle związana jest biografia brata stryjecznego Witolda, Tadeusza Ostrowskiego. Urodził się 4 lipca 1881 r. w Wiedniu. Rodzicami jego byli Antoni i Elżbieta z Maue- lerów de Eisenau, z pochodzenia Austriaczka⁹. Ani w biografii, ani w tradycji rodzinnej nie ma informacji, kiedy i dlaczego rodzice Tadeusza przenieśli się z Wiednia do Króle-

stwa i zamieszkali w Warszawie, gdzie po maturze Tadeusz rozpoczął studia medyczne na zrusyfikowanym cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Z powodu bojkotu tej uczelni przez polskich studentów Ostrowski przerwał je w 1905 r. i przeniósł się na uniwersytet w Kazaniu. Tam ukończył studia medyczne w 1906 r. i otrzymał dyplom lekarza¹⁰. Jeszcze w czasie studiów na Uniwersytecie Warszawskim zaczął uprawiać taternictwo i wszedł do czołówki polskich taterników. Po powrocie z Kazania młody lekarz jako miejsce pracy i kariery zawodowej wybrał Lwów, w którym kończył wówczas studia prawnicze jego stryjeczny brat Kazimierz Ostrowski, najmłodszy brat Witolda, wiceprezenta Krakowa. Tadeusz w 1907 r. przyjęty został jako elew do Kliniki Chirurgicznej na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego i po dwóch latach awansował na stanowisko asystenta tej kliniki, którą kierował wybitny polski chirurg prof. Ludwik Rydygier. Ostrowski był nadal czynnym taternikiem i został wybrany do zarządu Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie¹¹.

W czasie I wojny światowej został zmobilizowany do armii austriackiej i pracował jako lekarz w randze majora. Habilitował się na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego w 1917 r., a rok później ożenił się z Jadwigą ze Szczuków herbu Grabie, primo voto Downarowiczową, która miała dwie córki.

W czasie walk polsko-ukraińskich o Lwów w 1918 r. do opieki nad rannymi włączyli się profesorowie, asystenci i studenci Wydziału Lekarskiego. Tadeusz Ostrowski zorganizował jeden z kilkunastu punktów operacyjnych w szkole im. św. Zofii przy parku Stryjskim¹². W 1921 r. Ostrowski został ordynatorem oddziału chirurgii dziecięcego szpitala im. św. Zofii, w 1923 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego i rozpoczął wykłady z chirurgii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1934 r. otrzymał nominację na kierownika Kliniki Chirurgii, w której w 1907 r. rozpoczął swój lekarski staż. Ostrowski był wybitnym chirurgiem, wprowadził nowe metody leczenia, był członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Chirurgicznego, prezesem Towarzystwa Chirurgów Polskich, prezesem Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego, pełnił funkcje dziekana i przewodniczącego Rady Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Tadeusz Ostrowski nie był sympatykiem prawnicy, nie był bliski „myśli młodego Polaka” Romana Dmowskiego, dystansował się od polityki. Znalazł się w gronie profesorów uczelni akademickich, którzy podpisali protest przeciwko tzw. gettu ławkowemu na Uniwersytecie Jana Kazimierza¹³. Wysoka pozycja akademicka Ostrowskiego otwierała mu szerokie kontakty nie tylko naukowe. W domu Ostrowskich bywali przedstawiciele arystokracji, ziemiaństwa i bogatej zróżnicowanej zawodowo inteligencji. Bliższe kontakty rodzinne utrzymywał Tadeusz z Kazimierzem Ostrowskim, z którym łączyły go wspólne zainteresowania sztuką i zamiłowania kolekcjonerskie.

Sowiecką okupację Lwowa Ostrowscy przeżyli bez dramatu, Tadeusz pozostał kierownikiem Kliniki Chirurgicznej, zajmowali swoje luksusowe 7-pokojowe mieszkanie przy ul. Romanowicza 5, którego część odstąpili 3-osobowej rodzinie dr. Stanisława Ruffa, byłego ordynatora Żydowskiego Szpitala Powszechnego we Lwowie. Ostrowski był zaprzyjaźniony z Ruffem, dawnym kolegą z Kliniki Chirurgii, gdy jej kierownikiem był prof. L. Rydygier. We wrześniu 1939 r. Ostrowski wyjechał z grupą kolegów z Instytutu Medycznego do Moskwy, a oficjalnym celem wizyty było zwiedzanie tamtejszych instytucji naukowych. Pięciodniowy pobyt polskich profesorów był negatywnie komentowany w polskim środowisku naukowym i kulturalnym Lwowa¹⁴. Sowiecki okupant stosował bowiem perfidne metody pojednawcze, by zyskać jakąś przychylność tego środowiska.

Niemiecka okupacja Lwowa – oddziały niemieckie wkroczyły do miasta 30 czerwca 1941 r. – od pierwszych dni przybrała niezwykle ostry kurs antypolski. W mieszkaniu Ostrowskich, pełnym antyków i obrazów, nic nie zapowiadało dramatu. We wrześniu 1939 r., parę dni po wybuchu wojny, księżna Cecylia Jabłonowska złożyła swą rodową biżuterię, przekonana, że to bezpieczne miejsce na jej przechowanie¹⁵. U Ostrowskich miało się też znajdować 30 obrazów oddanych na przechowanie przez hrabiów Badenich, przeznaczonych jako dar dla zamku królewskiego na Wawelu. Nocą 3/4 lipca 1941 r. patrol Einssatzkommando SS aresztował Tadeusza Ostrowskiego z żoną, dr Ruffa z rodziną, ks. dr. Władysława Komornickiego, pielęgniarkę Marię Reymannową i Kathe Demko

– nauczycielkę angielskiego córek Jadwigi Ostrowskiej¹⁶. Grabieży i zagarnięcia mieszkania Ostrowskich dokonał Holender Piter Menten, który miał układy z Niemcami i jako tłumacz uczestniczył w przesłuchaniach profesorów przed ich egzekucją na Wzgórzach Wulekich we Lwowie rankiem 4 lipca 1941 r.

W grudniu 1977 r. Sąd Krajowy w Amsterdamie skazał Mentena na 15 lat więzienia za współudział w mordowaniu Polaków i Żydów w województwie stanisławowskim. Sprawa Mentena jako tłumacza i grabieżcy mieszkania Ostrowskich nie była wzięta pod uwagę, nie rozpatrywano jej¹⁷.

Przypisy

- 1 J. Dybiec, *Mecenat naukowy i oświatowy w Galicji 1867–1918*, Wrocław 1981, s. 14.
- 2 J. Ostrowski, *Lwów – dzieje i sztuka*, wydanie II, Kraków 2000, s. 5, oraz *Józefa Jezierskiego Ilustrowany przewodnik po Krakowie i okolicy 1909–1910*, Kraków, s. 9.
- 3 Cytat za: J. Pieszczechowicz, *Mit Galicji*, Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 12.07.1990.
- 4 H. Ostrowska-Grabska, *Bric-à-brac 1848–1939*, Warszawa 1978, s. 11.
- 5 *Polski Słownik Biograficzny*, t. XXIV, Kraków 1979, s. 584.
- 6 W. Karpalska, *Władysław Eugeniusz Sikorski. Biografia polityczna*, Wrocław 1981, s. 32.
- 7 *Lista strat kultury polskiej IX 1939–III 1946*. Zestawił Bolesław Olszewicz, Warszawa 1947, s. 194.
- 8 E. Bogdanowska-Spuła, *Marian Dąbrowski w kręgu Klubu Okrągłego Stołu*, Kraków–Lwów, t. VII, Kraków 2005, s. 546.
- 9 J. Gliński, *Słownik biograficzny lekarzy i farmaceutów ofiar drugiej wojny światowej*, Wrocław 1997, s. 305.
- 10 *Polski Słownik Biograficzny...* jw., s. 576.
- 11 Z. Radwańska-Paryska, W. Paryski, *Wielka Encyklopedia Tatrzańska*, Poronin 1995, s. 861.
- 12 *Każń profesorów lwowskich*, Studia oraz relacje i dokumenty zebrane i opracowane przez Zygmunta Alberta, Wrocław 1989, s. 361.
- 13 A. Biedrzycka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012, s. 893.
- 14 A. Cieślukowska, *Prasa okupowanego Lwowa*, Warszawa 1997, s. 56.
- 15 T. Kukiz, *Ziemia Radziechowska i ludzie stamtąd*, Wrocław 2008, s. 33.
- 16 *Każń profesorów lwowskich*, Studia oraz relacje i dokumenty zebrane i opracowane przez Zygmunta Alberta, Wrocław 1989, s. 190–191.
- 17 D. Schenk, *Noc morderców, Każń profesorów lwowskich i holokaust w Galicji Wschodniej*, Kraków 2011, s. 346.

Michał Piekarski

Musica Leopoldis

ZRoku Moniuszkowskiego płynnie przechodzimy w Rok Beethovenowski, świętując 250. rocznicę urodzin twórcy *IX Symfonii*. Ludwig van Beethoven ze Lwowem nie miał bezpośrednich związków, jednak warto pamiętać że w pierwszej połowie XIX w. występował tu wielokrotnie Ignaz Schuppanzigh, znany skrzypek, nauczyciel, a potem przyjaciel Beethovena. W Wiedniu Schuppanzigh brał udział w prawykonaniach wielu kwartetów swojego dawnego ucznia. Utwory rozsławiły Beethovena jako twórcę awangardowego, zdarzało się, że nieprzygotowana ówczesna publiczność uciekała z takich koncertów, nie mogąc zrozumieć zbyt ekstrawagancko napisanej muzyki. We Lwowie Schuppanzigh występował podczas wieczorów kwartetowych organizowanych od 1824 r. w kawiarni Lewakowskiego w narożnej kamienicy przy Rynku (pod numerem 23). Inicjatorem lwowskich wieczorów kwartetowych był światowej sławy wirtuoz skrzypiec Karol Lipiński. W ten sposób kwartet smyczkowy mógł dotrzeć także do odbiorców spoza elitarnego kręgu towarzyskiej socjety, wystarczyło wykupić abonament na cykl takich wieczorów. Podobne koncerty abonamentowe organizowano wcześniej w Wiedniu i jak widać wiedeńskie tradycje we Lwowie zaszczipiali też rodowici Polacy,



Lwów, kamienica w Rynku nr 23

czego najlepszym przykładem jest właśnie Karol Lipiński. W kamienicy Lewakowskiego wykonywano głównie kwartety Josepha Haydna i Wolfganga Amadeusza Mozarta. Nie jest jednak wykluczone, że za sprawą Schuppanzigha zabrzmiał też któryś z kwartetów Ludwiga van Beethovena.

Z muzyką Ludwiga van Beethovena publiczność lwowska miała okazję zetknąć się niejednokrotnie. W 1839 r. podczas koncertu inauguracyjnego Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego jego założyciel Jan Ruckgaber poprowadził m.in. wykonaniem przez profesjonalistów i amatorów finału *VII Symfonii A-dur* op. 92. W 1840 r. Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne zaprezentowało lwowskiej publiczności już w całości *III Symfonię Es-dur* op. 55 *Eroica*. W ramach corocznych koncertów wielkopostnych, organizowanych



Adam Soltyś z chórem i orkiestrą Polskiego Towarzystwa Muzycznego w sali przy ul. Chorażczyzny

przez Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne (na wzór wiedeński), w 1841 r. w kościele Jezuitów zabrzmiało oratorium Beethovena *Chrystus na Górze Oliwnej*. Także w katedrze rzymskokatolickiej oprócz mszy Haydna i Mozarta, choć nieco rzadziej, dochodziło do wykonania kompozycji sakralnych Beethovena.

W 1877 r. znany polski skrzypek Henryk Wieniawski zagrał we Lwowie *Sonatę A-dur* nr 9 op. 47 (*Kreutzerowską*) Ludwiga van Beethovena. Warto dodać, że utwór ten kilkanaście lat później stał się wyjątkowo znany za sprawą literatury. W 1888 r. po wysłuchaniu tej sonaty Lew Tołstoj przystąpił do pracy nad opowiadaniem, które ukazało się drukiem w 1890 r. pod tytułem *Sonata Kreutzerowska* (*Креutzerова соната*). Utwór wkrótce opublikowany został w przekładach na wiele języków i w niejednym mieście całej Europy publiczność zaczęła domagać się wykonania sonaty Beethovena, która odtąd wywoływała tak wzburzone emocje w związku z kryminalną fabułą opowiadania Tołstoj.

W 1901 r. Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne pod batutą nowego dyrektora Mieczysława Sołtysa wykonało rzadko wówczas prezentowaną *IX Symfonię d-moll* op. 125 Ludwiga van Beethovena. Przez kolejne trzydziestolecie Lwów usłyszał jeszcze kilkakrotnie wielkie dzieła klasyka wiedeńskiego. W 1902 r. swoją działalność zainaugurowała Filharmonia Lwowska, która do 1939 r. mieściła się w Teatrze Skarbowski. Podczas pierwszego sezonu 1902/1903 zabrzmiało m.in. osiem symfonii Beethovena (bez IX), z których *V Symfonię c-moll* op. 67 poprowadził sam Ryszard Strauss w ramach swojego koncertu kompozytorskiego we Lwowie. Spośród kompozycji Ryszarda Straussa wykonano m.in. poematy symfoniczne *Don Juan* op. 20 i *Tod und Verklärung*. W 1914 r. siłami Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego zabrzmiała *Missa solemnis* Ludwiga van Beethovena pod batutą 24-letniego Adama Sołtysa, wówczas studenta Królewskiej Akademii Muzyki w Charlottenburgu koło Berlina. Dzieło przygotowane zostało do wykonania przez ojca – Mieczysława Sołtysa, który ze względu na chorobę musiał zrezygnować z jego poprowadzenia. Mimo tych trudności koncert spotkał się z dużym uznaniem publiczności i krytyków.

Kolejne war-
te odnotowania
dzieła Beethove-
na odbyło się we
Lwowie podczas
uroczystego kon-
certu Polskiego
(dawnego Gali-
cyjskiego) Towa-
rzystwa Muzycz-
nego w jego sali
przy ul. Chorąż-
czyzny (obec-
na Filharmonia)
w listopadzie
1919 r. w związku
z pierwszą
rocznicą Obrony
Lwowa. Dyrek-
tor Towarzystwa
Mieczysław Soł-
tys poprowadził
wówczas wyko-
naniem *Requiem*
Camille'a Saint-
Saënsa, *IV Sym-
fonii B-dur* op.
60 Ludwiga van
Beethovena oraz
jednej z *Litanii*
Ostrobramskich
Stanisława Mo-
nuszki. Z kolei
w 1929 r. Polskie
Towarzystwo Mu-
zyczne wystawiło
jedyną operę *Fi-
delio* Beethovena.
Dyrygował Adam
Sołtys, kolejny
dyrektor tej insty-
tucji w latach
1930–1939.

Do tradycji tych udało mi się osobiście nawiązać we Lwowie już na samym początku 2020 r. za sprawą koncertu kameralnego „Sonare Amore”, który odbył się 9 lutego w Lwowskiej Filharmonii (ul. Czajkowskiego 7). Młodzi wykonawcy Andrij Czajkowskyj (skrzypce) i Marta Kuzij-Andruszczak (fortepian) wśród trzech sonat na fortepian i skrzypce zegrali także *Sonatę skrzypcową F-dur* nr 5 op. 24 *Wiosenną* Ludwiga van Beethovena. Było to w sali, w której 100 lat wcześniej niejedno wielkie dzieło Beethovena zabrzmiało pod batutą obydwu Sołtysów.



Karol Lipiński



Ignaz Schuppanzigh

Tak przedstawiony Lwów w kontekście wykonania dzieła Ludwiga van Beethovena kieruje nas bezpośrednio do kolejnych rocznic przypadających na rok 2020. Oprócz 230. rocznicy urodzin Karola Lipińskiego (ur. 1790 w Radzynie Podlaskim, zm. 1861 w Urłowie) jest nią 130-lecie urodzin Adama Sołtysa (ur. 1890 we Lwowie, zm. 1968 tamże). Adam Sołtys wsławił się jako kompozytor i dyrygent, który całe swoje życie (poza

edukacją zdobywaną w Berlinie) związał ze Lwowem, mimo utraty tego miasta przez Polskę. W 2020 r. przypada także 30. rocznica śmierci Józefa Nowakowskiego (ur. 1894 we Lwowie, zm. 1990 tamże), ucznia Mieczysława Sołtysa, który przez ponad 60 lat obejmował posadę organisty katedry lwowskiej – od lat 20. XX w. do 1990 r. Na temat tych wybitnych postaci można będzie przeczytać w kolejnych numerach.

DBAMY O PAMIĘĆ

Groby Kościckich. Wyremontowane zostały mogiły Antoniego Kościckiego – prezydenta Nowego Sącza, Armanda Kościeszko-Kościckiego (1880–1905) – urzędnika bankowego, Artura Kościeszko-Kościckiego (1842–1919) i Irenki Kościckiej (1876–1891).



Przed remontem



Po remoncie



Jarosław Krasnodębski

Włodzimierz Dąbrowski (1870–1937) – szewc i patriota stanisławowski

Zawód szewca był nieporównywalnie bardziej popularny przed II wojną światową niż dzisiaj. W 1934 roku na terenie Stanisławowa czynnych było 112 warsztatów szewskich, w tym 20 polskich, 16 ukraińskich, najwięcej, bo aż 76 żydowskich, i jeden prowadzony przez osobę innej narodowości. Wśród nich do najbardziej znanych i cenionych należała pracownia i skład obuwia Włodzimierza Dąbrowskiego, który był mistrzem szewskim i wieloletnim członkiem zarządu Cechu Szewców i Rzemiosł Pokrewnych w Stanisławowie. Poza tym wiernym i oddanym patriotą polskim.

Dąbrowski urodził się w 1870 roku w ubogiej rodzinie szlacheckiej o tradycjach powstańczych. Jego dziadek brał udział w powstaniu listopadowym, ojciec zaś w styczniowym. Od początku kiedy posiadał umiejętność czytania, z pasją studiował literaturę dotyczącą dziejów Polski. *Lubiłem dużo czytać* – wspominał po latach – *i jeżeli kiedykolwiek coś majstrowi „zwałdzitem”, to chyba książki i gazety. Śmiali się ze mnie wszyscy, nazywając filozofem, ale zawsze coś w ich mózgach zostało*. Ubolewał, że stan wiedzy wśród młodzieży rzemieślniczej był bardzo skromny. *Tajemnicą dla nich było, kto to był np. Bolesław Chrobry czy Kazimierz Wielki, nie rozróżniali Kościuszki od Radetzky’ego*.

W 1887 roku Dąbrowski zdobył dyplom czeladnika i podjął pracę najpierw w Czerniowcach, gdzie zainicjował założenie pierwszej w tym mieście polskiej organizacji młodzieży rzemieślniczej, później na krótko znalazł się w Jassach i Paskanach. W 1894 roku, jak pisze, wrócił do Stanisławowa po odbyciu trzyletniej służby wojskowej. Od tego momentu zaczął się dla niego intensywny okres nowego życia. W 1896 roku założył własny zakład szewski. Najpierw prowadził go przy ulicy Romanowskiego 2, by później przenieść się na początku XX wieku do kamienicy przy ulicy Sapieżyńskiej 14. W tygodniku „Kurier Stanisławowski” można



Włodzimierz Dąbrowski

było często natrafić na reklamy jego pracowni. W jednej z nich pisano z humorem:

Specjalista obuwia, niżej podpisany,
od kilku lat w Stanisławowie znany
Zamówienia i reparacje przyjmuje
i punktualnie nader wykonuje
Niechaj więc każdy do pracowni spieszy
A że tam tanio, to kieszeń pocieszy.
Polecam się łaskawym względom P.T.

Właściciel znanego zakładu przy Sapieżyńskiej był wiernym dostawcą obuwia dla urzędników państwowych i żołnierzy garnizonu w Stanisławowie, dzięki czemu był dobrze zabezpieczony materialnie. W trakcie I wojny światowej opiekował się legionistami i jeńcami polskimi, którym udało się uciec z niewoli. W latach 1918–1919, gdy rozgorzał konflikt polsko-ukraiński, Dąbrowski prowadził zbiórkę pieniędzy na strajk polskich

Niekończąca się opowieść kresowa

XIV tom *Kresowej Atlantydy* Stanisława Sławomira Nicieja

W czternastym tomie *Kresowej Atlantydy* prof. Stanisław Sławomir Nicieja powraca do miasta kresowego, które już wcześniej opisał, do Stanisławowa. Autor tak uzasadnił tę decyzję: ... *Rozpoczynając przed dziesięciu laty pracę nad serią tych książek, wybrałem na początek pięć dużych kresowych miast: Lwów, Stanisławów, Tarnopol, Brzeżany i Borysław...* Tym właśnie miastom był poświęcony tom pierwszy kresowej opowieści. Podobnie jak po ukazaniu się wcześniejszych dzieł Profesora napłynęła na jego adres lawina listów, e-maili, rozdzwoniły się telefony. Wielu mieszkańców Stanisławowa poczuło się „pokrzywdzonych”, okazało się bowiem, że w rodzinnych archiwach znajdują się informacje, unikatowe fotografie, materialne pamiątki, ukazujące znacznie szerzej dzieje miasta i jego mieszkańców.

W III tomie *Potopu* Henryk Sienkiewicz napisał: ... *Nazwiska rycerzy, prześwietne czyny, wielkie poświęcenia zginęły w pamięci, bo nie zapisał ich kronikarz, nie wyśpiewała lutnia...*¹. Nie było zatem wyjścia. Powrót do Stanisławowa był nieunikniony. Poświęcił miastu Autor niemal połowę czternastego tomu, bo Śląsk Opolski i Opole to miejsca, gdzie po wojnie osiadła największa grupa Polaków wyrzuconych z Ziemi Stanisławowskiej, mieszkańcy tej Ziemi stanowili rdzeń późniejszej polskiej inteligencji na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Stanisławów, zamieszkały obecnie przez prawie ćwierć miliona mieszkańców, leżący na przedpolach Czarnohory, Gorganów i Huculszczyzny, po przejściu miasta przez Ukrainę w 1944 roku najpierw był Stanisławiwem, a od 1962 roku Iwano-Frankiwskiem.

Przywilej lokacyjny miasto uzyskało 7 maja 1662 roku i było to miasto prywatne Potockich. Andrzej Potocki nadał mu nazwę na cześć swojego ojca, wielkiego hetmana koronnego Stanisława Rewery Potockiego,

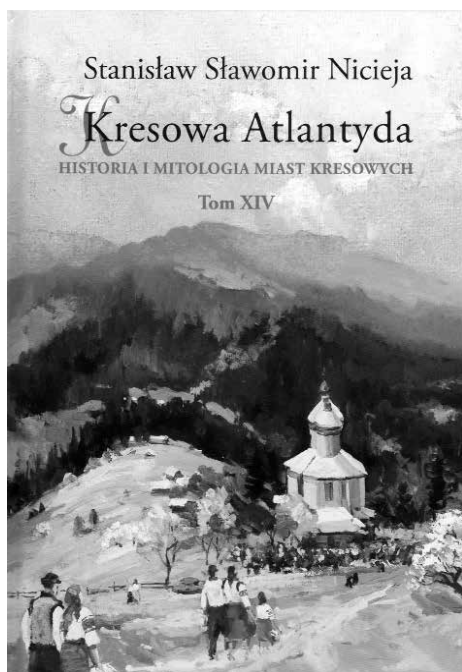
i swego dwuletniego synka Stanisława, który w wieku 22 lat zginął w czasie odsieczy wiedeńskiej. Powszechnie mówiono, że jest to miasto Rewery. Warto przypomnieć, że powstały w 1908 roku klub piłki nożnej walczył na boiskach krajowych jako Rewera Stanisławów². Wchodzące w skład Korony Polskiej miasto w 1772 roku zostało włączone do Austrii. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości jeszcze przez dwa lata 1918–1919 było siedzibą władz Zachodnio-ukraińskiej Republiki Ludowej. Od 1919 miasto wojewódzkie Rzeczypospolitej. W latach 1944–1996 w granicach ZSRR jako miasto obwodowe Ukraińskiej Republiki Ludowej.

Główną świątynią katolicką miasta, kolegiatę, u schyłku XIX wieku rozstawił Henryk Sienkiewicz, umieszczając w niej scenę pogrzebu Michała Wołodyjowskiego „Hektora Kamienieckiego”. Kazanie wygłoszone nad jego trumną przez księdza Kamińskiego rozpoczynające się słowami: ... *Dla Boga, panie Wołodyjowski! Larum graj! Wojna! Nieprzyjacieli w granicach! A ty się nie zrywasz...* – weszło do kanonu polskiej literatury. Do dziś wchodzący do stanisławowskiej kolegiaty Polacy proszą o wskazanie miejsca, gdzie stał katafalk bohatera, ze wzruszeniem spoglądają na ambonę, skąd padły słowa pożegnania. W kolegiacie w czerwcu 1909 roku absolwent Politechniki Lwowskiej Władysław Sikorski – przyszły generał i premier Polski, wziął ślub z Heleną Zubczewską.

Złote lata Stanisławowa pod zaborem austriackim przypadły na okres 1870–1914. Była to zasługa wybitnego burmistrza Ignacego Kamińskiego (1819–1902), wizjonera i charyzmatycznego przywódcy, który najpierw doprowadził do odbudowy miasta po wielkim pożarze w 1868 roku, a potem dbał o to, aby rozwój miasta miał wszelkie cechy nowoczesności. Miasto utonęło w ogrodach i parkach, a na prywatnych parcelach budowano piękne wille, rozpoczął się jednak

¹ Henryk Sienkiewicz – *Potop*, tom III, Warszawa 1998, s. 396.

² Zbigniew Gowarzewski i inni – *Lwów. Wilno. Kolekcja klubów* (Katowice 1997), s. 117.



proces wypierania dotychczasowej, dworkowej zabudowy na rzecz okazałych budowli. Tę przebudowę miasta prowadzili wybitni architekci, wśród nich Jan Tomasz Kudelski, Wiktor Budzyński, Fryderyk Janusch, Mojżesz Garfunkel. Duży wpływ na urbanistykę miasta miał Julian Oktawian Zachariewicz – budowniczy gmachu Politechniki Lwowskiej, a także Teodor Talowski – twórca słynnego kościoła św. Elżbiety we Lwowie. Imponującą budowlą w Stanisławowie był dworzec kolejowy (nieustępujący wielkością lwowskiemu), wzniesiony według projektu Ernesta Baudisha. Podziw budziły kamienice świetnie prosperujących przedsiębiorców: Stanisława Chowańca, Karola Hauswalda, Izaaka Horowitza. Stanisławów miał wielkie szczęście, pożoga ostatniej wojny nie unicestwiła jego zabytków, jak to się stało w nieodległym Tarnopolu.

Wielką wartością wszystkich miast są nekropolie, stanowiące swoistą kronikę opisującą poprzez spoczywających tam ludzi dzieje lokalnej społeczności. Cmentarz w Stanisławowie powstał w 1782 roku, cztery lata przed Cmentarzem Łyczakowskim, od nazwy ulicy zwany Sapieżyńskim. Do najstarszych grobów, które dotrwały do roku 1980, należały dwa, stojące na mo-

giłach oficerów księcia Józefa Poniatowskiego – Antoniego Falkowskiego i Jana Kopystyńskiego. Wzorem lwowskiego Łyczakowa stworzono kwatery powstańców listopadowych, powstańców styczniowych, także uczestników kresowych konspiracji. Zasłynął szczególnie Pomnik Legionisty, stawiący poległych w latach 1914–1918 polskich legionistów. Odbływały się u jego stóp uroczyste apele patriotyczne. W 1942 roku Ukraińcy za zgodą władz niemieckich pomnik rozbili, replika do dziś jest na cmentarzu w Nowym Sączu. Po ostatecznym usunięciu z miasta Polaków w 1946 roku rozpoczął się proces dewastacji nekropolii. Połamano krzyże, część cmentarza przeznaczono na budowlę hotelu, a z końcem lat siedemdziesiątych buldożery zrównały ziemię, zniszczono kaplicę cmentarną. Powstał park miejski, w którym pozostało 11 nagrobków, w tym najpiękniejszy z nich Maurycego Gośławskiego „Piewcy Podola”.

Stanisławów był ważnym centrum edukacyjnym. Działo tam kilkadziesiąt szkół różnych stopni, od podstawowych po seminarium. Przeważały szkoły z polskim językiem nauczania, ale były także szkoły żydowskie, ukraińskie, niemieckie. Nauczyciel jednej ze szkół Janusz Stachowicz tak o tym pisze: *... Szkoła była polska, ale Polacy stanowili w niej mniejszość. Prócz nich bowiem mieliśmy licznych uczniów narodowości żydowskiej, trochę Ukraińców, nieco Rosjan z Wołynia, w każdej klasie kilku Niemców i wreszcie przedstawicieli egzotycznej nacji – Karaimów z Halicza. Owe sześć narodowości dostarczały ciekawego materiału poznawczego...* Spośród dziesięciu gimnazjów największą renomą cieszyło się Gimnazjum im. Franciszka Józefa. O poziomie tej szkoły może świadczyć statystyka: w 1894 roku przyjęto do trzech klas 72 uczniów, w 1902 tylko 29 z nich przystąpiło do matury, trzech uzyskało dyplom z wyróżnieniem, wśród nich Ludwik Kolankowski (1882–1956), historyk, rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, i Józef Reinhold (1884–1928), prawnik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, twórca systemu profilaktyki kryminalnej. „Cesarskie” Gimnazjum ukończył także Ignacy Daszyński (1866–1936), wybitny polityk, premier Polski.

W Stanisławowie rozpoczęła się światowa kariera Jana Stanisława „Zbyszka”

Cyganiewicza (1880–1967), legendarnego polskiego siłacza, „Herkulesa Galicji”. Wstawiony pokonaniem najsilniejszego Austriaka Adolfa Spechta rozpoczął triumfalny marsz po arenach świata, do dziś żaden z zapaśników nie zbliżył się do jego rekordu – 1093 zwycięskich walk. W Wisowej, gdzie się urodził, stanął jego pomnik przed szkołą noszącą jego imię. Projektantem i wykonawcą pomnika jest artysta Stanisław Samborski.

Prawdziwą apokalipsę przeżył Stanisławów w połowie 1941 roku. Szef gestapo Hans Krüger, ten sam, który dokonał mordu na lwowskich profesorach, rozpoczął precyzyjnie zaplanowaną eksterminację stanisławowskiej inteligencji. Aresztowanych nauczycieli, adwokatów, lekarzy przewożono do Czarnego Lasu i tam rozstrzelano, przedtem zmuszano ich do wykopania grobów dla siebie. Męczeńską śmiercią zginęli m.in. dyrektorzy stanisławowskich szkół: Władysław Drabik, Aleksander Ilcyszyn, Sławomir Umański; lekarze: Jan Gutt Mostowy, Adam Hickiewicz, Stefan Kochaj. Miejsce ich kaźni przez całe dziesięciolecie odkryte było tajemnicą, dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych minionego wieku, dzięki uporowi dawnych mieszkańców miasta, udało się doprowadzić do odkrycia grobów. W ośmiu dołach o wymiarach 10 × 12 metrów leżały ciała setek ofiar. W 2016 roku po uporządkowaniu terenu w 75 rocznicę okrutnej zbrodni odsłonięto monument poświęcony pamięci pomordowanych.

W 1941 roku w Stanisławowie mieszkało około 30 tysięcy Żydów. W dzień święta Hoszana Rabba rozpoczęła się ich zagłada, śmierć w tym dniu poniosło kilka tysięcy Żydów, pozostałych spędzono do getta, właściwie obozu śmierci, tam dokonał się ich los.

Znaczna część rozdziału poświęcona jest przypomnieniu wybitnych postaci z miastem związanych. Stanisławów był prawdziwym tygłem wielu narodów, wielu religii i wyznań. Polacy, Rusini, Żydzi, Ormianie, Węgrzy, Rumuni, Austriacy, Karaimowie i Niemcy przez

pokolenia wnosili ogromny wkład w wielkość miasta. Najślawniejszym był niewątpliwie Franciszek Karpiński (1741–1825), znany Polakom z najpiękniejszych kolęd, a dalej Maurycy Gosławski (1802–1834) poeta, wzruszająco sławiący swoją ziemię:

... Błogosław dobrym niebom, jeżeli ich wola
Dała ci żyć pod słodkim powietrzem Podola,
Jakie miłe życie! Czego dusza zapagnie,
płynie ci obficie.
Ach, ile tu powabów, uciech i słodyczy!
Oko ich nie przepatrzy i myśl nie przeliczy...

Inni pisarze o rodowodzie stanisławowskim to: sławny Jan Lam (1838–1886), autor *Wielkiego świata Capowic i Główn do pozłoty*, oraz Stanisław Wasylewski (1885–1953), laureat w 1937 roku Złotego Wawrzynu Literatury Polskiej, napisał m.in. piękną opowieść o ludziach Śląska Opolskiego, monumentalne dzieło *Śląsk Opolski*.

Ze Stanisławowa ruszyli w świat wybitni uczeni, m.in. Wiktor Eckhaus (1930–2000), światowej sławy matematyk, Manfred Lachs (1914–1993), przewodniczący Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze.

Wydarzeniem dla dawnych mieszkańców miasta było wydane w 2008 roku dzieło urodzonego w Stanisławowie, znakomitego pisarza i dziennikarza Tadeusza Olszańskiego *Kresy Kresów. Stanisławów*.

Kolejnym bohaterem tomu jest Buczac rozłożony nad Strypą, miasto uznawane za podolską perłę rokoka. Najślawniejszą osobą związaną z tym miastem był Mikołaj Bazyli Potocki (1706–1782), jeden z najbogatszych ówczesnych polskich magnatów, prawdziwe królewisko, któremu częstokroć



Stanisławów, fot. Janusz M. Paluch

towarzyszyło liczące około trzech tysięcy żołnierzy nadworne wojsko. Wywoływał ciągle krwawe burdy i gorszące skandale. Są zapisy mówiące, że strzelał do kobiet, którym wcześniej kazał wchodzić na drzewa i udawać kukułki. Gdy się bez reszty unurzał w rozpuście, odczuwał przemożną potrzebę ukorzenia się przed Bogiem i w ramach pokuty budował kościoły, m.in. w Podkamieniu, Buczaczu, Horodence. Gdy nie dostawał rozgrzeszenia, zmieniał wiarę i obrządek. Jedną z największych świątyń wzniesionych przez niego jest Ławra Poczajowska, prawdziwa perła architektury wołyńskiej.

Wielki wpływ na rozwój intelektualny Buczacza miało Collegium Buczackie przy klasztorze Bazylianów – założone oczywiście przez Mikołaja Bazylego Potockiego. Była to okazała budowla „swoją wspaniałością przechodząca wszelkie oczekiwania”. Najwybitniejszym absolwentem szkoły był Kornel Ujejski (1829–1897). Jego chorał *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej* należał do kanonu lektur szkolnych, pod koniec dwudziestego wieku był traktowany na równi z hymnem narodowym. Muzykę do chorału napisał Józef Nikorowicz. W sierpniu 1944 roku chorał stał się sygnałem do rozpoczęcia Powstania Warszawskiego.

Niezwykłą, legendarną postacią związaną z historią miasta jest ksiądz infułat Ludwik Rutyna (1917–2010). W 1944 roku otrzymał święcenia kapłańskie we Lwowie. W 1945 roku jako ekspatriant trafił do Kędzierzyna-Koźła, przez 33 lata był proboszczem miejscowej parafii św. Zygmunta. Po zakończeniu służby kapłańskiej w 1990 roku, za zgodą arcybiskupa Alfonsa Nossola, powrócił do rodzinnego Buczacza, podjął się odbudowy miejscowego kościoła (fundacja Mikołaja Bazylego Potockiego), przez władze sowieckie zamienionego na kotłownię i magazyn, po zakończeniu wielkiego dzieła odbudowy powrócił do Opola. Była to heroiczna praca.

Buczacz ma także swojego noblistę. Jest nim Szmuel Josef Agnon (1888–1970), najśłynniejsza jego powieść *Nocny gość* napisana w 1932 roku jest nostalgicznym obrazem świata galicyjskich Żydów w przededniu katastrofy.

„Łowcą nazistów” nazywano pochodzącego z Buczacza Szymona Wiesenthala

(1908–2005), architekta, który po zakończeniu II wojny światowej poświęcił się ściganiu zbrodniarzy wojennych. Przyczynił się walcie do ujęcia m.in. Adolfa Eichmanna, jednego z głównych organizatorów zagłady Żydów w latach II wojny światowej, i Franza Stangla, komendanta obozów zagłady w Treblince i Sobiborze.

Fascynujący jest wątek poświęcony generałowi Zygmuntovi Berlingowi (1896–1980). Wprawdzie generał urodził się w Limanowej, ale ojciec jego wywodził się z szerego na Pokuciu rozgałęzionej, znanej rodziny Berlingów. Różnie przez polityków i historyków oceniany, według zdeklarowanego antykomunisty Stefana Kisielewskiego zasługuje na pozytywną ocenę: ... *Wszak fakt, że ten z legionowych wywodzący się formacji oficer pozostał w Rosji i potrafił znaleźć wspólny język z komunistami, dla Polski ma większe znaczenie polityczne i praktyczne niż działalność najbardziej bohaterskich oficerów polskich na Zachodzie...* Warto uważnie wczytać się w tę część tomu, by wydać własny na ten temat osąd.

Oddzielne rozdziały poświęcił Autor położonym na Pokuciu miejscowościom, chodzi o Zabłotów, Ilińce, Trójcę i Chlebczyn.

Przez karty XIV tomu *Kresowej Atlantydy* przewijają się setki postaci, każdą z nich opisał Profesor z wielką sympatią, nie biorąc pod uwagę tego, czy to dotyczy laureata Nobla, generała, rektora, profesora czy najzwyczajniej szewca, kamieniarza, kolejarza. Wszystkie one tworzą barwny obraz zaginionego, fascynującego Podola, Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Na uwagę szczególną zasługuje fakt, że w poszukiwaniu najdrobniejszych nawet informacji Autor sięga po wspomnienia dawnych mieszkańców utraconej ziemi, nieopublikowanych, znanych jedynie w niewielkim kręgu rodzinnym, czasem lokalnym. Dzięki *Kresowej Atlantydzie* wchodzi one do powszechnego obiegu, stając się ważnym przyczynkiem historycznym, pomocnym przy tworzeniu dzieła odtwarzania historii Kresów Wschodnich. Wymienić tu warto nazwiska niektórych autorów wspomnień, m.in. Irenę Wilder, Józefa Stachowicza, Stanisławę Keck, Edwarda Laskowskiego, Helenę Sobolewską, Artura Fiałkowskiego.

Z wielką niecierpliwością oczekujemy na kolejne tomy *Kresowej Atlantydy*.

O losach rodziny Moszyńskich, dawnym Krakowie i... brylantach hrabiny Cosel

Mało kto wie, jaka jest historia dworku, który często mijamy w okolicach krakowskiego dworca kolejowego. Dzięki księżce Magdaleny Jastrzębskiej *Listy z Kresów. Opowieść o Józefie z Moszyńskich Szembekowej* możemy uzupełnić swoją wiedzę na temat tego zabytku. Rodzina Moszyńskich związała swoje losy z Wołyniem, Podolem i zachodnią Galicją, w tym z Krakowem. Piotr Moszyński – działacz patriotyczny i społeczny oraz kolekcjoner – czuł się bardzo zrośnięty duchowo z grodem wawelskim. Autorka cytuje słowa Ludwika Dębickiego z 1879 roku świadczące o tym przywiązaniu: *Kraków był dlań stworzony, a on dla Krakowa [...]. W tych ramach historycznej przeszłości pięknie było tej postaci, która stała wiernie na straży arcanów życia narodowego.* Częścią wielkich majątności Moszyńskich były miejscowości: Berszada, Dolsk, Ujście i Lewada. Aż dwadzieścia osiem lat (spokojnych, choć niepozbawionych kłopotów) spędzili Szembekowie w Ujściu – *dziedzicznej posiadłości Józefy na Pobereżu (południowa część Podola), powiecie olhopolskim.* Niestrudzony dokumentalista dworów i pałaców kresowych, Napoleon Orda, nie uwiecznił w swoim wiekopomnym dziele podolskiego dworu Szembeków w Ujściu, ale dzięki zachowanej korespondencji Józefy i pamiętników sąsiada Leona Lipkowskiego Magdalena Jastrzębska mogła dość szczegółowo zrekonstruować wygląd i urodę tej kresowej siedziby, a także toczące się w niej życie codzienne. Dowiadujemy się, że okolice Ujścia okalały nie tylko lasy, ale także żyzne pola. Z kolei duża część niezagospodarowanych terenów przechodziła w stęp ciągnący się po horyzont. Odtworzone przez biografkę szczegóły uruchamiają wyobraźnię czytelnika, zapraszając do wędrówki po podolskich ziemiach znaczonej historią, np. przemarszami wojsk Sobieskiego. W Ujściu Józefa Szembekowa poświęcała się wychowywaniu czterech synów oraz sprawom gospodarskim, podczas gdy mąż często wyjeżdżał w interesach. W ostat-

nich latach życia krążyła między Podolem, Porębą a Krakowem, gdzie Szembekowie mieszkali przy ulicy Podwale.

Słynnym przodkiem tytułowej bohaterki książki był Fryderyk Józef Moszyński – wnuk Augusta II Mocnego i hrabiny Anne Konstanze von Cosel. Nazwisko faworyty króla Augusta II często pojawia się w opowieści Magdaleny Jastrzębskiej, gdyż scharakteryzowana przez nią Józefa z Moszyńskich Szembekowa odziedziczyła biżuterię należącą do hrabiny. Jak czytamy na pierwszych stronach, *wielka fortuna, której początków należy szukać na dworze saskim, przeszła potem w dużej części na Józefę, córkę patrioty i zesłańca syberyjskiego.* W momencie ślubu z *bardzo pięknym i nie mniej ogładnym* Józefem Szembekiem dwudziestoletnia panna Józefa była posiadaczką iście królewskiego posagu, z którego po pięćdziesięciu latach małżeństwa niewiele pozostało w rękach zacnej i zasłużonej dla sprawy niepodległościowej rodziny Moszyńskich. Józefa postrzegana była jako kresowa



millionerka, niepozabawiona mocnego charakteru, licznych zalet i urody dama, hrabia Szembek zaś jako salonowiec, światowiec, człowiek rozrzutny, birbant i kobieciarz, który przyczynił się do degradacji majątkowej rodziny. Więzy Józefy z ojcem były bardzo silne i pełne miłości, ale w ostatnim okresie życia Piotra Moszyńskiego doszło do ich rozluźnienia ze względu na niegospodarność męża córki. To swojego zięcia Piotr Moszyński winił za utratę rozległego majątku ziemskiego, a Józefa zawsze twardo stała po stronie małżonka.

Główna bohaterka jawi się jako kobieta dumna, silna, uparta, ale przy tym zapalona domatorka, wierna żona i troskliwa matka. Będąc osobą zamożną i wpływową, udzielała się społecznie i brała udział w charytatywnych przedsięwzięciach, tak jak wiele kobiet z wyższych sfer w dobie porzbirowej. Ponieważ pochodziła z patriotycznego domu, nieobojętne były jej sprawy narodowe, czego nie można powiedzieć o jej mężu, z którym różniło ją usposobienie, zainteresowania oraz podejście do świata i ludzi. Mimo to związek przetrwał długie lata. Józefa niewątpliwie darzyła męża silnym uczuciem i przywiązaniem, do tego stopnia, że nie dawała wiary opowieściom o rozrzutności i intrygach miłosnych przystojnego hrabiego Szembeka, nawet wtedy, kiedy los ich majątku był już przesądzony.

Choć książka poświęcona jest niezwyklej damie o *twarzy irlandzkiej i duszy ognistej*, jak ją określiła księżna Klementyna z Czartoryskich, to pierwszoplanowymi postaciami są również trzej najbliżsi jej sercu mężczyźni. Największymi miłościami Józefy byli: jej ojciec Piotr Moszyński – szlachetny człowiek, odważny działacz konspiracyjnego Towarzystwa Patriotycznego, za co został zesłany na dwanaście lat na Syberię; zaprzyjaźniony z ojcem „książę niezłomny” Roman Sanguszko (także zesłaniec i wielki patriota), w którym panna Józefa ponoć się zakochała z wzajemnością, choć dzieliła ich duża różnica wieku; oraz Józef Szembek, którego ostatecznie poślubiła i przy którego boku lojalnie stała nawet wtedy, gdy docierały do niej pogłoski o lekkomyślnym postępowaniu małżonka i jego złym gospodarowaniu majątkiem rodzowym.

Magdalena Jastrzębska wnikliwie przyjrzała się postaciom wyłaniającym się z lic-

nie zachowanych (niepublikowanych dotąd) listów córki pisanych do ojca aż do jego śmierci, dokumentów przechowywanych w archiwach narodowych i rodzinnych, spisanych przez Miziewiczza (sąsiada rodziny) wspomnień, drukowanych i niedrukowanych pamiętników, artykułów prasowych, fotografii i obrazów. Nie mogło zabraknąć nawiązania do *Nocy czerwcowej* Jarosława Iwaszkiewicza. Bohaterką opowiadania jest bowiem matka Józefy Moszyńskiej – Joanna. Książka *Listy z Kresów...* jest pełna ciekawych faktów, romantycznych i smutnych historii miłosnych, swoistych smaczków i soczystych fragmentów korespondencji, z której wybrzmiewa uroda kresowego języka. W książce przewijają się powstańcy styczniowi, zesłańcy syberyjscy, działacze niepodległościowi, pozytywiści i romantyczni szaleńcy, skandalisci i utracjusze, a także stojące u ich boku rozważne i romantyczne kobiety.

Magdalena Jastrzębska, wydobywając z niepamięci postać Józefy Szembekowej (córki zasłużonego Polaka, którego portretował nie kto inny jak Jan Matejko) oraz rodzinę Moszyńskich, doskonale łączy szczegół i anegdotę z szeroką perspektywą historyczną. W rozdziałach poświęconych życiu w rodzinnych majątkach na Wołyniu i Podolu występują też ludzie zupełnie historii nieznanymi: służący, piastunki, guwernantki, sąsiedzi, przyjaciele i inni mieszkańcy Kresowej Atlantydy. Nie mogło zabraknąć nawiązań do szlaków krakowskich, ponieważ bohaterka często odwiedzała w grodzie wawelskim mieszkającego tu po powtórnym ożenku ojca. Książka nie jest wyłącznie opowieścią biograficzną, ale też barwnym opisem arystokratycznego i ziemiańskiego stylu życia w porzbirowej Polsce, okazałych magnackich majątków, dworów kresowych oraz panujących w nich obyczajów i zasad wychowawczych, udanych i nieudanych małżeństw, ponadto stosunku wyższych sfer do spraw narodowych oraz losów... legendarnych brylantów hrabiny Cosel.

Wszystkie cytaty pochodzą z: Magdalena Jastrzębska, *Listy z Kresów. Opowieść o Józefie z Moszyńskich Szembekowej*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2015.

O „Roczniku Kresowym”

wydawnictwie Muzeum
Niepodległości w Warszawie

Wśród wielu publikacji publikowanych w ramach działalności wydawniczej Muzeum Niepodległości w Warszawie od 2015 roku ukazuje się „Rocznik Kresowy”. Jak pisze Andrzej Kotecki: *Nowy „Rocznik Kresowy”, ukazujący się w ramach działalności wydawniczej Muzeum Niepodległości w Warszawie, jest ukoronowaniem wieloletniej pracy związanej z problematyką Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Warszawskie muzeum, które powstało na początku lat 90. XX wieku, stało się placówką skupiającą ludzi – uczestników wydarzeń historycznych, które rozgrywały się na polskich Kresach Wschodnich – sybiraków, byłych zesłańców, osoby wywiezione z Polski po 1945 w głąb ZSRR. Muzeum Niepodległości stało się dla nich wszystkich miejscem ważnym, w którym działa się na rzecz upamiętnienia trudnych, niejednokrotnie tragicznych lat historii naszego narodu. Znalazły tu również swoje godne miejsce pamiątki związane z tymi ludźmi, pamiątki z tamtych miejsc, dokumentujące tamte losy. Stały się one punktem wyjścia dla twórców wystaw poświęconych ludziom, miejscom i wydarzeniom, jak również źródłem dla wielu publikacji* (R.K. 3, 2017).

Dyrektor Muzeum Niepodległości, a zarazem inicjator utworzenia „Rocznika Kresowego”, dr Tadeusz Skoczek, słusznie zastrzega w jakim sensie jest tu używany termin „Kresy”, co określił w pierwszym numerze omawianego periodyku (2015).

Termin „Kresy” często utożsamiany jest z pojęciem dawnych ziem polskich, znajdujących się poza wschodnią granicą. Rzeczywiście, rdzenne polskie ziemie znajdują się obecnie na terenie Ukrainy, Białorusi, Litwy i nawet po części wydzielonego obwodu wschodniej Rosji. Różnie rozumiana jest definicja kresowości w badaniach naukowych, w geografii, historii czy historii kultury, politologii, socjologii, a nawet w propagandzie.



Zarówno w Międzynarodowej Radzie Naukowej „Rocznika”, jak i w Kolegium Redakcyjnym zasiadają znamienite Osoby z instytucji zarówno z Polski, jak i z zagranicy – są to pracownicy naukowcy, historycy, pisarze, absolwenci filologii polskiej, zwykle zatrudnieni na uczelniach lub w innych ważnych jednostkach kultury, nauki. Redaktorem naczelnym jest dr Tadeusz Skoczek, sekretarzem Redakcji mgr Krzysztof Bąkała.

Śledząc treść kolejnych pięciu wydań „Roczników” można dostrzec, że tematyka poszczególnych opracowań dotyczy różnych zagadnień, ale zawsze związanych z naszą historią, a także „naszymi” Kresami, bowiem po latach wysiedleń, ekspatriacji, deportacji, narodził się mit polskich Kresów wschodnich.

Dla przybliżenia tematyki artykułów i jej różnorodności warto podać kilka wybranych tytułów:

- Stanisław Dziedzic, *Vianney na bezkresach imperium. Książdz Władysław Bukowiński* (R.K. 1, 2015);
- Jacek Gaj, *Pradzieje powstania Lwowa* (R.K. 1, 2015);
- Jolanta Załęczny, *Smakowanie Lwowa. Ludwik i Władysław Zalewscy oraz ich cukiernia* (R.K. 2, 2016);
- Janusz M. Paluch, *Wot romanticzka!* (R.K. 2, 2016); Agnieszka Martinka, *Połowinka. Rowe-*

- rem na Ural do miejsca zesłania Ojca. Wspomnienia Ojca, wspomnienia córki. Wydawca: Agnieszka Martinka, Lublin 2016, s. 368.
- Zdzisław Judycki, *Lwowanie w świecie* (R.K. 2, 2016). Jest to opracowanie niezwykle interesujące, bowiem zawiera, związane z życiem i działalnością na obczyźnie, biogramy sławnych Lwowian, rozrzuconych na wszystkich kontynentach.
- Piotr Semków, „*Non omnis moriar*”. *Kresowe nekropolie strażnikami pamięci o polskości* (R.K. 3, 2017);
- Adam A. Ostanek, *Lwów jako symbol wygnania Polaków z Kresów Wschodnich w literaturze wspomnieniowej okresu PRL i początków III Rzeczypospolitej* (R.K. 3, 2017);
- Stanisław Dziedzic, *Między funkcjonalizmem a „nadwiślańską” estetyką*. Jan Sas-Zubrzycki (R.K. 3, 2017);
- Andrzej Kotecki, *Publikacje kresowe Muzeum Niepodległości w Warszawie. Przegląd wydawnictw Muzeum Niepodległości w latach 1994–2017* (R.K. 3, 2017);
- Tadeusz Skoczek, *Obrona Lwowa* (R.K. 4, 2018);
- Olga Świerzevska, „... kroczą wśród pocisków i ognia” *Lwów 1918–1919 w obrazkach Tadeusza Pobóg-Rossowskiego* (R.K. 4, 2018);
- Krzysztof Bąkała, *Słownik gwary lwowskiej Kazimierza Roberta Schleyena ze zbiorów Muzeum Niepodległości* (R.K. 4, 2018);
- Elżbieta Treła-Mazur, Jolanta Załęczny, *Dla tych, co byli, dla tych, co będą... Dwugłos w sprawie jednej książki – recenzja* (R.K. 4, 2018);

Stanisław Dziedzic, *Józef Teodorowicz: „Katedrę tę dźwigałem”. Ormiański i polski świat starodawnej lwowskiej świątyni* (R.K. 5, 2019);

Tadeusz Skoczek, *Kresowianin* (rzec o Henryku Siemiradzkim, przyp. redakcji), (R.K. 5, 2019).

Każdy tom kończy rozdział „Autorzy”, w którym przedstawiono sylwetki autorów, ich główne zainteresowania, dorobek, miejsce zatrudnienia, publikacje.

„Rocznik Kresowy” i treść w nim zawarta uświadamiają nam, jak wielkimi zasobami zbiorów, źródeł, wspomnień, pamiątek, dokumentów dysponuje Muzeum Niepodległości. Co ważne, poprzez publikacje, wydawnictwa, ekspozycje, konferencje, możliwe jest sięganie do przeszłości naszych ziem wschodnich. Zapewne jeszcze wiele „skarbów” pozostaje w archiwach domowych i trzeba mieć nadzieję, że przynajmniej część z nich trafi kiedyś do Muzeum Niepodległości.

Na koniec warto przypomnieć, że Muzeum Niepodległości prowadzi kolekcję *Leopolis*, zawierającą niezwykle cenną dokumentację w szerokim tego słowa znaczeniu. Szczegółowy przegląd kolekcji *Leopolis* można znaleźć w artykule Heleny Wiórkiewicz: *Kolekcja Leopolis Muzeum Niepodległości w Warszawie 1992–2006*. „Niepodległość i Pamięć” 13/3 (24), s. 311–346.

DBAMY O PAMIĘĆ

Na Cmentarzu Łyczakowskim spotykane są mogiły dzieci i niemowląt. Ostatnio odnowiliśmy nagrobek Stefanka Świeżawskiego ur. 1.09.1925 r., który zmarł 13.12.1925 r.



Przed remontem



Po remoncie

Michał Piekarski

Wspomnienie o Józefie Nowakowskim

19 marca 2020 r. w lwowskiej katedrze rzymskokatolickiej o g. 18.30 odprawiona została msza święta w 30. rocznicę śmierci Józefa Nowakowskiego, wieloletniego organisty tej świątyni.



Józef Nowakowski przy instrumencie

Józef Nowakowski (ur. 1894 w Dobropolu na Podolu, zm. 1990 we Lwowie) edukację muzyczną odebrał w Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego w klasie organów Mieczysława Sołtysa. Profesor Sołtys studiował fortepian u Karola Mikulego we Lwowie, w Paryżu gry na organach uczył się u Eugéne'a Gigout. Przedmiotów teoretycznych Józef Nowakowski uczył się w lwowskim konserwatorium u Stanisława Niewiadomskiego. W latach 1920–1990 – a więc przez 70 lat – Józef Nowakowski obejmował posadę organisty lwowskiej katedry. Pozostał z wiernymi tej świątyni mimo zmiany granic i utraty Lwowa przez Polskę. Józef Nowakowski był wybitnym organistą oraz pedagogiem, prowadził przy katedrze szkołę gry na organach, a po 1945 r. udzielał lekcji prywatnych. Odpowiadał też za całokształt muzyki wykonywanej w katedrze. Przed 1945 r. w świątyni regularnie śpiewał chór męski Echo, po wojnie również zorganizowano na nowo męski zespół

chóralny. Z tego składu pochodzili pierwsi członkowie chóru mieszanego powołanego przy lwowskiej katedrze w 1971 roku. Zespół znany dziś jako Chór Katedry Lwowskiej im. św. Jana Pawła II podtrzymuje tradycje muzyczne tego miejsca. Chór założył Bronisław Pacan, uczeń Józefa Nowakowskiego, a także jego następca i kontynuator na stanowisku organisty.

Józef Nowakowski od 1920 roku podtrzymywał tradycje wykonawcze lwowskiej katedry, dbając o lwowskie melodie pieśni kościelnych i nabożeństw, m.in. unikalnych lwowskich *Gozdkich żali*, które dzięki Bronisławowi Pacanowi brzmią do dziś w oryginalnej formie.

Do dziś wiele osób pamięta, że to właśnie w dużym stopniu za sprawą Józefa Nowakowskiego po II wojnie światowej katedra lwowska nie została zamknięta. W 1946 r. nie oddał władzy radzieckiej kluczy do świątyni, zamieszkał na terenie katedry i poza innymi obowiązkami prowadził też kancelarię kościoła. Osobiście poszukiwał księży do posługi w katedrze, darzony zaufaniem przez kolejnych kapłanów stawał się również ich doradcą. Na czele komitetu parafialnego pozostał od 1948 do 1974 roku. Zmarł we Lwowie 11 kwietnia 1990 roku.

W czwartek 19 marca odbyła się w katedrze lwowskiej msza św. w 30. rocznicę śmierci Józefa Nowakowskiego. Z powodu epidemii nie doszło do zaplanowanego wykonania Mszy Jana Maklakiewicza. Grał jednak na organach jego dawny uczeń Bronisław Pacan oraz śpiewali pojedyncy (ze względu na zarządzone ograniczenia) chórzyci.



Organy w katedrze rzymskokatolickiej we Lwowie

Edward Adles

14.10.1929 Lwów – 22.05.2020 Kraków



Odszedł nasz kolega, wieloletni przyjaciel, a przede wszystkim oddany, niezwykle zaangażowany i aktywny członek Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Pełnił wiele funkcji zarówno w Oddziale Krakowskim, jak i w Zarządzie Głównym, a także w Zarządzie Sokoła Macierzy.

Jako wielkiej miary działacz społeczny został odznaczony

licznymi odznaczeniami państwowymi i organizacyjnymi, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotą Odznaką TMLiKPW.

Starszy chorąży Wojska Polskiego był Człowiekiem bardzo pracowitym, uczciwym, towarzyskim, lwowiakiem z dużym poczuciem humoru, wcielającym się niekiedy w postać lwowskiego batiara. Lubił bawić się, świetnie tańczył i dopóki mógł, przychodził na wszystkie nasze lwowskie spotkania.

Edwarda pożegnaliśmy 28 maja 2020 roku na Cmentarzu Prądnik Czerwony (Batowickim) przy ul. Reduta w Krakowie. Zostanie w naszej pamięci jako Człowiek oddany sprawom Lwowa i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Odszedł Mirosław Rowicki



Złożyciel i redaktor naczelny „Kurieru Galicyjskiego”, polskiej gazety ukazującej się na Ukrainie, z której potrafił uczynić pismo Polaków i Ukraińców.

W niezliczonych notach i nekrologach, które ogłoszono po Jego śmierci, napisano o tym wiele, zatem wspominając Go na łamach „CL”, chciałbym zwrócić uwagę na to, co oświadczy, dziś, zaledwie kilka dni po naszej ostatniej rozmowie, uważam za godne utrwalenia.

Mirek, rozbudowując „Kurier”, swoje główne przedsięwzięcie, o radio, telewizję, także wiele inicjatyw, które budził lub wspierał, stworzył silne środowisko. Różnorodne, pluralistyczne, a zarazem solidarne związane wspólnymi wartościami. Bo ten duch, także tzw. pierwszej „Solidarności”, z której wywodził się światopoglądowo i moralnie, nigdy Go nie opuścił. Więcej – potrafił natchnąć nim tych, z którymi działał i pracował. A przy tym obce mu były wszelkie „polityczne odchylenia”, misjonarstwo czy agitacja. Jego relacje z ludźmi i sprawami, które podejmował, były czysto ludzkie, na wskroś humanistyczne.

Wspominając początki swojej działalności medialnej, chętnie podkreślał, że związał się z tą dziedziną przypadkowo. Był to zatem przypadek nadzwyczaj szczęśliwy, dowodzący słuszności

poglądu, że najlepszymi redaktorami okazują się ci, którzy potrafią w tę niełatwą materię wnieść doświadczenie zdobyte i ugruntowane na innych polach. Tak było w przypadku Mirka. W swojej działalności obywatelskiej, społecznej i gospodarczej nauczył się świata. Ten potencjał, podniesiony do potęgi przez jego naturalną umiejętność porozumienia, pozwolił mu pokonywać liczne przeszkody w wizjonerskim dziele, którego się podjął. I – trzeba to podkreślić – nie był, wbrew pozorom, człowiekiem łatwego kompromisu. Swoim spokojem, niekiedy łagodnym uporem, życzliwą perswazją, ciekawością świata i ludzi potrafił zdominować otoczenie, tak że chętnie angażowano się w jego pomysły, a On z nadzwyczajną wrażliwością wsłuchiwał się w potrzeby i pomysły innych.

Tak jak Hemar mawiał o sobie, że jest Polakiem z wyboru, tak Mirek powiedział, że kocha Kresy nie z przypadku, nie z metrykalnych przyczyn. Mirka ambicją było, trawestując dalej Hemara, że był kresowiakiem ochotniczym. Z miłości od pierwszego wejrzenia, a nie z przymusu.

Pamiętam, jak przy okazji jakiejś niekończącej się pogawędki ucieszyło Go wynalezienie określenia „kresofil”, bo tak znakomicie, Jego zdaniem, oddawało przywiązanie do tej części świata. Nawet tych, którzy, choć nieurodzeni na Kresach, to zakochali się w nich do grobowej deski. Tak jak Mirek. Odszedł człowiek, który swoją pracą zasłużył na najwyższe zaszczyty, ale nade wszystko pamiętajmy, że opuścił nasze grono wspaniałych, niezapomnianych Kresofilów.

Sławomir Gowin



**Biblioteka
Kraków**

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Stanisław Czerny

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, Adam Guyrkowich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adyustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Anna Madej 101. ROCZNICA OBRONY LWOWA	1	Natalia Tarkowska PODWÓRKO ZAGUBIONYCH ZABAWEK	56
HOMILIA KS. TADEUSZA ISAKOWICZA-ZALE- SKIEGO, 22.11.2019 R.	2	Proza	
Kasper Bednarek AKCJA BURZA WE LWOWIE	5	Piotr Lamprecht ŚWIATŁO PRZY GRANICY	58
Janusz M. Paluch TAJEMNICZA SYMPATIA	10	Krystyna Stafińska SKARB ZE STARUNI	63
Antoni Wilgusiewicz CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT... LWÓW W ZBIORACH POLSKICH... EDWARDA CHWALEWIKĄ	16	Danuta Nespiak KRAKÓW I LWÓW W BIOGRAFIACH GALICYJSKIEJ LINII RODU OSTROWSKICH	65
Sławomir Gowin CZEKISTKA Z CZEKISTĄ	20	Michał Piekarski MUSICA LEOPOLIS	68
Aleksandra Solarewicz ZŁOTE ARMIE. ROZMOWA Z ROMANĄ Z MANUGIEWICZÓW OBROCKĄ	27	Jarosław Krasnodębski WŁODZIMIERZ DĄBROWSKI – SZEWC I PATRIOTA STANISŁAWOWSKI	71
Paweł Brzegowy O DZIAŁALNOŚCI STANISŁAWA DUNIN BOR- KOWSKIEGO	33	Jerzy Duda NIEKOŃCZĄCA SIĘ OPOWIEŚĆ KRESOWA. XIV TOM „KRESOWEJ ATLANTYDY”	73
Poezja		Beata Bednarz O LOSACH RODZINY MOSZYŃSKICH, DAW- NYM KRAKOWIE I... BRYLANTACH HRABINY COSEL	77
ADAM ZAGAJEWSKI	36	O ROCZNIKU KRESOWYM	79
Barbara Seidel ZMAGANIA Z PRZESZŁOŚCIĄ	37	Michał Piekarski WSPOMNIENIE O JÓZEFIE NOWAKOWSKIM	81
Kazimierz Przybyłko MARIA ZIĘTKIEWICZ. RYS BIOGRAFICZNY I DZIAŁALNOŚĆ PEDAGOGICZNA	42	Odeszli	
Zbigniew Wawszczak ORZECHOWICZ, KALNIKÓW I CO DALEJ?	48	EDWARD ADLES	82
Karolina Grodziska MOJA ULICA KURKOWA	50	MIROŚLAW ROWICKI	82
		DBAMY O PAMIĘĆ 4, 15, 26, 32, 41, 55, 70, 80	